

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 1 (266). Rok XXII. STYCZEŃ 2018 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACHWSPÓŁWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKATADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
LiteraturaWOJCIECH ŁUKA
Kierownik działu grafikiLAURA RYNDAK
Korekta

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS,
MAGDALENA DZIADEK,
RYSZARD JASNORZEWSKI,
WIESŁAWA KONOPELSKA,
HENRYK MARZEC,
JAN MIODEK,
KATARZYNA NIESPOREK,
JERZY PASZEK,
HENRYK SZCZEPAŃSKI,
JOANNA WAROŃSKA,
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIKADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjask@onet.plDTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECIE CYFROWEJ

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

2. *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4. *Tadeusz Sierny* SŁUŻBA OBYWATEŁOM.
Rozmowa z Jarosławem Wieczorkiem
6. *Marian Gerlich* DUCHOWOŚĆ: ROZUMIEĆ DRUGIEGO
10. *Rozmowa z Przemysławem Fabjańskim* PODRÓŻNIK, WŁÓCZĘGA
19. *Henryk Szczepański* POWSTANCZY KAPELAN Z JÓZEFOWCA
25. *Emilia Wieczorkowska* TRZY MATKI
28. *Andrzej Jarczewski* ŚLĄSKA INTELIGENCJA KATOLICKA
31. *Andrzej Jarczewski* ŚLĄSK. ZMIANA PARADYGMATU
42. *Jacek Wojciechowski* PÓCHWAŁA INTUICJI
45. PORTRETY MISTRZÓW. *Marian Kisiel* DANUTA OPACKA-WALASEK
48. SPÓR O PLAC WILHELMA SZEWCZYKA
50. *Julia Montewska* ŚLĄSKIE TAJEMNICE
56. BLASK ARCYDZIEŁ *Jerzy Paszek* BLASK *BLADEGO PŁOMIENIA*
66. *Krzystian Krzemiński* BOLEŚLAW LUBOSZ – PRZYPISY DO BIOGRAFII

WYDARZENIA

32. *Katarzyna Niesporek* 60 LAT KAPŁAŃSTWA ABP. DAMIANA ZIMONIA
34. MALARSTWO ZDZISŁAWA KUDŁY
68. *Tomasz Bienek* ORSZAK TRZECH KRÓLI

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE. *Juliusz Wątroba* MIŁOSTKI
14. *Juliusz Wątroba* WIERSZE
16. *Anna Sitkowska* REMONTOWA SYLWA
36. *Alojzy Lysko* ACHIM DZIADYGA
54. *Barbara Doniec* SUKNIE OFELII. WIERSZE

FELIETONY

58. MIĘDZY NUTAMI. *Magdalena Dziadek* STRASZNY DWÓR
W PRZEKROJU. DLACZEGO WYDAJEMY NA NOWO MONIUSZKĘ?
64. *Ryszard Jasnorzewski* ROK OLIMPIJSKI
65. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* FARFOCLE

PLASTYKA

52. *Tomasz Markiewka* REFORMACJA Z PERSPEKTYWY
BIELSKA i BIAŁEJ

TEATR

59. *Joanna Warońska* ZATRZYMANE CIAŁO, PORUSZONE MYŚLI

KSIĄŻKI

60. *Ewa Bartos* „DEMON OPOWIEŚCI”
61. *Ryszard Jasnorzewski* PISANIE JAKO CHOROBA ZŁOŚLIWA
62. *Ksenia Olkusz* EKLEKTYCZNA SPÓJNOŚĆ
63. *Elżbieta Dutka* „BĄDŹ WDZIĘCZNA BYŁAŚ HOJNIE OBDARZONA”

Z ŻYCIA BIBLIOTEK

71. *Aleksandra Pietruszewska* NIESZABLONOWO NA 50-LECIE

NOTATNIK KULTURALNY

74. BIELSKO-BIAŁA. CZĘSTOCHOWA. KATOWICE. OPOLE.
79. „ŚLĄSK”. SPIS TREŚCI ZA ROK 2017

NA OKŁADCE:

Erwin Sówka, Święta Barbara, 1988, olej, płótno

Pismo wspierane
finansowo przez:Projekt objęty
mecenatem
MIASTA KATOWICEKATOWICE
dla odmianyMinisterstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.Śląskie.
Pozytywna energia

Od Redaktora!

Rok 2018 rozpoczynamy w nowym składzie Redakcji z zamiarem prezentowania nieco odmiennych od dotychczasowych propozycji lekturowych i intelektualnych.

W naszej pamięci zachowujemy obowiązujące nas ciągle hasło Tadeusza Kijonki, twórcy miesięcznika „Śląsk” – **Po pierwsze Śląsk**. Nie zaprzeczamy także bogatemu dorobkowi zespołu redakcyjnego, pracującego pod kierunkiem Pani redaktor Wiesławy Konopelskiej, który przez kilka ostatnich lat – mimo wielkich trudności i przeciwności – utrzymał ciągłość edycji miesięcznika. Jesteśmy zobowiązani towarzyszącym nam w dalszym ciągu autorom, felietonistom, dziękujemy wszystkim tym, którzy dotychczas pisali dla miesięcznika ważne teksty, a dziś z różnych powodów nie chcą lub nie mogą z nami w dalszym ciągu współpracować.

Jesteśmy miesięcznikiem, którego wydawcą pozostaje Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach, z tej ostatniej, pozornie banalnej konstatacji wynikają określone obowiązki i zadania czasopisma.

Są w naszej „okolicy” ludzie i ich dzieła niezwykle, promieniujące na cały kraj, rodacy piękni w swej częstokroć szlachetnej samotności, odważni w działaniu, bezinteresowni, prawdziwi i prawdomówni w ich codzienności, dla których ideały służby dla ludzi i Ojczyzny, Śląska nie są pustymi frazesami lub tylko historyczną frazą. Mimo wszystko zmieniają nasz świat na lepszy, czynią bardziej ludzką technicyzowaną cywilizację cyfrową, umiejętnie korzystają z dobrodziejstw współczesnych nowoczesnych technologii, są otwarci na dia-

log z innymi, gotowi czasem do dalekich podróży po wiedzę i naukę, lecz jakże ceniący ten skrawek ziemi, z której się wywodzą lub na której jako osiadli na niej przybysze budują swoją i naszą wspólną przyszłość. Nie używając wielkich słów, nie uciekając się do heroicznych czynów lecz skrupulatnie w swej „zwykłej” codzienności czyniąc dobro, służąc prawdzie, na co dzień budują piękno otaczającego nas świata.

Będziemy szukać naszych czytelników i bohaterów artykułów w tym gronie; sprawami kultury i nauk humanistycznych zajmować się będzie Prof. dr hab. Marian Kisiel, sprawami społecznymi, gospodarczymi oraz naukowymi zastępca naczelnego redaktora Pan Andrzej Jarczewski, kwestiami literackimi (prozą i poezją), graficznymi, artystycznymi Pani dr hab. Maria Korusiewicz.

Śląsk i nasze województwo wstrząsane są ciągle odradzającymi i pobudzającymi podziałami, antagonizmami, my mimo to kontynuować będziemy tradycję dialogu z naszymi sąsiadami z północnych (Częstochowa) i południowych (Bielsko-Biała, Cieszyn) krańców województwa, informować o ciekawych inicjatywach w województwie opolskim, przypominać o rodakach mieszkających na Zaolziu. Skrupulatnie wypełniać będziemy – w miarę naszych możliwości – przypisaną nam i docenianą przez czytelników rolę kronikarza doniosłych wydarzeń artystycznych w całym zakreślonym wyżej horyzoncie społecznym i terytorialnym.

Historia Polski i Śląska, województwa śląskiego jest nam bardzo bliska i tradycyjnie poświęcimy tym zagadnieniom wiele miejsca na naszych łamach, ale analizować będziemy przede wszystkim współczesność tej Ziemi, perspektywy jej zrównoważonego rozwoju i rodzące się zagrożenia dla tej wizji, ze spolegliwym spojrzeniem w jej przyszłość.

Zaczynamy od refleksji nad wrażliwością, swoistą duchowością ludzi tego Regionu, zastanawiać się będziemy nad zachodzącymi nieustannie, koniecznymi kierunkami zmian naszego śląskiego paradygmatu (logosu, syndromu) – lecz z innej niż ta wywiedziona wyłącznie z rzeczywistości krzywdy śląskiej, okrutnej martyrologii wielu pokoleń, sporów polsko-niemieckich, przewrotnie instrumentalnie rozumianej wielokulturowości – perspektywy. Zastanawiać się będziemy nad nowym modelem i wzo-

rem kreowanym z: danej nam dziś współczesności, gwałtownego rozwoju nauk i technologii, klasycznej i awangardowej twórczości artystycznej, odradzającego się autentycznego obywatelskiego ruchu w kulturze, samorządności. Spojrzymy z dystansu na rodzące się tutaj zjawiska z kręgu filmu, teatru, muzyki, fotografiki, malarstwa, architektury i innych sztuk wizualnych, poddamy analizie wiele aspektów współczesnego życia kulturalnego i funkcji środowiska literackiego, spojrzymy na rolę instytucji kultury (tych samorządowych i... obywatelskich, prywatnych). Kontynuować będziemy dyskusję nad zachodzącym od lat procesem zmian statusu śląskiej kobiety oraz funkcją tak licznej w naszym regionie inteligencji technicznej i humanistycznej oraz instytucji naukowych i badawczych w XXI wieku na Śląsku. W stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości przypomnimy o polskich korzeniach i tradycjach tożsamości śląskiej, przecież nie przeciwstawiając jej wartości naszym najbliższym sąsiadom – Czechom, Słowakom i Niemcom, ale podkreślając wagę dialogu oraz współpracy w – czy tego chcemy lub nie akceptujemy – jednoczącej się Europie odrębnych narodów i państw. Odnotujemy z uwagą te dążenia, które poprzez działania samorządów lub środowisk proekologicznych zmierzać będą do ciągłej poprawy jakości naszego życia.

Możemy z nagłym podmuchem lokalnej historii zgasnąć, w jednej chwili zniknąć, wiele zależy od naszych czytelników oraz towarzyszących nam włodarzy tej ziemi. Nie istniejemy bowiem po to by nasi Autorzy mieli gdzie drukować swe wywody, istniejemy dzięki i dla naszych Czytelników. To Państwo jesteście naszą ostoją i przyszłością, jeśli odmówicie nam swego poparcia – niechybnie znikniemy. Podobnie stać się może gdy władze naszych miast, naszego województwa zapomną o koniecznym dążeniu **do integracji naszych współobywateli, umacniania poczucia dumy i pogłębiania wiedzy o swoim regionie**, województwie, mieście, o tym rodzimym skrawku ziemi, nie w jej mitologicznym wymiarze lecz **w realnym, recentywnym aspekcie**.

Wówczas także możemy zniknąć. Ale bądźmy dobrej myśli...

JULIUSZ WĄTROBA

MIŁOSTKI

1.

Jeśli miłość
to lód grzeje
mrok świeci
płonie woda

2.

Utonąłem w twoich oczach
– na szczęście
rzuciłaś mi koło ratunkowe ust

3.

Miłość z wzajemnością
to dwa serca jak skrzydła
co unoszą w niebo złote
A nieodwzajemniona straszylłem
co kuśtyka do piekła na piechotę

4.

Dopuść mnie do warg
do różów i westchnień
Bądź mi podróżą jasną aurą omam
bym z twoich oczu spijał jeszcze dreszcze
– połam mi kości
Lecz serca nie połam

5.

Przychodzisz mi na myśl i się zjawiasz
siadasz na kolana
kładziesz się na mnie i na noc
– ciepłutki koc

Juliusz Wątroba, ur. 1954 w Rudzicy, poeta, satyryk, animator życia kulturalnego. Opublikował ponad czterdzieści książek poetyckich, zbiorów fraszek i aforyzmów. Członek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, prezes katowickiego oddziału Związku Literatów Polskich. Laureat licznych nagród, m.in. imienia Władysława Orkana.



Z wojewodą śląskim **JAROSŁAWEM WIECZORKIEM**
rozmawia TADEUSZ SIERNY



Służba obywatelom

– Urodził się Pan w Gliwicach...?

– Moja Mama pochodzi z Ligoty Zaborskiej, a Ojciec z Aleksandrowa Mazowieckiego.

Tak, chodziłem tutaj do Szkoły Podstawowej nr 20 i 35, później do Technikum Łączności, niestety nie trafiłem w tym okresie do harcerstwa, chociaż darzę tę organizację wielkim szacunkiem i uważam, że dla dobra młodzieży oraz w procesie wychowawczym odgrywa bardzo ważną rolę. Studia odbyłem w Katowicach na Uniwersytecie Śląskim na Wydziale Nauk Społecznych.

Żonę także poznałem tutaj w Gliwicach, często spacerowaliśmy i umawialiśmy się w tradycyjnym dla tych celów miejscu – pod wieżą Radiostacji Gliwice, dziś Oddziałem Muzeum, jestem szczęśliwym ojcem dwóch synów: starszego, ośmiolet-

niego Mateusza – dobrego matematyka i konstruktora, oraz młodszego Jana Pawła.

Czas wolny – jeśli mi się zdarzy go mieć – dzielę z rodziną. Wraz z żoną jesteśmy wędkarzami, lubimy spędzać wspólne chwile w ciszy, nad wodą, podziwiając przyrodę.

– Kiedy zainicjował Pan swoją drogę zawodową?

– Jeszcze na studiach – pracując w biurze poselskim, później założyłem spółkę zajmującą się marketingiem.

– Jak rozpoczęła się Pana kariera polityczna?

– W 2001 roku, po zmianie rządu Jerzego Buzka i odejściu Lecha Kaczyńskiego z urzędu ministra sprawiedliwości zaangażowałem się w działalność partyjną. Zafascynowany byłam pracą ministra Lecha

Kaczyńskiego zmierzającą do ukroczenia działalności rozzuchwalonych wówczas grup przestępczych z Wołomina. Od 2003 roku działałem najpierw w ramach Rady Osiedlowej w Gliwicach, później zostałem radnym w kadencjach od 2006 i od 2010 roku – miasta Gliwice. W pierwszej kadencji Rady byłem jednym z najmłodszych, bowiem zaledwie dwudziestopięcioletnim radnym. W obydwu kadencjach interesowałem się budżetem i kwestiami finansowymi miasta. W czasie drugiej kadencji pełniłem funkcję Przewodniczącego Komisji Finansów. W tym czasie współpracowałem z panem prezydentem Zygmuntem Frankiewiczem, reprezentującym poglądy typowe dla Platformy Obywatelskiej, ale lojalnie z nim współpracując – często jednak, zasadniczo się nie zgadza-

jąc z poglądami i decyzjami tego doświadczonego polityka samorządowego. W trakcie trzeciej kadencji w grudniu roku 2015 zostałem powołany na funkcję wojewody śląskiego.

– Jak zostaje się śląskim wojewodą, najmłodszym wojewodą w Polsce?

– Nie planowałem takiego awansu i takiego rodzaju służby obywatelom naszego województwa.

Pewnego dnia koledzy z Komitetu Politycznego mojej partii PiS – zaproponowali mi objęcie tego stanowiska, a Pani Premier wręczyła nominację... i tyle.

– Czy zmienił się krąg Pana przyjaciół i kolegów po nominacji na urząd wojewody śląskiego?

– Właściwie to nie uległ zmianie, dotychczasowi przyjaciele – pozostali przyjaciółmi, koledzy kolegami, tyle tylko, że niestety nie mogę poświęcić im tyle czasu, ile bym chciał. Obowiązki wymagają dyscypliny i ... czasu.

– Od 9 grudnia 2015 roku, czyli od daty nominacji, mijają dokładnie dwa lata. Jakie sukcesy i... jeśli były porażki, odnotował Pan w tym czasie?

– Podstawową kwestią jest poprawa sytuacji społecznej naszego województwa. Realizujemy ambitne programy takie jak: Rodzina +, Senior + Mieszkanie +, rozbudowa komunikacji i systemu dróg (A1, S1), w najbliższych dniach przedstawimy nowy „Program dla Śląska” (*wypowiedź z dnia 19.12.2017 – od red.*), w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim realizowany jest „Pakiet obywatelski”, sprzyjający klientom załatwiających swe sprawy w tutejszych wydziałach.

– Pana doświadczenie wyniesione z pracy w Górnośląskim Związku Metropolitalnym zaowocowało pozytywnymi efektami w przygotowaniu ustawy o Śląsko-Zagłębiowskiej Metropolii?

– Metropolia, której koncepcja i pierwotny projekt ustawy zostały wypracowane tutaj na Śląsku – jest jedną z bardzo oczekiwanych przez nasze społeczeństwo i jak dotąd jedyną w Polsce – ponad lokalną strukturą samorządową. Na efekty jej funkcjonowania przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać, ale niewątpliwie przyczyni się do usprawnienia wielu dziedzin naszego życia, np.: opieki zdrowotnej, komunikacji, itp.

– Czy ta wielostopniowa struktura samorządowa nie utrudnia Panu i Pańskiemu urzędowi funkcjonowania w tak skonstruowanym systemie administracyjnym?

– Istotą polityki jest dyplomacja, mediacja, koordynacja i współdziałanie. Nie chcemy być tylko instancją drugiego stopnia, czyli spełniać funkcje nadzorcze implikując w ten sposób konflikty lub kolizje pomiędzy różnego rodzaju organami terenowej administracji samorządowej a nami.

Współdziałanie na rzecz dobra obywateli jest istotą naszej służby.

– Jakie Pana zdaniem są istotne pozytywne przesłanki pomyślnego rozwoju województwa śląskiego w najbliższej przyszłości?

– Mamy co najmniej trzy zasadnicze elementy promujące nasze społeczeństwo i budujące pozytywną perspektywę dla nas i przyszłych pokoleń:

a) wysokiej jakości kapitał ludzki, którego cechami szczególnymi są etos solidnej, profesjonalnej i zdyscyplinowanej pracy;

b) bogactwo zasobów naturalnych naszej ziemi, których nowoczesna eksploatacja z zachowaniem zasad zrównoważonego rozwoju jest możliwa w ciągu wielu najbliższych lat (np. węgla) i ciągle się modernizujący przemysł ciężki oferujący wiele miejsc pracy, wymagających coraz wyższych kwalifikacji od swoich pracowników;

c) rozwój przemysłu nowoczesnych technologii informatycznych na Śląsku generujących powstanie podmiotów gospodarczych skutecznie rywalizujących na rynkach światowych w segmencie przemysłu informatycznego – z wieloma dotychczasowymi potentatami. Ten przemysł rodzi także wiele nowych miejsc pracy, wymagających najwyższych kwalifikacji od swoich pracowników.

– W 2018 roku przypada setna rocznica odzyskania niepodległości przez Polskę. Jaką ofertę w ramach Wieloletniego Programu Niepodległa 2017-2021 przygotowuje województwo śląskie w roku 2018?

– Został powołany pełnomocnik wojewody ds. Obchodów Stulecia Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej i jest nim dr Andrzej Krzystyniak. Na początku roku 2018 przedstawimy projekty działań zwią-

zanych z tym programem. Należy jednak podkreślić, że tutaj na Śląsku owe rocznicowe obchody rozłożone zostaną na okres pięciu lat, z uwzględnieniem rocznic powstań śląskich, plebiscytu, wkroczenia wojsk polskich na Śląsk. To długofalowa inicjatywa wymagająca współdziałania z wieloma instytucjami kultury i twórcami.

– W tym kontekście muszę zapytać o wydanie ostatnio przez Pana Wojewodę zarządzenia zastępczego z dnia 13 grudnia 2017 nr 7084 nakazującego Prezydentowi Miasta Katowice zmianę nazwy Placu Wilhelma Szewczyka na Plac Lecha i Marii Kaczyńskich. Czy protesty obywateli, manifestacje i listy protestacyjne nie skłoniły Pana Wojewody do refleksji nad wydanym zarządzeniem?

– Nie, wręcz przeciwnie, umocniły mnie w przekonaniu o słuszności podjętej decyzji, która powinna była już zapaść o wiele wcześniej. Wciągnięcie na sztandary RAS-ii i PO problemu nazwy Placu, tym bardziej przekonuje mnie do tego, by nazwisko tego aktywnego działacza komunistycznego, członka Egzekutywy KW w latach 1980-1981, żołnierza Wehrmachtu, przeciwnika księży katolickich, propagatora marksizmu, leninizmu – nie figurowało w przestrzeni publicznej.

– Ta ocena jest jednostronna, Wilhelm Szewczyk to w istocie postać tragiczna, prowadził swoistą grę ze systemem, był m.in. pisarzem, publicystą, tłumaczem, zwolennikiem polskość Śląska, autorem znanej deklaracji polskość wystanej do gauleitera Fritza Brachta...

– Rozumiem akceptację dla twórczości literackiej, artystycznej, szacunek dla postawy patriotycznej w okresie wojny; treści artystyczne, twórcze powinny być przedmiotem oceny historycznoliterackiej, analiz kulturowych w trakcie sympozjów, konferencji itp. Pewnie niektóre twory Wilhelma Szewczyka poleciłbym młodym ludziom do lektury, ale nie do zaakceptowania są konkretne czyny i działania człowieka, które podlegają osądowi nie artystycznemu, lecz politycznemu i moralnemu.

W tym kontekście uważam swoją decyzję za absolutnie uzasadnioną.

– Dziękuję za rozmowę.

Duchowość znaczy drugiego człowieka rozumieć

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

„Dla mnie nicią przewodnią w refleksji nad człowiekiem są słowa św. Pawła: *Dobra, którego chcę, nie czynię, a czynię zło, którego nie chcę*”

ks. Józef Tischner

Uwagi wstępne, czyli o naturze duchowości

Duchowość, nie tylko ze względu na swoją specyfikę, naturę, sposoby przejawiania się, przeżywania czy bezustannie toczące się spory, co do jej istoty i sposobu rozumienia – czy stosowane operacjonalizacje pojęcia – jest zjawiskiem zarówno bogatym samym w sobie, jak i bogatym w interpretacje. Nie chodzi nam jednak o jakiś szczególnie przypadek duchowości, np. maryjnej, karmelitańskiej, czy ignacjańskiej, oczywiście w rozumieniu Loyoli i jego następców, czy jakąś inną formę ćwiczeń duchowych. Chodzi nam natomiast o sposób jej pojmowania, przejawiania, przeżywania, czy interpretacyjne schematy myślowe obecne w kulturze górnośląskiej; konkretnie kulturze „typu” tradycyjnego, w jej odmianie plebejsko-miejskiej. Tak więc w realiach górnośląskich jest to próba doświadczania sacrum, sposoby jej przeżywania i wynikające z tego wzory zachowań. Pamiętać przy tym trzeba, co zawarte jest w uczonych traktatach teologicznych, iż „Słowo Boże jest

pierwszym źródłem wszelkiej duchowości chrześcijańskiej”, a także „dużą całość teologii”. Zaś franciszkanin z zakonu panewnickiego i wybitny wykładowca KUL – Antoni Jozafat Nowak OFM uważał, że duchowość jako „termin antropologiczny, wskazuje na jedną ze specyficznych właściwości natury ludzkiej (...). Wyraża się ona w takich wartościach ogólnoludzkich, jak: praca, myśl, symbol, mowa, sztuka, zabawa, kult, religia, kultura, nauka itp. Jego zdaniem duchowość jest pojęciem prostym, niedefiniowalnym i nie dającym się sprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika”. A w realiach interesującej nas kultury górnośląskiej owe wspomniane wartości to już szczegółowo, zwłaszcza lokalna gwara, ludowa wizja świata i człowieka, system zwyczajowo-obrzędowy, system wartości, otoczka praktyk religijnych i świątecznych, utrwalone tradycją schematy myślowe, etc. Tak rozumiana duchowość przejawia się we wszystkich sferach życia Górnoślązaków, jak powiedział do mnie kiedyś (w 1989 roku) wspomniany Ojciec Jozafat, duchowość, „tu na Śląsku prze-

nika życie tutejszych ludzi od narodzin do śmierci, jest w ich życiu rodzinnym, sąsiedzkim, w pracy”. I można jeszcze dodać, że zwrócił uwagę na jej obecność w kontakcie z przedstawicielami innych grup regionalnych. Chyba także grup etnicznych. Idąc tym tropem myślowym skoncentrujemy się zatem na przeglądzie wybranych sfer życia Górnoślązaków, na przeglądzie w perspektywie interesującego nas fenomenu duchowości, to jest w sferze pracy zawodowej, pewnych aspektach życia rodzinnego, na życiu w obrębie homogenicznych osad i osiedli przykopalnianych. A także na relacjach z przedstawicielami innych grup. Tego przeglądu dokonamy na przykładzie górnośląskiej rzeczywistości kulturowej znamiennej jeszcze w okresie międzywojennym. I to jest treść tego artykułu. Ale dodać tu trzeba, że pewne treści tej rzeczywistości były jeszcze obecne po 1945 roku, kiedy stopniowemu rozchwianiu ulegały tutejsze społeczności homogeniczne, może nawet w skrajnej formie swoiste izobaty kulturowe zamknięte tylko w swojej tradycji. Były to społeczności, jak to czytamy w opracowaniach naukowych „zintegrowana przez wspólne doświadczenie pokoleniowe, język (...), podobny tok dnia codziennego i zbliżone perspektywy życiowe, a przy tym grupy o wyrazistych, łatwo rozpoznawalnych cechach, swoistej odrębności regionalnej wynikającej z usytuowania na pograniczu”.

Słów kilka o śląskiej religijności

Tradycyjna śląska religijność, w jakimś sensie jest szczególnym przypadkiem religijności typu ludowego. Czy zatem to coś deprecjonującego? Na pewno nie. Oto bowiem w „Katechizmie Kościoła Katolickiego” czytamy: „Religijność ludowa w swej istocie jest zbiorem wartości odpowiadających w duchu mądrości chrześcijańskiej na podstawowe pytania egzystencjalne. Zdrowy katolicki zmysł ludu odznacza się zdolnością tworzenia syntezy egzystencjalnej. W ten sposób dochodzi do twórczego połączenia elementu Boskiego i ludzkiego, Chrystusa i Maryi, ducha i ciała, wspólnoty i instytucji, osoby i społeczności, wiary i ojczyzny, rozumu i uczucia. Mądrość ta jest rodzajem humanizmu chrześcijańskiego...”. I dalej, iż tak pojmowana religijność „odbudowuje podstawowe braterstwo, uczy spotkania z naturą i zrozumienia czym jest praca...”. Jeśli zatem poddać analizie



tradycyjną religijność górnośląską, owe treści i wartości można wyraźnie odnaleźć w interpretacji doktryny, celu świata i człowieka, w sposobie pojmowania praktyk religijnych, w pobożności, w tradycyjnej otoczce roku kościelnego, w pojmowaniu cykli ludzkiego życia, etc.

W pracy i w rodzinie...

Na początek skoncentrujmy się na środowisku pracy, konkretnie górniczym, ale w jej kontekście także na niektórych aspektach życia rodzinnego. Jakich? Tych w wyraźnym zakresie powiązanych z pracą mężczyzny, ojca, brata, męża na grubie. Otóż w miejscu pracy – szczególnie właśnie w realiach dawnych środowisk górniczych – związek z sacrum był ustawiczny, obecny. Szeroko rozumiana duchowość, trwałe kontakty z tym, co nadprzyrodzone, a wreszcie szczególnie postawa wobec drugiego człowieka określały istotę robotniczego życia. Tak było, i nie jest to stwierdzenie, które określa jakiś szczególny typ dawnego, naiwnego, ludoznawczego czy etnograficznego zachwytu nad fenomenem tej kultury, zachwytu zdeterminowanego uproszczonym widzeniem tej rzeczywistości. O realiach końca XIX wieku i początków ubiegłego stulecia świadczą następujące wypowiedzi: „Było tak, że cała szychta związana była z Bogiem i św. Barbarą. Inaczej być nie mogło. To od rana się widziało”. Okazuje się, że scenariusz górniczego dnia był praktycznie związany ze sferą religijności, szczególnego pojmowania samej pracy, ale też i miejsca pracy. Zwyczajowo pierwsza budziła się rankiem żona, która musiała jak powiadano „chopa do roboty na gruba wyrzuchtować”. A dzień musiała rozpocząć od modlitwy. Tak należało inicjować każdy dzień. Ona też po przygotowaniu jadła przed pracą męża i do pracy musiała go budzić. O tym wszystkim pięknie śpiewają dawne górnicze pieśni, jak ta z Katowic:

Chłopecku złoty, wstój do roboty,
Wstój do roboty, bo już czas
Słyszysz, bo już czas
Na twój „Kleofas”.

A kiedy górnik rano wychodził „na gruba” zwyczaj nakazywał, aby żona żegnała go w specyficzny sposób. W jaki? Ano w taki, aby odwoływała się do Boga i patronki górniczego stanu. Mówiła więc do wychodzącego:

„Bóg Cię prowadź”, „Z Panem Bogiem”, i jakże często kobiety dopowiadały „A niech cie do roboty św. Barbara prowadzi i mo nad Tobą czuwaniem”, lub: „Niech Barbórka mo cie w opiece na tyj twojej szychcie”. Wychodzący zaś mówił przykładowo: „Z Panem Bogiem i Bóg ci zapłać”. A niekiedy dopowiadał, że w razie niepokoju o los męża, żona powinna modlić się i zwrócić się o pomoc do św. Barbary. Pojawiały się zatem zdania w rodzaju: „A jak Cie nadejdzie coś, to pamiętej rzykej za mnie, co bych Vos nie zostawił”. Bywało, że górnik wydawał wręcz szczegółowy nakaz: „Wielu teraz tego jest (wypadków na kopalni – przyp. MGG) to przed południem idź i rzykej przed naszą figurą (św. Barbary – przyp. MGG). A jo tyż jak każdego dnia pada do niej u siebie na grubie”. W ten sposób górnik nawiązywał do codziennej tzw. adoracji górników w cechowni, która się odbywała przed szychtą. Ale nim to nastąpiło, robotnik zazwyczaj piechotą wraz z kolegami szedł do pracy. Kiedy zaś górnicy się spotykali zwyczajowo mówili do siebie na powitanie „Szczęść Boże”. I co charakterystyczne, już wtedy – choć faktycznie szychta się jeszcze nie zaczęła – obowiązywały pewne reguły, które odzwierciedlały panujące w środowisku konwenanse. A zatem do równych sobie mówiono „per Ty”, do wyżej stojących w górniczej hierarchii, „per Wy”, a do ewentualnych przedstawicieli dozoru „per Oni”. Górnik z katowickich Murcek wspomina, że tak mówiono jeszcze po II wojnie światowej. „Inaczej być nie mogło ino tak. Bo szacunek był wtedy między robotnikami. Tyn co był starszy wiela widział, wiela umiał, o tym każdy wiedział. Taki to był nie ino jak nauczyciel, ale jak przewodnik. Nawet jak młody był jak taki inżynier z naszego familoka, to się do niego godało: *A dyc powiedzom nom czy tam mogomy iść sami*. Tak było...”. Wedle wspomnień górników notowanych przeze mnie w latach 70. XX wieku, zwyczaj nakazywał też, aby przed wejściem do kopalnianej bramy przeżegnać się znakiem krzyża. „Tak to trzeba było zrobić, jak przed kościołem, jak człowiek do kościoła wchodził, tak przez uszanowanie...”. To było uszanowanie miejsca pracy, kopalni, owej „mamulki”, która była uznawana za żywicielkę. Z tego powodu należał się jej szacunek. Ale żegnano się też znakiem krzyża z innego powodu. Górnik z Piekar tak to tłumaczył: „Kożdy wie ile dawniej wypadków było. Ciągłe. A to kogoś zasulo, abo coś

na niego spadło, a nie dej Panie Boże, że było tapnięcie. Ło tym trza było zawsze pamiętać. To przez to kożdy, jak wchodził na ta swoja kopalnia to się żegnał, i prosił o pomoc, coby mu się nic złego nie stało...”. A zatem brama była granicą między jednym światem, a drugim, między światem bezpiecznym i światem niebezpiecznym, między światem nie-pracy, i światem pracy. A co było potem? Otóż typowa duchowość górnicza dalej określała istotę dnia, a konkretnie górniczego dnia, bo po przekroczeniu bramy kopalni już rozpoczynała się „prawdziwo szychta”. Górnicy udawali się więc do cechowni. A tam zwyczajowo odbywała się modlitwa do św. Barbary, a jeszcze na przełomie XIX i XX wieku tzw. adoracje do patronki górniczego stanu. Często prowadził je stary górnik, mężczyzna już nie pracujący, lub górniczy inwalida. Ów, jak niekiedy mówiono „śpiewok”, przewodniczył modlitwom i śpiewom. A po ich zakończeniu i „rozdzieleniu roboty” górnicy zjeżdżali windami do kopalni. I znów, jak zwyczaj nakazywał, żegnano się znakiem krzyża. A po wyjściu z windy udawano się już bezpośrednio do wyznaczonego miejsca pracy. Górnik, do którego dotarłem dzięki pomocy znakomitego folklorysty Adolfa Dygacza, opowiadał, że przed rozpoczęciem pracy robotnicy jeszcze w latach międzywojnia, kolejny raz żegnali się znakiem krzyża. Wspomniał jeszcze o innej tradycji, którą podówczas zanotowałem: „Musicie wiedzieć, że jak jo zaczynał robota to nakaz był taki, że samo robota trza było poświęcić. Tak musiało być. To musiał kożdy wiedzieć. To nie znaczy, że wodą święconą sie robota świeciło. Nie. Kaj tam. No, ale rynka sie podnosiło i tom rynkom znak krzyża świętego sie robiło. A ojcok, znaczy Tyn, co miał nad młodym patrynie spoglądol na wszystko (...). No i taki młody karlus, co jeszcze długo śleprem nie był – woniol wszystko ze strachu – i przy tym znaku godol: *W imię ojca, i syna jego, i ducha świętego, amen*. I to był koniec bo sie wtedy robota zaczynało. Nos młodych tego sie uczyło, ale kożdy górnik wtedy tak robił”. Interpretacja tego zwyczaju była nader prosto wyjaśniana. „Wszystko robota jest, jak jest z Bogiem napoczynano, bo bez tego nic nie jest warta. Ino Diobłu na pociecha (...). Wszyndzie tak jest, bo przeca chłop na wsi tyż zawsze robota kożdo od Pana Boga napoczyno. Ino tak, ino...”. A kiedy pracę kończono znów zwyczajowo się żegnano. I jeszcze przed wyjazdem niekiedy mówiono

przykładowo: „Bóg ci Panie zapłać”. Była to forma podziękowania za szczęśliwie zakończoną szychtę. A po wyjeździe na powierzchni znowu zwyczajowo udawano się do cechowni i powtórnie modlono się do św. Barbary. Dziękowano „za szczęśliwy dzień”.

Niezwykłym zwyczajem w rodzinach górniczych było jeszcze w latach międzywojnia, iż po powracających z pracy górników wychodziły ich dzieci. W tych środowiskach, w których właściwie obowiązywała wstrzeźliwość w okazywaniu uczuć, zasygnalizowana tradycja była czymś niezwykłym. Dlaczego? Bo sami górnicy po latach wspominali, iż zawsze oczekiwali na swoje dzieci. To wtedy, chyba wyjątkowo, trzymali je za ręce i wracali do domu słuchając ich opowieści. Wyjątkowa sytuacja, wyjątkowa scena, przejaw szczególnej więzi ojca z dziećmi. Do rangi symbolu zaś urasta moment wielokrotnie wspomniany przez moich rozmówców, moment pełen serdeczności, szczególnej więzi i duchowości. „Było tak, że jak pamiętam to my często po ojca wychodzili naprzeciwno. Potem to nawet, ale już po 45 roku, to po mnie też jakiś czas dzieci wychodziły. Było tak, że my do ojca podchodzili to łon na nos niekiedy tak burknął. A my ino czekali czy któremuś do ta swoja torba do niesienia, a najwięcej to się czekało jak z tej torby chleb broł i nom dowoł. Chleb z dołu to on pięknie pachniał, łon po śląsku on wonioł. Tego nie do się zapomnieć. Chleb z fetom, ogórkami (...). To była cało ceremonio. To tak jak w tym filmie Kutza („Paciorki jednego różańca” – przyp. MGG), kiedy dziadek (górnika, Karol Habryka, grany przez Augustyna Hallotę – przyp. MGG) dowo łoskrabiny dło królików przyręchtowane do powonienio wnukowi. Jo tyż takie rzeczy pamiętom, bo my mieli króliki w chlywiku”. Owo wyjście po wracającego z pracy górnika i wspólna droga z dziećmi do domu miało charakter zwykły, prozaiczny, ale i swoiście ceremonialny, wręcz też symboliczny. To był wyjątkowy pełen duchowości fragment dnia. I tak, jak uroczyste, pełne odwołań do sacrum było pożegnanie górnika udającego się na gruba, tak swoiście uroczyste było jego powitanie. Lapidarne, pozornie zwykłe, ale jednak doniosłe. Górnik wchodził z dziećmi do domu i mówił: „Szczęść Boże”, i dodawał niekiedy: „A dziękuja Ci św. Barbaro żeś mnie do dom przywiodła szczęśliwie”. A żona mówiła przykładowo: „Szczęść Boże, i dziękuja żeś go do dom całego sprowadził”. Wszyst-

ko, co dalej się odbywało; odbywało się, jak każdego dnia, po prostu wedle zwykłego, wręcz banalnego scenariusza. Szczególna i intrygująca antropologia codzienności. Ale zarazem niezwykła pełna duchowości, mediacji z sacrum i z wszystkimi domownikami. Od powrotu górnika do domu wszystko miało swój porządek, swój czas, nieomal swój ustalony tradycją wzór, a może nawet kanon zachowań. Tak więc górnik powracający z gruby musiał się jeszcze raz umyć. To nie chodziło o zwykły zabieg higieniczny, wszak mył się po szychcie jeszcze na kopalni. Tu chodziło o coś więcej. Mycie więc w misce, niekiedy za kotarą, ale jednak niekiedy na oczach rodziny miało dodatkowy sens. To była swoista ablucja, górnik zmywał pozostałości, znamiona „tamtego” innego świata, niebezpiecznego świata pracy. A kiedy następował obiad, następował zarówno czas prozaicznego, choć głównego posiłku rodzinnego. I z całą pewnością rozpoczynał się czas szczególny. Bo górniczy – nawet ten pozornie najbardziej zwykły – obiad był czasem szczególnym, powtarzanym każdego dnia, ale jednak szczególnym. Właściwie znaczącym aktem dramatu dnia codziennego. W czasie jego trwania musiał obowiązywać pewien rytuał, a więc swoistego rodzaju następstwo zdarzeń, i ściśle określonych zachowań przypisanych i obowiązujących każdego z jego uczestników. Gospodynią przy stole była żona, organizatorka biesiady, zaś mąż to zwyczajowo osoba szczególna, osoba decydująca o charakterze biesiady, jej atmosferze, nawet swoistym rytuale. To on inicjował rozmowę, a dzieci mogły się odzywać tylko po odpowiednim zaproszeniu do niej. To wszystko – jak kiedyś pisała socjolog, profesor Wanda Mrozek – wynikało z jego pozycji w rodzinie górniczej.

Każdego też dnia stół był nie tyle sprzętem, przy którym spożywano posiłek, ale miejscem szczególnym, wyjątkowym, miejscem godnego zachowania, a wszelkie spory, nawet najdrobniejsze były zakazane, bo pozostawały w sprzeczności z ideą stołu i wspólnoty, która się tworzyła. A ponadto spożywano przy nim dar boży. Tak więc spór był obrazą Boga i ludzi spożywających posiłek. Złe zachowanie źle wróżyło wszystkim, powtórzmy wszystkim, a zwłaszcza temu kto zachował się niegodnie. Zarazem zwłaszcza odejście od stołu, tak jak we wszystkich regionach polskich, także na dawnych polskich Kresach

Wschodnich było dowodem obecności w domostwie jakiegoś demona, i szej Diabła głównego antagonisty Jezusa. I z tego powodu nawiązywano do ostatniej wieczerzy przy której był judasz. Wtedy wprawdzie nie ośmielił się zakłócić, „zepsuć” spotkania, ale już knował. A zatem „Ten kto łąci przy stole z Diabłem knuje”. Stół jest miejscem świętym i dlatego jest szczególnie atakowany przez złe moce, którym ulegają ludzie źli. W to wierzą i śląscy górnicy, i łódzcy włókniarze, i robotnicy z Sierszy o czym opowiadał mi znakomity socjolog Edward Pietraszek i chłopci – i to do dziś – na Wileńszczyźnie. No cóż, a w lokalnej tradycji górnośląskiej, tradycji plebejsko-miejskiej stół był miejscem skupienia rodziny, jej radości i harmonii. Bo właśnie ona była istotą duchowości. Harmonia, która wyrastała na początku z poszanowania drugiego człowieka, o którym każdy wiedział, że został stworzony na obraz i podobieństwo samego Boga. A zatem stosunek do drugiego człowieka to jakby, a może zawsze stosunek po prostu do Boga.

Życie w przykopalnianej osadzie

A teraz skoncentrujemy się na wybranych elementach życia sąsiedzkiego, życia familokowego, gdzie wszyscy się znali, po prostu każdy każdego. A do tego dodajmy, że owe środowiska górnicze na Górnym Śląsku były zazwyczaj homogeniczne. A zatem wszelkie podobieństwo zachowań było znane i oczekiwane. A owa homogeniczność wyrażała się w sferze etnicznej, społecznej, zawodowej, religijnej, kulturowej, aksjo-normatywnej, mentalnej. Także w ludowej wizji człowieka i świata. A zatem skoro w przykładowych osadach wszyscy się dobrze znali, wszelkie odstępstwa od kanonu zachowań były wykluczone. Obowiązkowe było harmonijne współzycie społeczne. Obowiązkowe było poszanowanie obowiązujących norm, zachowanie i działanie na rzecz trwałości ładu społecznego. A w idealnym rozumieniu ład społeczny to spokój i „dążenie do uporządkowania życia społecznego poprzez wartości, normy i postawy”. To było zaś właśnie typowe dla przykładowych osad i osiedli górniczych. I była w tych społecznościach specyficzna „koncentracja życia do wewnątrz”. A wszelkie zachowania dewiacyjne nie tylko były wykluczone, ale potępiane. W razie ich wystąpienia dewiantom groziła nie

tylko obmowa, napiętnowanie, ale wręcz wykluczenie. Istniał przecież wzór dobrego męża, dobrej żony, dobrego kawalera i dobrej panny. Te wzory były powszechnie znane, zatem ich naruszenie było niemożliwe. Tak więc męzczyzna powinien być robotny, porządny, nie pić jak głupi, szanować robota, dbać o kamratów, dbać o swoją rodzinę etc. A kobieta powinna być porządno i bez to się na chłopów nie oglądać, być gospodarno. Oszczędna, czysta, dobrze warzy, o dom i dzieci dbać, chłopów szanować, etc. Lecz, jak to zwykle bywa, istniała szansa na obmowę, na wskazanie, iż czyjeś zachowanie jest naganne, pozostaje w sprzeczności z panującym wzorem. Biała jednak temu kto się zdobył na krytykę drugiego, a było to nieprawda. Tacy byli wykluczani z lokalnej społeczności. To byli „Judasze”. A jak powiadano „Godać o drugim źle bez nijakiej przyczyny to grzech wielki, no bo to już się zaczęło od Jezusa. I jest też napisane w VIII przykazaniu: *Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu*. I co z tego bo tak źli robią”. A zatem ta prosta wykładnia górnośląskiego myślenia jest zbieżna z doktryną Kościoła. Wszak w „Katechizmie Kościoła Katolickiego” czytamy, że owo przykazanie „zabrania fałszowania prawdy w relacjach z drugim człowiekiem. Ten przepis moralny wypływa z powołania Ludu świętego, by był świadkiem swojego Boga, który jest prawdą i chce prawdy. Wykroczenia przeciw prawdzie – przez słowa lub czyny – wyrażają odmowę zobowiązania się do prawości moralnej; są poważną niewiernością Bogu i w tym sensie podważają podstawy Przymierza”. W tym kontekście warto zaznaczyć, iż specyfika i rytm życia górniczych osad oraz osiedli przykopalnianych uzależniony był nie tylko od reguł unormowanych tradycją typowej zawodowej zwyczajowości, etosu zawodowego ale też norm współżycia wyrastających z etyki chrześcijańskiej. Widać to choćby na przykładzie okresu Adwentu, ale też oczywiście tradycyjnej Barbórki.

Jeśli chodzi o czas poprzedzający świętowanie Bożego Narodzenia, to w lokalnej tradycji nie tylko okres oczekiwania na Narodzenie Pana, ale też czas obowiązywania określonych zakazów i nakazów. One precyzyjnie regulowały pewne sfery życia społecznego. W nich wyraźnie odzwierciedlał się stosunek do „drugiego człowieka” i to konkretnie członka własnej społeczności, swojaka. I w tym okresie

należało tych, których się „przez ostatni rok” obraziło, którym się wyrządziło krzywdę, przeprosić, zrekompensować wyrządzone zło. „W Adwencie trzeba było być porządnym, tak musieli wszyscy robić, nie szło też pić, za dużo jeść, no i jeszcze tak dali, a dzieci też nie mogły się za dużo bawić. To wszystko po prowadzie religia, ale trza wiedzieć, że tak trzeba było żyć i każdy ło tym wiedział (...). Przez to życie w familkach normalne było”. To była konieczność. Na straży tej tradycji stała nie tylko norma religijna, ale i zwyczajowa, obowiązująca w „górnictwym stanie”. Przecież tradycyjne „kamracstwo” wykluczało wszelkie spory. Stąd realna, banalna codzienność, i jej monotonia w perspektywie antropologii codzienności, to swoisty rytm i specyfika ludzkich zachowań, to powtarzanie i odtwarzanie konkretnego wzoru zachowań. W tych realiach utrzymywało się też przekonanie o swojej wyjątkowości, swojej wyższości cywilizacyjnej, ale też tzw. śląskiej krzywdzie, ustawicznego wykorzystywania przez „obcych”. Obok tego, co racjonalne funkcjonował też mit, pewien szczególnie sposób opisu świata; pewien rodzaj satysfakcjonującego systemu eksplikacyjnego, systemu pozbawionego ze względu na obowiązującą normę – alternatywy. Wyraźnie odwołuje się do emocji, wiary, przekonań, wyobraźni będąc też zbiorem określonych wartości i norm. Te społeczności charakteryzowało też jakże typowe zjawisko solidarności. Wyraźna integracja społeczności następowała zwłaszcza w okresie strajków, gdy całe rodziny podchodziły pod kopalnie i tam czekały z jedzeniem na pozostających w podziemiach męzczyzn. Jeszcze silniej owa solidarność ujawniała się w czasie wypadku na kopalni. „To była wielko ceremonio jak sie czekało pod kopalniom na swoich, co zostali na dole. Czekalo się cały dziyń, rzykało się, kobiety święte obrazy przynosiły, śpiewy szły, w koszach było jedzynie, coś do picio dla tych biedoków. A starzyki godali, że dobrze się skończy (...). Często obrazy czy figury Barbórki ludzi przynosili. Wielki to był czas...”. A gdy nastawał czas zwyczajowej Barbórki życie osady górniczej ulegało gwałtownej zmianie, atmosfera była uroczysta i odświętna. Od rana orkiestra kopalniana chodziła po ulicach, grała tradycyjne utwory, zwłaszcza z repertuaru górniczego. Wcześniej rano górnicy udawali się do kopalni, aby uformować orszak,

który udawał się do kościoła na uroczystą mszę. Potem wracano do kopalni gdzie odbywały się zawodowe uroczystości kopalniane, a później następowała zabawa; wieczorem obejmowała już wszystkich, całą lokalną społeczność, nawet dzieci. Następowala eksplozja ludyczności, bo religijna norma przyzwolenia zezwalała na to, aby w ten czas adwentowy jednak się bawić, jeść do syta a nawet pić alkohol. Wszak w Barbórkę, jak powiadano, „łozarty górnik chodził od murka do murka”.

Stosunek do nie-swoich, czyli tolerancja i otwartość

Oczywiście w takim przypadku ukazuje się zazwyczaj relacje z „tymi z Zagłębio”, a niekiedy też z „werbuzami”. Ale pomijany jest zazwyczaj stosunek, czy postawa wobec „tych zza Buga”. A właśnie ten przypadek – poza utrwalonymi zazwyczaj negatywnymi, stereotypowymi relacjami, obciążonymi wieloma podejrzeniami „z Zagłębiokami” – określa szczególny rodzaj postawy wobec nie-swoich, wobec obcych. Wobec przybyszy z innej, odległej ziemi, ludzi kulturowo odmiennych, i „dziwnie godających”. Wydaje się – nie popadając w jakąkolwiek przesadę, iż ujawnia się w tym stosunku Górnoślązaków wobec Kresowian, swoista otwartość ludzi tego regionu. Otwartość wobec przybyszy. I trzeba też podkreślić jeszcze jedno, to znaczy swoistą tolerancję, mimo początkowej ostrożności, a także swoiste poczucie współczucia, ale też identyfikacji z trudnym losem Kresowian. Na przybyszy zza Buga z czasem coraz częściej spoglądano jako na ludzi wypędzonych z ojczystej ziemi.

Bo Ślonzok coś w sobie mo...

W miejscu uwag końcowych odwołam się do następującej wypowiedzi: „Jak się teraz patrzy, jak u nos dawniej było, to trzeba powiedzieć, że teraz już tego nie ma (...). A teraz jak się skończyło prawdziwe górnictwo to bardzo wiele już rzeczy dawnych umarło. No jo powiem, że wszystko się zmieniło; my też. No coś z tego zostało, jednak zostało. Powiem, że jednak Ślonzok zostanie zawsze Ślonzokiem. Bo Ślonzok coś w sobie mo i nim zostanie. Taki czy siaki. Szarpią nami w każdo strona, no my na Boga zawsze patrzmy (...). I zadajmy pytanie: A co teraz?”



Rozmowa z **PRZEMYSŁAWEM FABJAŃSKIM**,
podróżnikiem i dyrektorem Uniwersyteckiego Liceum Ogólnokształcącego w Chorzowie

Podróżnik, włóczęga



Przemysław Fabjański na szczycie Stok Kangri 6.153 m n.p.m

Czy możliwe
jest podróżowanie
romantyczne
w dobie turystyki
konsumpcyjnej?
Albo odkrywanie świata
już dawno odkrytego
i rozdzielonego
między imperia
i strefy wpływów?
Czy podróżowanie
to sama przyjemność?
Dlaczego lubimy słuchać
podróżników?

– Jest to znamienne, że Zygmunt Bauman wyróżniając cztery typy osobowości dominujące w ponowoczesności sięga do języka podróży – wyróżnia spacerowiczów, włóczęgów, turystów i graczy. Jakim typem jest Przemysław Fabjański?

– Jeśli już muszę wybrać, to chyba jednak włóczęgą. Komfort finansowy jest dla mnie mniej ważny w życiu i w podróżach, bardziej cieszę się tym, co zobaczę, co zaabsorbuję i czym potem będę mógł się podzielić z innymi. Podróż to przygoda, czyli dla mnie kwestia nabywania czegoś czy

kolekcjonowania wrażeń nie jest tak ważna jak zaskoczenie i spotkanie z drugim człowiekiem.

– **Czy podróż wiąże się z odkrywaniem?**

– Tak, jak najbardziej, dla mnie każda podróż to jest eksploracja. Nawet jeśli jadę do tak turystycznie oklepanego miejsca jak Paryż, to mam nastawienie odkrywcze. Nie muszę chodzić utartymi szlakami i „zaliczać” standardowe zabytki. Chodzę swoimi drogami i mam oczy szeroko otwarte. Staram się zawsze rozmawiać z ludźmi, nie stronić od „Innych”, nie izolować się. Nigdy nie byłem na wczasach w tzw. turystycznym getcie, czyli zamknięciu w all-inclusive. Nie oceniam tego źle, bo rozumiem, że ludzie, którzy generalnie mają 2 tygodnie urlopu chcą w końcu odpocząć, mieć ten basen, drinka i niczym się nie przejmować. Ja, ponieważ pracuję umysłowo cały rok w szkole, staram się resetować w inny sposób, mianowicie pracą fizyczną. Nie szukam wtedy wygod. Stąd te wędrowki, tanie hotele, tanie przejazdy lokalnymi środkami, bo zawsze staram się spotkać, mówiąc pieszczotliwie, z *lokalsami* i z nimi porozmawiać. Jak najlepiej dowiedzieć się czegoś o innym kraju? Przede wszystkim słuchając ludzi! W podręcznikach różne rzeczy piszą, nie zawsze i niekoniecznie to muszą być jedyne i słuszne prawdy. Ja wolę z ludźmi rozmawiać na miejscu.

– **Ciekawe podejście pedagoga.**

– Myślę, że to stąd się bierze ciekawość poznawcza i chęć poszukiwania, albo weryfikowania swojej wiedzy o świecie.

– **Czyli jest możliwe być w dzisiejszych czasach podróżnikiem, nawet jeśli cały świat jest już odkryty?**

– Myślę, że jak najbardziej. Kiedy się rodzimy, wszyscy jesteśmy *tabula rasa*. Dla każdego z nas świat jest białą plamą, którą przez całe życie odkrywamy – wyjeżdżając dalej czy bliżej, do Świętochłowic czy do Indii, ale to jest podróż. W sensie jakościowym. I tu, i tam możemy znaleźć nie tylko ciekawe miejsca, ale coś co nas zafascynuje, zainteresuje. Będziemy to badać, wyjaśniać – w tym tkwi istota naszego odkrycia, znaleźć taki temat, który będziemy chcieli wyjaśnić.

– **Jak przygotowuje się Pan do podróży?**

– Bardzo nie lubię jeździć gdzieś w ciemno. Przygotowuję się zawsze etapowo – od lektury przewodników i literatury naukowej, potem jest przygotowanie zdrowotne, a na końcu ograniczenia bagażu do plecaka. Podróż jednak nie kończy się dla mnie z momentem powrotu, potem jest to, co popularnie nazywa się ewaluacją.

Jest to zebranie wspomnień, doświadczeń, zdobytej wiedzy i umiejętności. Potem tym wszystkim dzielę się z wielką chęcią. Cieszę się, gdy mogę na jakimś forum opowiedzieć, nie tyle o swoich przygodach, ale o obserwacjach, o tym jacy są ludzie, bo to dla mnie jest najważniejsze. Wiadomo, że jako przyrodnik, geograf, geomorfolog i geolog patrzę na świat wielowarstwowo, jak na warstwy geologiczne skorupy ziemskiej. Patrzę na świat i analizuję go, jak ogromną otwartą księgę z zapisaną historią Ziemi.

Bazując na swojej wiedzy potrafię odtworzyć przeszłość, potrafię z tych skał odczytać i opowiedzieć co działo się kiedyś, odtworzyć sobie warunki środowiska, ale zwiedzam tę naszą kochaną planetę nie ze względu na florę, faunę czy litologię. Dla mnie najbardziej interesującym jest zamieszkujący Ziemię gatunek ssaka o nazwie *Homo sapiens sapiens*. Uczę się tym samym od Innych – nie ważne na jakiej szerokości geograficznej jestem... I konkluzja jest niezmienna od wielu lat – wszyscy jesteśmy tacy sami. Tak więc denerwują mnie te nasilające się skrajne nastroje nacjonalistyczne, zachowania rasistowskie. Trudno je zrozumieć, zaakceptować. Właściwie nie da się.

– Niby jesteśmy wszyscy tacy sami, ale jednak są różnice. I światowe podróże powinno to uwzględniać, czy dla tych różnic mieć szacunek.

– Tak, jasne. I bardzo dobrze, że te kulturowo-obyczajowe różnice występują. Bывают czasami zaskakujące i człowiek się czuje jak słoń w składzie z porcelaną, nie wie jak się zachować, ale to dobrze, bo człowieka wyraża z jego *status quo* i zmusza do refleksji. I dochodzi się do wniosku, że świat wartości jest taki sam, bez względu na to, gdzie jesteśmy czy jaką religię wyznajemy. Są jednak tacy, którzy chcą wykorzystywać te różnice do własnych celów i wmówić, że pewni Inni są z natury źli. Wojna to w końcu dla niektórych biznes.

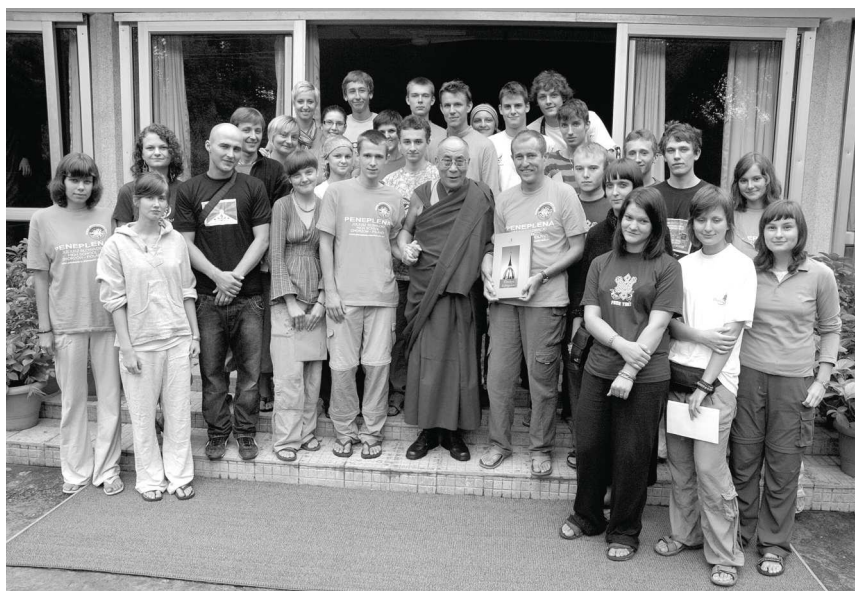
To nie jest tak, że biali są zawsze dobrze postrzegani – przykładowo w Boliwii uważało się do niedawna, że chrześcijanie, którzy zresztą kolonizowali w czasie konkwisty ten kraj, że kradli dzieci i nimi handlowali. To tak samo niesprawiedliwe, jak powiedzieć, że wszyscy muzułmanie to terroryści. Bzdura. Okej – wszędzie są terroryści, zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że terroryzm to europejski, autorski pomysł, który się niestety rozprzestrzenił na cały świat.

– Chrześcijaństwo zamiast nieść pokój przejawia tendencje podbojowe?

– Na pewno tak było. Mamy długi okres pokoju na Ziemi, chyba najdłuższy – i bardzo dobrze, że tak jest. Aczkolwiek od zakończenia II wojny światowej nie było dnia, żeby gdzieś wojna się nie rozgrywała. Jednak w krajach cywilizacji łańskie mamy względny spokój. Oczywiście to nie jest tak, że nie było wojny i to jest przyczyną terroryzmu. Główną przyczyną są dysproporcje między Północą a Południem, czyli tym światem, w którym my się znajdujemy, a którego też czasem nie doceniamy, a np. Afryką, z której najpierw wysłaliśmy siły witalne, a którą potem porzuciliśmy.

– Jak słusznie zauważa Kapuściński w „Hebanie”.

– Prawda? Część rdzennej ludności wywieźliśmy na inne kontynenty i sprzedawaliśmy jak narzędzia. Potwór rasizmu drzemie cały czas w naszej cywilizacji. Oficjalnie w USA dopiero lata 60. XX wieku zakończyły działalność rasistowską względem Afroamerykanów, umożliwiając chociażby podróżowanie tym samym autobusem co ludność biała, małżeństwa mieszane itp. Tymczasem my, biali, też jesteśmy ludnością napływową w wielu regionach świata. Trzeba to cały czas sobie



Audiencja u XIV Dalajlamy

uświadamiać i myśle, że to jest misja w tych niepewnych czasach groźnych walk urojonych, które stają się prawdziwymi. Można się z sobą nie zgadzać, ale narzędziem do rozwiązywania problemów powinien być język, a nie pięści.

W moim gabinecie powiesiłem zresztą zdjęcia ludzi, którzy o pokój walczyli, dla nieustannego przypomnienia o tej misji. Na przykład Mahatma Gandhi, który jest moim niedoścignionym wzorem, a mimo to, nie zgadzam się z nim w każdym aspekcie. To był bardzo oryginalny człowiek, trochę dziwak, ale ostatecznie to on doprowadził do tego, że Anglicy bez wystrzału, wręcz z podkulonymi ogonami uciekli z Indii. Metaforycznie ujmując, zabił ich jego spokój i niestosowanie przemocy. Tą drogą podążali też Aung San Suu Kyi, Lech Wałęsa czy Nelson Mandela.

– Żyjemy w czasach wielkiego paradoksu – z jednej strony granice są otwarte, turystyka to jeden z bardziej dochodowych biznesów, podróżowanie już dawno nie jest elitarne, a wielu ludzi cechuje wręcz kosmopolityczna postawa, a z drugiej strony rośnie obawa przed obcymi, przed innością, ludzie budują polityczne forty. Skąd ten strach?

– Nie potrafię dać jednoznacznej odpowiedzi, może to kwestia dostępu do informacji, może wręcz medialna propaganda – wielokrotnie powtórzone kłamstwo stanie się w końcu prawdą. Szczególnie ma to szanse rozprzestrzenić w krajach totalitarnych albo autorytarnych, gdzie media publiczne opanowane są przez jedną opcję polityczną.

– Cały świat z niepokojem patrzy teraz na Koreę.

– Ale też Europa patrzy z niepokojem na Polskę, my patrzymy z niepokojem na Syrię, na Bałkany... Muszę powiedzieć, że jestem zawiedziony podwójnymi standardami moralnymi naszego społeczeństwa – nie chcę tu wrzucać wszystkich do jednego worka, ale jednak gros rodaków, zapomniało o tym, że jesteśmy narodem imigrantów nie tylko politycznych, ale w dużej mierze również ekonomicznych, zarówno przed II wojną światową, jak

i w latach 70., kiedy żelazna kurtyna zaczęła pękać, czy potem jako przeogromna fala emigracji w latach 80. Oprócz działaczy opozycji, którzy dostawali czasem tzw. „propozycję nie do odrzucenia”, powód był głównie ekonomiczny. A gdy po przystąpieniu do Unii Europejskiej otworzyły się wszystkie granice – atrakcyjne warunki pracy na Zachodzie spowodowały kolejny odpływ. Świat nas przyjmował, a w czasie komunizmu pomagał, czego sam byłem świadkiem. Kościół robił wtedy wspaniałą robotę, sam w dystrybuowanie paczek byłem zaangażowany. Ilości darów były przeogromne. A nasza szczodrość? Gościnność?

– Nośnym hasłem wywoławczym jest „granica” – zadajemy pytanie (słuszne czy nie) o granice gościnności. Na ile można i powinno się pomagać innym, na ile powinno się dystansować i pielegnować te „piękne różnice”. Jest to duży dylemat, i jeśli przyjrzeć się reakcjom w mediach to wydaje się, że odpowiedzi na to są tylko dwie – albo separatyzm, albo totalna unifikacja i zdominowanie przez silniejszą kulturę.

– Ja uważam, że różnorodność w jedności jest bardzo ważna i możliwa do utrzymania. I to bardzo dobrze, że w ramach jednego kraju są regiony z różną identyfikacją kulturową. Służący ze swoim etosem pracy bliscy są obszarowi kultury zachodniej, nie ujmując mieszkańcom Mazowsza czy Podlasia, po których widać przynależność do kultury wschodniej. Różnice między nami są znaczące, ale co nas łączy? Mamy wspólną wartość jaką jest nasza ojczyzna Rzeczpospolita Polska, jej dobro i rozwój, i to jest najważniejsze. Czy jest istotne, że ktoś zaciąga, a ktoś „słazaczy”, że ktoś jest katolikiem, ewangelikiem czy żydem? Mi się ta różnorodność bardzo podoba, tzw. monolity nie są dobre. Społeczeństwo, które musi mieścić się w jakimś szablonie, ma ograniczoną wolność. Możemy wierzyć w co nam się podoba, a przekonania polityczne są naszą prywatną sprawą, przynajmniej tak zapisane jest w Konstytucji. Nie ze wszystkim muszę się zgadzać, ale powinienem innych



Wizyta u księżnej Hershad Kumari – córki Dobrego Maharadży

szanować. Np. kiedy jestem w krajach muzułmańskich, nie jem ostentacyjnie w Ramadanie od wschodu do zachodu słońca nie dlatego, że jestem muzułmaninem, ale staram się okazać szacunek miejscowym zwyczajom i ludziom.

– Podsumowując – podróżowanie może być lekiem na to zło, bo uwrażliwia, uświadamia i uczy szacunku?

– Tak właśnie. My, Europejczycy, często uważamy, że nasz kontynent jest pępkiem świata, pewnie tak samo myślą Amerykanie. I może tu tkwi problem, bo w XXI wieku skończyło się panowanie kultury łacińskiej. Patriotyzm to nie nacjonalizm, trzeba szanować inność i przestrzegać zasad, kiedy jesteśmy w innych krajach.

– Stąd też negatywne zjawiska jak wolonturyzm (wolontariat, którego nadrzędnym celem jest wyjazd do egzotycznego kraju) czy beg-packing (podróżowanie za darmo do krajów z dużym odsetkiem ludzi biednych licząc na ich pomoc finansową)?

– Widzi się te zjawiska szczególnie w krajach-imprezowniach, np. w Tajlandii. Tam niektórzy biali turyści zachowują się jak zerwani ze smyczy swojej kultury, zachowując się skandalicznie, jakby prawo ich nie obowiązywało. Idzie się nocą ulicą w Bangkoku i widzi się leżących pokotem „białych panów” wydających z siebie agoniczne, poalkoholowe dźwięki. Efekt „Kac Vegas”. Takie sytuacje to lepi na miejscowych przestępców, to nakręca handel narkotykami i prostytutką. To ta ciemna strona turystyki, ale to jest wybór, ja w takie sprawy nie wchodzę.

– Od wielu lat organizuje Pan wyjazdy do Indii i państw ościennych dla młodzieży szkolnej z tzw. „Słowaka” (Akademickiego Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Chorzowie).

– Dokładnie od 1991 r. rozpocząłem organizację tego projektu edukacyjnego – jedynego tego typu w Europie. Bywaliśmy w czasie naszych około dwumiesięcznych wypraw w wielu krajach Azji a także w Afryce. Podróżowaliśmy, poznawaliśmy i... chyba stawaliśmy się lepszymi ludźmi. Jadąc z młodzieżą w podróż

na dwa miesiące, nie mogę im powiedzieć, że będziemy przez ten cały czas pracować jako wolontariusze (choć sam pewnie bym tego chciał). Musimy to jakoś pogodzić. W związku z tym kilka dni, czasami kilkanaście pracujemy naprawdę ciężko w ośrodkach im. św. Teresy z Kalkuty. Na czym polega ta praca? Począwszy od przyjęcia tego pacjenta, prania jego ubrań, bielizny, golenia czy umycia człowieka nawet z największych nieczystości, po głaskanie, masaż, okazywanie zainteresowania. Po prostu staramy się być z tymi ludźmi dotkniętymi chorobami, bezdomnymi. Zdarzyło się nam, że człowiek umierał dosłownie na naszych rękach. Pomagamy też ludziom dotkniętym kłeskami żywiołowymi, np. mamy zaprzyjaźnioną szkołę w Galle na Sri Lance, której dużo pomagaliśmy i którą odbudowaliśmy wspólnymi siłami własnych mięśni. Niecałe dwa lata temu byliśmy w Nepalu, co było bardzo traumatycznym przeżyciem, ale z drugiej strony była to wspaniała lekcja duszy i godnego postępowania. Widzę, jak to ziarno potem w młodzieży kiełkuje, jak coraz to piękniejszy kwiat kwitnie i daje konkretne owoce. Najważniejsze jest jednak, żeby z tymi ludźmi w ich cierpieniu być (tego chociażby uczyli Budda i Matka Teresa). My tych ludzi nie ulecymy, nie naprawimy ich sytuacji materialnej, ale my będąc razem i tak im pomagamy. To ważna lekcja wdzięczności, bo zawsze powinniśmy z jednej strony odczuwać współczucie, z drugiej zaś być wdzięczni – za życie, za uśmiech, za to że mamy co zjeść. Tymczasem trudno o taką postawę w świecie konsumpcyjnych pragnień, gdzie coraz więcej chcemy i na dodatek zawsze jest nam mało. Człowiek jest od tego, żeby dawać, a nie ciągle, zachłannie brać.

– Jaki obraz z tych wyjazdów szczególnie utkwił Panu w pamięci?

– Trudno powiedzieć, to kalejdoskop obrazów. Olbrzymie wrażenie zrobiła na mnie podróż do Kambodży. Była to dla mnie niesamowita lekcja tego, jak można z pokorą przyjąć cierpienie i chyba jedną z największych hekatomb w historii ludz-

kości. W Polsce żyjemy przeszłością myśląc, że u nas tyle ofiar pochłonęły wojny światowe, komunizm, że powojenna populacja kraju zmniejszyła się o 6 milionów, bo dużo ludzi też wyemigrowało dobrowolnie, bądź zostało wypędzonych, natomiast Kambodża to kraj gdzie przynajmniej ¼ ludności została wymordowana przez własnych władców, Czerwonych Khmerów. Teraz tam trwają jakieś procesy, ale oni chcą ten temat zamknąć, choć jest to kraj, gdzie tragedię z drugiej połowy lat siedemdziesiątych i jej skutki widzi się na co dzień. Dodatkowo efekty wszystkich ingerencji amerykańskich w Laosie i Kambodży są widoczne do dziś, bo trzeba pamiętać, że w tych krajach rozciągają się w dalszym ciągu wielkie pola minowe a ludzie ciągle giną od wybuchów. Nie da się tam być i nie zapłakać. Szczególnie będąc nauczycielem po przekroczeniu murów więzienia Tuol Sleng – S21, w przepięknej stolicy Phnom Penh, które mieści się w dawnym budynku licealnym. Zrobiłem sobie wtedy taką projekcję i tamten straszny obraz przeniosłem do naszego „Słowaka”. Zresztą architektura podobna – prosty w formie, modernistyczny budynek.

Na zdjęciach można zobaczyć tych wszystkich kilkuletnich „więźniów politycznych” oraz to, jak byli zabijani przez strażników (głowy rozbijane o pień drzewa itp.). Tego chyba żaden człowiek nie jest w stanie pojąć i naturalną reakcją jest zatrzymanie się i wręcz uronienie łez. Nie da się przejść obojętnie obok takiej tragedii, a chodzenie po milionie wypłukanych kości, które nie są złożone do żadnego grobu, też zostawia trudne wspomnienie.

– To takie niecodzienne podejście do podróżowania – bo wydaje się, że to tylko przyjemność i ucieczka od kłopotów, a nie mierzenie się z takimi problemami i tragediami. Jak to jest, że musimy przekroczyć granicę państwa, żeby zrozumieć pewne problemy z własnego podwórka?

– Musimy ciągle wychodzić naprzeciw. Nawet tu w Polsce – odizolowani od drugiej osoby, skazani na komputer, media, telewizor, no i życie we własnym sosie w rytmie praca-dom, szkoła-dom, często nie widzimy tego, co się dzieje wokół nas.

Miałem okazję być ostatnio w szpitalu na jednym z oddziałów psychiatrycznych, żeby zobaczyć jak wyglądają młodzi ludzie po dopalaczach. Gdyby nie to, że pracuję w kalkuckich domach sióstr miłości od wielu lat i pewne rzeczy nie robią już na mnie takiego negatywnego wrażenia, to jednak widok tych ludzi bardzo mnie poruszył. Nie zamierzam tego pokazywać młodzieży, ale o tym mówić, że nie jest to droga do odnajdywania przeżyć, to są półśrodki.

Jeśli widzę taką tragedię to staram się wpoić młodzieży szkolnej wszystko, co najlepsze i tak ją kształtować, żeby nie zabrakło w niej wrażliwości na cudzą krzywdę. Trzeba eliminować nienawiść na rodzimym podwórku. Tak jak mówiliśmy – hejt i nacjonalizm to dwa demony naszych czasów.

– To z potrzeby dzielenia się swoimi przeżyciami zrodził się pomysł na Festiwal Podróży Koła Geografów Peneplena?



Co daje dzielenie się historiami z podróży – nie jest to festiwal przechwalanek „kto gdzie był i co zaliczył”?

– Bynajmniej nie. Oczywiście pokazujemy nasze podróżnicze „dokonania”, ale goście Festiwalu, który organizuję od 1990 roku, to osoby o dużej wrażliwości, zawsze zwracający uwagę na właściwy sposób odnoszenia się do innych, traktujący podróż nie tylko jako źródło adrenaliny czy fajnych fotek, ale przede wszystkim jako możliwość kontaktu np. z birmańskim Kowalskim, albo etiopskim Malinowskim. To bardzo budujące.

– Dlaczego zdecydował Pan pewnego dnia, że kierunek: Azja, to jest Pana kierunek i tam chce Pan jechać?

– Wszystko zaczęło się w brzuchu Matki, bo ja jestem turystą prenatalnym – moja Mama będąc w 7. miesiącu ciąży chodziła dosyć wysoko po Tatrach. Widocznie wytrzymała mnie to odpowiednio i pustaowało mnie. Rodzice byli bardzo mobilni, więc odkąd pamiętam chodziłem, jeździłem, zwiedzałem, chociażby był to popularniowy wypad do Lasu Kochłowieckiego. Wędrówki, rowery, piłka. Zimą narty. Cały czas w ruchu. Wszystko w kraju, bo wiadomo jakie to były czasy, komuna. A później zaczęły się już zagraniczne wyjazdy na ogół z rodzicami. Czechosłowacja i Tatry. Później zacząłem się wypuszczać do Europy Zachodniej, już na początku lat 90.

Azja to miłość zaszczipiona przez „Słowaka”. Byłem członkiem Koła Geograficznego, które założył mój mistrz, pan prof. Krystian Cichowski, przewspaniały geograf i nie ukrywam, że wzór do naśladowania (łącznie ze statusem kawalerskim). Byłem totalnie zapatrzony w niego, a on był zakochany w tej szkole, w Słowaku, jakby to była jego żona. Bardzo dużo wyjeżdżaliśmy ze szkołą i spędzaliśmy czas z Profesorem i z Prof. Janem Swadźbą – moim wychowawcą. Spędzaliśmy mnóstwo czasu w górach, a gdy nie było miejsca w schroniskach, jechaliśmy bez rezerwacji – dzisiaj to jest nie do pomyślenia. Przepisy (a może ludzka głupota) na to nie pozwalają. A co to za problem, żeby się w stodole przespaciać, człowiek ma spać w pozycji horyzontalnej, nie jest istotne, czy będzie miał baldachim nad sobą albo wielkie lustro w łazience. Bez tego zupełnie można się obejść. Jak się człowiek dwa dni nie umyje, to też mu skóra nie odpadnie. Taka to też była turystyka – prosta, pierwotna, ale potrafiliśmy sobie nawet chleb pokroić! Dzisiaj to nie jest taka oczywista umiejętność.

„Słowak” był zawsze otwarty na podróżników – kiedy byłem uczniem, a potem też jako student i nauczyciel – brałem udział w spotkaniach z ludźmi, którym udało się wyjechać dalej, niż nam. To były głównie alpiniści z naszego klubu wysokogórskiego w Katowicach tacy jak Ignacy „Walek” Nendza. Pokazywali wtedy slajdy i ja na jednym takim pokazie zobaczyłem Tadž Mahal. Zakochałem się i postanowiłem to zobaczyć kiedyś na własne oczy. Było to jeszcze w czasach uczniowskich, więc to było tak odległe marzenie, jak na Księżyc polecieć. Jednak jeszcze bardziej to mnie Himalaje ciągnęły, czytałem więc literaturę górską od de-



Chorzowscy wolontariusze w ośrodku Nabo Jibor w Kolkacie

ski do deski i sam dużo chodziłem, wspinałem się, bardzo mnie to frapowało.

– Nie było jednak tak prosto, jak dziś, zrealizować to marzenie.

Nie, aż do 1989 roku, kiedy padł nam komunizm! Dostaliśmy paszport z policji. Wtedy za pensję nauczycielską było mnie stać, żeby zafundować sobie podróż do Egiptu i Izraela łącznie z biletem lotniczym, więc to nie był najgorszy zarobek. No więc pierwsze wypłaty otrzymane w tej wolnej, albo kontraktowej, Polsce wydawałem na bilety lotnicze. Pierwszy lot był do Kairu przez Budapeszt. Realizowaliśmy miesięczny tzw. tramping sygnajac na dachach hoteli, bo było taniej niż w pokojach, a więcej świeżego powietrza. Zwiedzałem Egipt poza utartymi ścieżkami, będąc we wspaniałej, starej Hurghadzie spałem na dachach i miałem wszystkie widoki dla siebie, bo nie byłem zamknięty w luksusowych kompleksach. A potem już poszło, niedawno nawet na własnych nogach dostałem się na szczyt Stok Kangri (6.153 m n.p.m.), sprawiłem sobie taki prezent z okazji 50-lecia. Chodzenia się nie zapomina.

– Myśli Pan „Indie” i co pierwsze przychodzi do głowy? Smak, obraz czy może dźwięk?

– Właśnie: Indie to taki melanz. Żeby wyobrazić sobie Indie, trzeba uruchomić wszystkie zmysły. Wzrok to kwestia oczywista – zabytki, natura, ludzie. To co słyszemy – kakofonia dźwięków, najczęściej nienaturalne, a więc przede wszystkim klaksony, odgłosy dobiegające z bazarów, nawoływanie z restauracji i streetfoodów, a jeśli są one to i pojawia się węż. Ten zmysł to chyba największe odkrycie dla mnie. Bo Indie pachną. To jest taki bardzo charakterystyczny zapach. Zróżnicowany. Przede wszystkim tworzą go przyprawy, czuć też woń palących się trocizetek [typ kadzidełek], no i czasem dochodzą też nieprzyjemne zapachy padliny i fekaliiów. To taka indyjska soczystość, choć padlina jest odrażająca. Szczególnie na wsiach.

– Kupuje Pan pamiątki? Po co?

– Jasne, że tak, choć teraz sporadycznie, wpływa na to metraż mojego mieszkania.

A po co? Po pierwsze, by zatrzymać czas. Spoglądam na pamiątkę i otwiera mi się widok. Nie jestem kolekcjonerem drogich antyków, ale takich oryginalnych przedmiotów, które w moim subiektywnym odczuciu są piękne. Już nie wchodzę do sklepów z pamiątkami, cepelii azjatyckich, domów rzemiosł i innych emporiów, ja wolę coś osobistego-użytkowego. Na przykład – przyuważę na wsi kapitalną miotłę. Podoba mi się. Biorę! Ludzie często są bardzo zdziwieni, że ja chcę to nabyć, mówią, że to nie jest na sprzedaż, ale mogę sobie to wziąć. Patrzę na mnie jak na kosmitę oczywiście, że chłop chce z Birmy przywieźć miotłę, która, nawiasem mówiąc, pięknie skomponuje się ze ścianą, nie będę jej używał. Kupuję czasem też na targach staroci – i tu jest drugi cel zakupu pamiątek. Fascynujący rytuał targowania.

Wpadła mi w oko w Nepalu *thankka*. Sprzedawca zaśpiewał mi za to astronomiczną cenę, więc ja mu przelałem piękny uśmiech i pożegnałem się. Przechodziłem potem obok tego sklepu przez prawie tydzień, tak, żeby mnie sprzedawca zauważył. Po tym czasie zaproponowałem mu swoją cenę, trzykrotnie niższą. Nie chciał się zgodzić. A ja do niego – „wiesz co, mi się to już nawet przestało podobać”. Ale już wiedziałem, że chyba to była granica jego możliwości, więc powiedziałem: – Sprzedaj mi *thankkę* za moją cenę, to będziesz miał dobrą karmę i biznes Ci będzie lepiej szedł.

Zgodził się. Nauczyłem się tego typu zagrywek od miejscowych: zrób coś dla mnie, a ja zrobię dla Ciebie. Tak jak mówiłem, za dużo nie kupuję, nie mam gdzie tego trzymać, a kawalerskie porządki nie są zbyt skuteczne. W związku z tym przynoszę te rzeczy do szkoły, niech młodzież sobie poogląda i dopytuje, co to jest. I niech ją to inspirować do szukania dalszych odpowiedzi.

– Życzę Panu i młodzieży, żeby tej umiejętności stawiania pytań i potrzeby szukania odpowiedzi nigdy nie zabrakło.

JULIUSZ WĄTROBA

NA WISZĄCYM MOŚCIE

1.
Szpital onkologiczny
oceanem cierpienia
Od wczoraj powiększony
o jeszcze jedną drżącą kropelkę
2.
Ordynator Panem Bogiem
Pielęgniarki aniołami
choć leżymy tu odłogiem
– tak pół żywi pół martwi
Czy z dwóch pół-żyć jedno życie
Z dwóch pół-martwych
jedna śmierć
Kartę zgonu zegar pisze
wskazówkami jak mam zejść
z pierwszej ziemi w siódme niebo
by nie spłoszyć żywym snu
– w czarny worek sam się wśliznę
by kłopotów było mniej
3.
Wyniki znowu złe choć żyć się chce
bo dusza coraz młodsza
rozkwita
w błękitach
fika koziołki i szaleje
4.
Czy ten mały wycinek
zmieni życie w śmierć
jak sens zdania
źle postawiony przecinek
5.
Śmierć jest naga
Miłość jest naga
Prawda jest naga
Tylko kłamstwa w maskach
tylko zdrady przebrane
Tylko fałsz i podłość
za parawanem
6.
Jeśli masz żyć – będziesz żył
Daremne starania białej pani:
podchody
wymachiwania kosą
straszenie grzechotem kostek
uśmiechy od ucha
do ucha-cha-cha

Jeszcze nie pójde z tobą
– mam życia słuchać

W ŻYCIOAKTYWNYM ŹRÓDLE

1.
Rozdaję uśmiechy na prawo i lewo
Smutki chowam w środku
2.
Pilnie poszukuję
kaftana bezpieczeństwa
na moje myśli
3.
Patrzę na świat
zmysłowo otwartymi oczami
tak długo że zarastają pajęczyną
zachwyceń
przerażeń
otumanień

Nie jestem w stanie zamknąć oczu
Mogę tylko osłepnąć
4.
To nie do wiary i do wiary
ile trzeba wycierpieć i jak się zestarzeć
by nie czuć się starym
i w zwiotczalym ciele znaleźć siłę
w gasnących oczach sokoli wzrok
w niekochanym sercu tyle miłości
by rozjaśnić mrok
i uciszyć przerażoną duszę
do której bieżą słońca pięknych kobiet
chcące się dzielić drżącym ciepłem
przez wieczność
I jeszcze dłużej
5.
Zawsze na marginesie miłości
życia
Obok głównego nurtu strużka wody
ale nadzwyczajnej – życiooaktywnej
Obmywającej stopy i serce
6.
Moje życie się kończy
wypalam się
koroduję w grudkę popiołu

Moje życie się kończy
choć mój świat
jeszcze się nie zaczął
– rozkwitnie
z pączka
duszy

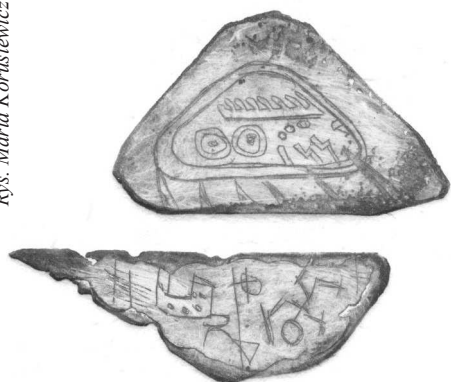
WIGILIA Z BRAĆMI

1.
Karp dławi się człowiekiem
Pierwsza gwiazdka zgasła
Pastuszkowie nie przybieżeli
(zapili się w drodze)
Przy stole pusto – goście na emigracji
Ani śniegu
ani mrozu
Nawet biały obrus zwija się ze smutku
I tylko wypoczęty wędrowiec
zre łączywie
Całe szczęście
że Bóg się urodził normalnie
tradycyjnie na pokój ludziom
dobrej (swa) woli
Pies ludzkim głosem wyje kolędę

2.
Pies i kot mnie mają
Umiem już miauczeć i szczekać
łapać myszy i merdać ogonem
Oddalam się – na szczęście –
od człowieka
i drugi raz się rodzę
Pierwsze życie skończone

3.
Marzenie kota:
w filiżance czarnej kawy
dostrzec mleko

Rys. Maria Korusiewicz



Rys. Maria Korusiewicz

4.
Wymieniłem się z kotką duszyczką
Łapię myszy a ona mnie za słówka
Mruczę kołysanki
Ona kołysze moje marzenia
Świecę oczami
kiedy zgaśnie światło
a ona gasi światło
aby noc rozjaśnić

5.
Kura została na stare lata
moją przyjaciółką:
ona grzebie w ziemi
– ja w przeszłości
Ona ma ludzkie odruchy
ja – kurzą ślepotę
Ona nie znosi już jajek
ja – hałasu
Ona się pierzy
– ja obrastam w piórka
Wierzymy w nasz wspólny raj
gdzie ona spotka
wymarzonego koguta
a ja wyśnioną kobietę
Czekamy

6.
Bezpański pies czeka na pana
Bezbożny człowiek czeka na Boga
Bezgrzeszny Bóg czeka człowieka
aby mu mógł miłość wyszczekać

Remontowa sylwa

ANNA SITKOWA

CHRONOLOGIA

Wszystko zaczęło się od tego, że pod koniec XIX wieku moja Prababka Karolina otrzymała w wianie najgorszą część majątku Cz. Podobnie jak dzisiaj, nikt tu wtedy nie słyszał o feminizmie, więc bracia Prababki dostali ziemię od frontu (tzn. od ulicy), zaś Karolina tyły, do których musieli Jej zapewnić dojazd, dzisiaj tak zwaną „drogę konieczną”.

Minęły lata.

Prababka tę właśnie część posagu podarowała jednemu ze swoich pięciorga dzieci – synowi Janowi, mojemu dziadkowi. Jan, weteran wojny polsko-bolszewickiej (1920), w czasach wielkiego kryzysu wybudował dom. Przed wojną znano się jeszcze na rzeczy – Dziadek wybudował dom na 11.00. godzinę.

W lipcu 1946 roku zginął. Wypadek w pracy.

Moi Rodzice postanowili rozbudować posag Karoliny. Odkupili od spadkobierców Jej braci parę metrów, zmieniając usytuowanie wejścia do domu. Dobudowali dwa pokoje i na prośbę innych, niespokrewnionych sąsiadów, nabyli kawał ich ogrodu, uzyskując w ten sposób granicę z tutejszą parafią.

O naszych poślubnych planach zamilczę.

Jako jedyne dziecko moich rodziców wraz z Mężem musiałam podjąć trudną decyzję. Wiedziałam jedno: ojcowizny się nie sprzedaje. Mąż z kolei niejedną inwestycję ma za sobą, ale przede wszystkim: pokochał posag Karoliny od pierwszego wejrzenia wiele lat temu. Znamy się od 7 klasy szkoły podstawowej.

Jak wyglądał *Powrót z Warszawy na wieś* wiedzą ci, którzy znają poezje Franciszka Karpińskiego. Jak wyglądał powrót z miasta na posesję przy ulicy Niepodległości, mogą dowiedzieć się tylko ci, którzy przeczytają ciąg dalszy.

ZAGADKOWA SOBOTA LIPCOWA

Na koniec wczorajszego, niezwyklego dnia doszliśmy do wniosku, iż trzeba iść za ciosem, udać się na plebanię i zadać proboszczowi pytanie, czy ciężki sprzęt mógłby wjeżdżać na naszą posesję przez jego ziemię – dawniej łąkę, a obecnie nieprzebyte, kilkumetrowe chaszczce. Przed laty, kiedy proboszczowie obsiewali jeszcze posiadany areal, jeździły tamtędy furmanki. Ojciec zrobił bramę i czasami z polnej drogi korzystał w porozumieniu z włodarzami parafii. Ostatni raz jakieś piętnaście lat temu.

Proboszcz się zgodził. [...]

W upalną, pierwszą, lipcową sobotę Mąż, wyposażony w maczetę, siekiere i kosę zaczął karczować księżą łąkę. Syn zainaugurował rwanie podłogi w pokoju, który ma być łazienką. Ja udałam się na strych, by spakować jego zawartość do kilkudziesięciu worów. Mamy w planie zrobić także nowy dach.

Okazało się, że dla każdego z nas miał to być dzień odkryć, choć nasze stroje nie przypominały strojów odkrywców.

Mąż odkrył między innymi gniazda komarów, mrówek, os i szerszeni, skutecznie unikając ich ataku. Był uzbrojony, wiadomo. Męża odkrył z kolei w chaszczach nasz kolega z podstawówki, Zbigniew K., który zainteresowany niezwykle odgłosami dochodzącymi zza ogrodzenia jego posesji, podszedł bliżej, by zobaczyć co się dzieje. Ujrzał Męża, dowiedział się o naszych planach i zaprosił na grilla. Mąż potwierdził, że wpadniemy (w końcu blisko), ale za rok, bo może do tego czasu skończymy remont. Dodam, że Zbigniew K. jest także kolegą Mariana K. Ale z technikum.

Syn z kolei odkrył, że przed wojną używano piasku jako materiału izolacyjnego. Po zerwaniu desek w naszej przyszłej łazience znajduje się obecnie tona tego kruszywa. O tym, ile piasku, choć zabytkowego, będziemy mieli po zerwaniu podłóg w pozostałych pomieszczeniach, nie chcę na razie myśleć.

Ja na strychu odkryłam listy, które pewnie sama spakowałam kiedyś, gdy wprowadzałam się do miasta. Przeczytałam jeden. Od mojej ukochanej Kazimierzy, z lipcową datą – rok 1980. Właśnie dostałam się na studia. Babcia pękała z dumy, by natychmiast się zszyć, potem znowu pęknąć etc., etc.

Co to była za Babcia! Nie doczekała mojego magisterium. Ciekawe, co by powiedziała, gdyby wiedziała, czym się będę zajmować przez następne lata.

Od września mam przewodniczyć Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej. Czas zaczął koło.

POZNAJCIE PATRYKA

Poznajcie Patryka. Lat około 40, jakieś 160 cm wzrostu, porusza się jak Patryk Pietrek z *Rancza* i ma tak piękne oczy jak Jon Bon Jovi. Jest wyznaczonym przez

Pana Ryśka (to ten, który zostawił u nas na strychu wszystkie dokumenty i kasę) kierownikiem ekipy robiącej dach. Występuje w topless, co w tym zawodzie rozumiałe. Kiedy zobaczyłam na jego ramieniu tatuaż w brzmieniu (pisownia oryginalna): „Its maj lajf”, nie zdziwiła mnie fizys nagiej kobiety, umieszczona na plecach.

Patryk kieruje ekipą, ale najważniejsze jest to, że słynie jako Wergiliusz kielni.

Patryka poznałam na tarasie w czasie drugiej wizji lokalnej. Usłyszałam: „Mów mi Patryk”, mimo że przedstawiłam się imieniem i nazwiskiem. Musiałam mieć głupią minę, gdyż dodał: „Oczywiście, jeśli Szeff pozwoli”. Szeff, czyli mój Mąż. Szeff awansował na Prezesa już 13 sierpnia, kiedy panowie zaczęli rozbierać dach. Stwierdzili wcześniej, że cegła jest „holenderska”, a i inne materiały oraz narzędzia najwyższej jakości. Do mnie zwracali się per Kierowniczko.

13 sierpnia przyjechali też okniarze, którzy w sześć godzin wstawili 12 okien. Oczywiście wszystkim zaproponowałam kawę lub herbatę. Okniarze przyszli i wyszli. Dekarze, jak się miało okazać, pozostali do 6 września.

W ekipie Patryka „robi” także Henio, który ma problem z kobietą oraz około siedemnastoletnie dziecko jako pomocnik, ale już bez jedynek (znaczy zębów przednich). Widząc to dziecko, pod którym w potwornym upale zaczęły się ugiąć nogi, nie wytrzymałam i zaproponowałam zupę. Oczywiście wizja mojego Syna, który gdzieś haruje jak wół – jak się okazało w przypadku naszych dekarzy 12 godzin – każała mi porzucić wcześniejsze deklaracje, że nie będę gotować dla fachowców. Nie podaję na porcelanie, jak co Niektóre (Marysia B. wie, o czym mowa), lecz na srebrze, bo nie mam tu innych nakryć. Dziecko odniosło naczynia i usłyszałam: „Szeffowo, alem se pojadł, jaka dobra zupa”. Od 13 sierpnia gotuję zatem zupy i muszę przyznać, że widok pustego czterolitrowego garnka cenię sobie wysoko. W ten sposób zostałam Szeffową. Po pomidorowej z ryżem. Na kolejny awans musiałam poczekać do 16 sierpnia. Zasłużyłam sobie na kapuśniakiem na żeberkach. Koszyk odniósł Patryk ze słowami: „Pani Prezes, to rozpusta, bogata zupa”.

Retoryka Patryka jest urzekająca, ale nie jestem w stanie zapamiętać większości jego wypowiedzi. Mogę zacytować jedną. Na tarasie trzeba zrobić docieplenie, więc podniesie się poziom, toteż trzeba kuć wejściowe drzwi od góry, żeby swobodnie wchodzić i wychodzić. Patryk ujął to tak: – „Prezes, trza kuć, bo się pierdalniesz”. Wyjaśnię, że Prezes ma 186 cm wzrostu, nasz Syn niemal 2 metry, przyszła Synowa 175 cm. Ja jestem wzrostu Patryka.

No, jeszcze jedno. Dzisiaj rano Patryk wpadł w szal, bo zaczęło się zbierać na deszcz. Przychodzi i mówi (Prezes w pracy): „Pani Prezes, zaraz pierdalnie, trza kupić folię na wylewkę”. Minę miałam taką, jak wtedy, kiedy mi się przedstawiał, więc zaproponował, że ze mną pojedzie do miejscowego magazynu budowlanego, w którym oprócz zniczy, bibelotów i chemii gospodarczej można nabyć też ciuchy, *nota bene* właśnie trwa promocja i ceny naprawdę okazyste. Na miejscu okazało się, że potrzebnego wymiaru folii nie mają. Właścicielka, Pani B., która mnie zna od dziecka, usłyszała: „Pani Prezes, wypierdalamy, chuja tu mają”.

Jutro będzie krupnik z wkładką.

POPIOŁY

Nadszedł dzień przeniesienia gratów do pierwszego z pokojów, który został wyposażony w nową podłogę. Przeniesienie było dla nas zajęciem znojnym, gdyż łączyło się z rozkręcaniem i skręcaniem łóżka, własnoręcznego dzieła mojego Męża. Wyzwaniu sprostał dzięki pomocy Syna. Mąż rozkręcał, Syn wnosił kolejne elementy na dwór, ja zaś usiłowałam zmyć z mebla, na którym stać było ślady działalności Itsmajlajfa jeszcze, kurz stanowiący efekt wizyt elektryków,

panów od centralnego ogrzewania oraz przede wszystkim: malarza (sic!) Mariana oraz jego męskiego potomka.

Syn wyczyszczone elementy zanośli Mężowi, który je skręcał w pokoju wyłożonym nową podłogą. Nie mogę pominąć faktu, iż kilkugodzinna (środkowa) akcja była przeprowadzona w trakcie przechodzenia frontu atmosferycznego, który nadciągnął nad naszą ojczyznę po fali afrykańskich upałów. Krótko mówiąc: lało jak z cebra.

Nie można było jednak zwlekać – należało się spieszyć, by miejscowy Jean Paul Sartre zdążył do przyszłej środy pomalować następny pokój. Panowie od podłóg mają zjawic się u nas po raz drugi za tydzień. Kiedy zjawią się po raz trzeci, tego chyba nie zdołałby przewidzieć żaden wróżbita.

Po szczęśliwym zakończeniu operacji pod kryptonimem „Łózko”, przenosiliśmy pozostałe sprzęty i papiery. Wśród nich natrafiłam na odkryte na strychu niemal równo dwa lata temu dwie paczki listów. Następnego dnia postanowiłam coś z nimi zrobić.

Owo „coś z nimi zrobienie” zajęło mi cały czwartek. Muszę zaznaczyć z satysfakcją, że korespondencja była ujęta w bloki. Mariola J. byłaby zachwycona.

Zbiór obejmował listy z lat 1972-1983 i był pogrupowany autorsko oraz chronologicznie. Kiedy dokonałam ich posortowania i spakowania? – Nie mam najmniejszego pojęcia, ale chyba przed wyjściem za mąż.

Listów otrzymanych na miejski adres nie przechowuję. Z wyjątkiem tych, które wyszły spod pióra luminarzy polskiej humanistyki.

Zaczęłam oczywiście od wnikliwej lektury. Zdumienie, wzruszenie, zdziwienie, łzy, nieposkromione wybuchy śmiechu, na dźwięk których nawet kafelkarz opuszczał łazienkę (nie wiadomo czemu myślał, że uruchomiliśmy telewizor).

Na pierwszy ogień poszła korespondencja z koleżankami, poznanymi na nieszczęsnych koloniach, jednej z traum mojego dzieciństwa. Okazało się, że koleżanki (niektórych z nich w ogóle nie pamiętam) przysyłały mi w tych listach widokówki i wycinki z prasy dotyczące drużyny Kazimierza Górskiego oraz pierwszej ekranizacji *W pustyni i w puszczy*. Moja fascynacja futbolem była wówczas tak wielka, że chyba kazałam się nazywać Ćmikiewicz (świadczyły o tym elementy inskrypcyjne epistoł). Jak wynikało z relacji małych nadawczyń – ja rewanżowałam się im kartkami, które znajdowały się w opakowaniach gum do żucia o nazwie „Donald” oraz sreberkami, w które były opakowane ówczesne czekolady.

W listach tych przejrzało się całe moje peerelowskie dzieciństwo: koleżanki donosiły o akademiach z okazji 22 lipca, na których występowały w trakcie turnusów kolonijnych, o uczestnictwie w pierwszomajowych pochodach (i o panującej wówczas aurze), o szkolnych potańcówkach, o kolegach, którzy równie dotkliwie nacierali świeżo spadłym śniegiem w Katowicach (na ulicy Gliwickiej), w Bieruniu Nowym, Łądku Zdroju oraz w mojej wsi. Kontakty z dziewczynkami, o których już bardzo dawno i to całkowicie zapomniałam, urwały się po zakończeniu podstawowego etapu edukacji. Jeden z listów z tego bloku zachowałam.

Został napisany w Łądku Zdroju 17 maja 1975 roku. Autorka, podpisana przezwiskiem „Ika”, informuje mnie, że podobnie jak ja, rok szkolny kończy 5 czerwca, z tym, że następny zaczyna 1 września (była już licealistką), podczas gdy ja – jeszcze w podstawówce – mam wrócić do nauki 20 sierpnia. Konia z rżędem temu, kto dziś mi wyjaśni dlaczego tak było? Dałabym sobie głowę uciąć, że rok szkolny zawsze zaczynał się w Polsce 1 września. Z wyjątkiem rzecz jasna 1939 roku. [Dopisek: Dziś, 25 września 2015 roku, z audycji pt. *Godzina prawdy* w radiowej trójce dowiedziałam się, że do szkoły w roku 1939 dzieci miały pójść 4 września].

Nadawczyni zdradzała mi w liście swoje życiowe plany („Ja po L.O. idę na stewardesę” – pisownia oryginalna); ujawniała swoje upodobania („bardzo interesuje mnie (...) malarstwo a raczej malarz: Matejko”) oraz wymieniała ulubionych ar-

tystów i muzyczne fascynacje („aktor – Morre Roger, piosenkarz polski – Jerzy Grunwald, zespół – Chicago, piosenki: *Moja droga ja Cię Kocham, Astamiana*” [to chyba chodziło o utwór zespołu „Abba” – przyp. A.S.]).

Moje zdumienie w trakcie lektury tego listu narastało wraz z jej postępem (niepełne trzy strony w kratkę, wyrwane ze środka zeszytu). Nie dość, że nie miałam pojęcia, iż kiedyś znałam kogoś z Łącka Zdroju, że wróciłam do szkoły w roku 1975 już w sierpniu, to jeszcze – znajdujący się tuż przed elementami deskrypcyjnymi – następujący *passus* wprowadził mnie w całkowite osłupienie: „Bardzo się cieszę z tego, że piszesz powieść. Mogłabyś mi ją streścić w liście?” Najpierw zaniósł się od śmiechu, ale szybko odzyskałam powagę, gdyż przeżyłam dwie epifanie.

Primo. Rzeczywiście, miałam na koncie jakieś bazgroły, osnute na kanwie mojej pierwszej, najwcześniejszej, podstawówkowej fazy zakochania w moim Mężu (były trzy, zgodnie z etapami wspólnie odbytej przez nas edukacji). *Secundo*. Skoro do tej pory nie zyskałam przydomka „polska Johann Wolfgang von Goethe” (ale on był młodszy ode mnie, kiedy podjął literacką robotę!), to muszę natychmiast odnaleźć owo dzieło i jeszcze prędzej je unicestwić.

Po skonstatowaniu, że to na razie nie jest możliwe, gdyż utwór (jeśli go nie zniszczyłam) musi znajdować się w jednym z pudeł w piwnicy, mieszczących moje poezje (byłam kiedyś przeświadczona, że Nobla w dziedzinie literatury mam jak w banku) oraz dzienniki (albowiem jedynie dramatu się nie miałam), przystąpiłam do analizy bloku listów od Anny W., dawniej G., z którą przyjaźnię się od trzeciego roku życia. Listy pochodziły z następującego okresu: koniec podstawówki – początek liceum i nie były – podobnie jak już wspomniane epistoły – pozbawione walorów dokumentacyjnych.

Przyjaciółka donosi mi z Gdańska (została zesłana na kolonie, ale chyba na własne życzenie), że ma chore gardło, gdyż zjadła „loda za 8 z pianką” (tu moja pamięć mnie chyba nie zawodzi: były to 4 gałki plus coś takiego, co przypominało nadzienie w znanym i dziś ciastku o nazwie ptyś). Pamiętam to chyba dlatego, gdyż w czasach licealnych często chodziliśmy po lekcjach do pobliskiej, dziś kultowej cukierni, i koledzy bili rekordy w liczbie konsumowanych gałek. Wydaje mi się, że wygrana należała do Mariusza M. – na jedno posiadzenie spożył lody bodaj za 10 złotych (z pianką oczywiście i w waflowym kubku, albowiem w metalowym pucharku – z łyżeczką – byłoby niesportowo). Muszę zapytać Męża, na pewno będzie wiedział, gdyż brał udział w tych zawodach. [Mąż zapytany wieczorem odgrzebał z kolei w pamięci wyczyny lodowe Jarosława K. (ojca chrzestnego naszego Syna), który kończył spożywanie waflowego kubka, podczas gdy inni zawodnicy byli dopiero na etapie drugiej gałki].

List mojej Przyjaciółki stanowi również świadectwo przemian semantycznych, jakie można zaobserwować w naszej mowie ojczystej. Otóż relacjonując mi swój samotny spacer (jeszcze przed wyjazdem na owe kolonie, na które jej chyba nie zesłano) nadmieniła, że napotkany przez nią „syf” (tzn. kolega z klasy, w którym się wówczas podkochiwała – chodził potem z Marianem K. do technikum) nie powiedział jej „cześć”, co potraktowała (rzekomo) jako despekt. Za to zajeżdżał jej drogę, albowiem poruszał się na motorowerze (jako jedyny w klasie był posiadaczem tej klasy pojazdu), co z jego strony było prawdopodobnie spektakularną manifestacją odwzajemnianego uczucia. Nie pamiętam, abym w tamtej dobie mówiła o rówieśnikach płci męskiej: „syfy”, ale widocznie musiało tak być, gdyż Przyjaciółka przybliżając mi gdańskie atrakcje kolonijne relacjonowała: „Jest tu kilku syfów. Ale mi się chce rzygać jak patrzę na nich”. [Dziś przetłumaczyłabym to tak: „Jest tu parę ciach, wywołują ich zainteresowanie, ale udaję, że jest mi to obojętne” (oczywiście pewnie było na odwrót, muszę zapytać o to Annę W., wcześniej G.)]. Wydaje mi się, że w korespondencji przyjacielskiej nadawca posługuje się kodem znanym odbiorcy. Muszę zasięgnąć konsultacji w tej sprawie u Marioli J.

Epistolografii, którą niegdyś uporządkowałam, blok trzeci. Najobszerniejszy. Teksty wręcz epickie, ujawniające talent narracyjny Nadawczyni, ale też dokumentujące kręte drogi naszej przyjaźni, pełnej dramatycznych zakrętów. Listy od Katarzyny.

Z Zakopanego, z Lublina, z naszej wsi do mnie (przebywającej poza domem). Mowa w tych listach o Peweksie, ciuchach z Mody Polskiej, o tym, „że cały Zakopiec chodzi w dzinsie” (buty, torby, płaszcze, marynarki, „co chcesz zresztą”), o tym, że dolary zdrożały a my te szmaty przecież mieć musimy. Relacje w rodzaju: „Wpadł do mnie w drodze na uczelnię [mowa oczywiście o atrakcyjnym mężczyźnie – przyp. A.S.], ale ja wyglądałam jak na ustnej maturze z polskiego, więc sama rozumiesz: tyle było seksu...”, przemówiły dziś do mnie na nowo i nie wywołały problemów z pamięcią.

Maturę ustną z polskiego zdawałyśmy jako jedyne ze wszystkich abiturientów naszego rocznika. Była to spora odwaga – moja może mniejsza, bo Katarzyna – wybitnie inteligentna – za nauką w liceum, nawet w ostatniej klasie, ostentacyjnie nie przepadała. Na egzaminie wyglądała jak upiór, bo w przeddzień zdała sobie sprawę, że jeśli nie powiedzie się plan (ustawka z losowaniem tematów, *nota bene* pomysł polonistki), poprawka pewna. Plan się nie udał. Mogłam jej pomóc tylko ja, ale byłyśmy wtedy znowu skłócone. Pomogłam. Do dziś pamiętam, jak Katarzyna, siedząc w pierwszej ławce (w czasie przygotowania się do odpowiedzi na wylosowane pytania) przesuwała się wraz ze stolikiem i krzesłem „ku mnie”, ja zaś plotłam jej coś, za co kilkanaście minut później otrzymała – bodaj czy nie piątkę?

Jakimś cudem się więc udało. Młodszym przypomnę przy okazji suchara, którego jedynym niezapręczalnym walorem była tak ceniona zawsze przez nas lakoniczność: „Tyle było seksu – powiedział rolnik – wyciągając jaja z kosiarki”.

W tych listach było dużo o książkach, o filmach, o przedstawieniach teatralnych, o koncertach. O nadziei, marzeniach, planach, przyjaźni, miłości. O sensie życia. Pisała je osoba, która znaczyła dla mnie bardzo wiele, która inspirowała mnie intelektualnie, z którą mi się świetnie śmiało, ale która nie potrafiła kochać ludzi. Wolała psy. Zmarła cztery lata temu w okolicznościach jeżących włosy na głowie. Nie przyjął tego do wiadomości. Dlatego oddawszy jej ostatnią posługę, nie odwiedziłam dotąd jej grobu.

Wśród listów, które odnalazłam dwa lata temu na strychu były i inne bloki (epistoły nadawców płci męskiej: „pisanie” od moich rodziców i babć, a także apokryfy [!]). Ich lektura zajęła mi cały dzień. Był to dzień niezwykły. Pozwolił mi odebrać się od problemów z kafelkarzem, z „Bez sensu” i od ich szorstkiej kohabitacji, ale także przypomnieć sobie moje życie sprzed przeprowadzki do miasta. Chyba zaczynam rozumieć pasję badaczy epistolografii. Kłaniam się Marioli J. Listy to kopalnia wiadomości wszelakich, również o sobie samym.

* * *

W ubiegłym roku otrzymaliśmy w prezencie od Syna średniej wielkości koksia. Wczoraj wieczorem owinęłam go aluminiową folią, zrobiłam zadaszenie z tejsze. Bardzo starannie włożyłam doń prawie wszystkie otrzymane niegdysdyś listy.

Podpałka do grilla sprawiła, że szybko strawił je ogień. Mam nadzieję, że moich epistoł nikt nie archiwizuje. W końcu list to „rozmowa nieprzytomnych”. Intymna sytuacja, którą należy uszanować.

W ten sposób po moim niesielskim i po nieanielskim dzieciństwie oraz po młodości durnej i chmurnej, które spędziłam na wsi, pozostała tylko kupka popiołu na dnie kosiaka w wersji midi.

Potem jednak sprawdziłam szpikulcem.

Tak jak myślałam. Żadnego diamentu na dnie nie było.



**W 1862 r.,
przebywający w Paryżu
ks. Paweł Kamiński,
Ślązak z pochodzenia
i ekspatriant z Warszawy
wezwał Francuzów
do solidarności
i wspierania Polaków
walczących o wyzwolenie
z niewoli narodowej i politycznej.
Wierzył w odrodzenie
niepodległości Polski.
Opowiadał się
za przedrozbiorowymi
jej granicami.
Jego odezwa nosiła tytuł
„Appel au clergé et à la nation
française par un pretre
polonais exile”.**

W Paryżu kazań ks. Kamińskiego chętnie słuchali uczniowie słynnego polskiego gimnazjum przy bulwarze Batignolles. Kształciło narybek dla szkół oficerskich. Jego elewowie nosili wojskowe rogatywki i granatowe czamary z karmazynowym kołnierzem szyte na wzór warszawskiej gwardii narodowej z czasów powstania listopadowego. Zdobiły je srebrne guziki z Białym Orłem i Pogonią – godłem Polaków, Litwinów i Rusinów, dla których ojczyzną było Królestwo Polskie.

Ks. Paweł, liczący 28 wiosen cieszył się popularnością w kręgach Towarzystwa Młodzieży Polskiej (TMP), sprzymierzonego ze Zjednoczeniem Emigracji Polskiej. Serca jej członków podbijał młodzieńczym temperamentem i romantycznym stylem bycia. Darzył ich sympatią i był do nich przywiązany. Na przełomie 1861 i 1862 znalazł się wśród zwolenników nowego przewodniczącego Zygmunta Padlewskiego, w rok później bohaterskiego dowódcy Powstania Styczniowego.

**„Gdzie szlachetna młodzież nasza
tam i ja”**

TMP zawiązało się w Paryżu, w lipcu 1861 r. Zrzeszało Polaków przybywających z kraju, zapewniało im pomoc. Utrzymywało kontakty z działającą na ziemiach polskich organizacją powstańczą. Pełniło rolę jej dyplomatycznego przedstawicielstwa utrzymującego stosunki z organizacjami i mężami stanu Europy. Poprzez prasę zagraniczną kształtowało opinię publiczną innych

155 rocznica powstania styczniowego



Ks. Paweł Kamiński, portret fotografia ze zbiorów rodzinnych dr Manfreda Petersa, prawnuka ks. Pawła.

Powstańczy kapelan z Józefowca

Jeden rok z biografii ks. Pawła

HENRYK SZCZEPAŃSKI

państw i zjednywało jej przychyłność dla sprawy polskiej. Jego funkcjonariusze zbierali informacje polityczne i przekazywali kierownictwu polskiego ruchu powstańczego w Warszawie. Używali pieczęci z napisem „Sanguis et ferrum libertatis via” (krew i żelazo drogą do wolności). Wzorowali się na statutach „warsztatów sztuki królewskiej”. Skupili niemal całą młodzież emigracyjną.

Do TMP mógł przystąpić Polak, przebywający poza granicami ziem polskich. Wstępując do zakonspirowanego związku ślubował bezwzględne posłuszeństwo Komitetowi Wykonawczemu i spełnianie jego poleceń – nawet z narażeniem życia. Jako członek zwyczajny zobowiązywał się do wpłacania składki. Trzyosobowy Komitet Wykonawczy zobligowany do przestrzegania zasad słuszności, etyki i sprawiedliwości miał nieograniczoną władzę dyskrecyjną, która ułatwiała kontakty zarówno w stosunkach z krajem jak i zagranicą. Organem prasowym TMP – kolportowanym także na pruskim Śląsku – był „Głos z Paryża i Genui”, wychodzący od 1861 r.

„Okolo tego stowarzyszenia – pisał ks. Kamiński – wszystkie odcienia polityczne całej emigracji zbierać się zaczynały, przez co tym większego nabierało wzrostu. Będąc członkiem Stowarzyszenia Młodzieży (bo gdzie szlachetna młodzież nasza tam i ja), uczęszczałem na wszystkie posiedzenia i zebrania, gdzie nieraz zdumiewać się trzeba było nad rozprawami i uwagami niektórych młodzieńców dla dojrzałości i rozsądku w zapatrywaniu się na rzeczy.”

Podziw i szacunek ks. Pawła budzili wybitni działacze TMP, którzy nawiązali „ściśle stosunki z młodzieżą wszystkich prawie uniwersytetów europejskich”.

„(...) Z tej szkoły wyszli pierwsi bohaterowie powstania naszego, jak świętej pamięci: Padlewski Zygmunt, Bobrowski Stefan, Wasilewski Aleksander, Gaszyński i inni, którzy wszyscy męczeńską śmiercią w obronie kraju polegli.” – wspominał po latach ks. Kamiński i heroizm tych dawnych przyjaciół przywoływał również w późniejszych swych wystąpieniach na Śląsku.

W drodze do ojczyzny

Podczas wigilijnej wieczerzy narodowej 1861., zorganizowanej przez paryski komitet TMP, ks. Kamińskiemu przypadł w udziale „zaszczyt

prezydowania razem z jenerałem Wysockim Józefem”, który tamtego wieczoru przepowiedział „rychłe wejście nasze do kraju” uroczyscie zapewniając: „najdalej w czerwcu nadchodzącego roku sam się w kraju stawię”.

Jako członek TMP, ks. Kamiński utrzymywał kontakty z konspiratorami nad Wisłą i wiedział, że zbliża się godzina insurekcyjnego alarmu. W sierpniu 1862 młodzi emigranci, jak i elewowie rozwiązanej polskiej szkoły wojskowej z podalpejskiego Cuneo w Piemontcie, na wezwanie Komitetu Centralnego Narodowego (KCN) w Warszawie – z różnych stron Europy wyruszyli do kraju. Do tajnego apelu zastosowali się wszyscy wychowankowie szkoły wraz z kadrą oficerską. Kamiński, podobnie jak zwolennicy planów Jarosława Dąbrowskiego przewidywał, że wybuch zbrojnego zrywu zostanie ogłoszony najpóźniej latem następnego roku. Nie znajdując dla siebie zatrudnienia wśród paryskiej Polonii postawił na walkę w pierwszych szeregach powstania. W konsulacie rosyjskim w Paryżu bez większych trudności otrzymał paszport emigracyjny na powrót do Warszawy, ale tam nie miał zamiaru pojechać. Słyszał o podobnych „przysługach” i był pewien, że za przychyłnością carskich dyplomatów czai się zwykły podstęp!

„Komuż nie wiadomo iż Moskale łatwo dają paszporta Polakom w nadziei iż ci, przybywszy nad granicę, będą pochyceni i powieszani lub deportowani w głąb Moskwy? Cała więc rzecz zależy na tem jak się wywinąć z jednego lub drugiego. W paszporcie moim powiedziano było bym wprost do Warszawy pojechał (valable pour ce seul voyage) i zameldował się tam w policji. Opuściłem Paryż we Wrześniu 1862 roku. A że do Warszawy trzeba było jechać na Kraków, więc tu się zatrzymałem.”

Nie mylił się, bo w ślad za nim carscy agenci z Paryża – uporczywie mylący jego zakonną przynależność – przesłali taką oto notatkę:

„Ksiądz misjonarz Kamiński (Pawel), jezuita i członek Centralnego Komitetu, który w lipcu lub sierpniu 1861 roku uciekł z Warszawy i wygłaszał w Paryżu buntownicze kazania w kościele L’Assomption, wyjechał znowu do Polski (należałoby go aresztować)”.

Od jesieni 1862 r., ks. Paweł sumiennie wypełniając obowiązki duszpasterskie wśród młodzieży, podwawelskiego grodu brał czynny udział w organizacji powstańczego podziemia w mieście i okolicy.

„W Krakowie również zaufanie młodzieży zyskawszy, podobny mnie tam jak w Paryżu zaszczyt spotkał, prezydowałem bowiem w wiliją Bożego-Narodzenia 1862 roku przy skromnej wieczerzy, którą dla mnie wyprawiono i przy której stu przeszło młodzieży udział brało.” – wspominał ks. Kamiński.

Na galicyjskim pograniczu

Nawybuch powstania nie czekał z założonymi rękami. Od września agitował wśród rzemieślników krakowskich, których werbował do hufca sztyletników, najgłębiej zakonspirowanej grupy podziemnego państwa powstańczego, powołanej do ochrony rządu przed agentami rosyjskimi, do dziś przez jednych otaczanej złotą a przez innych – czarną legendą.

Po nowym roku 1863 spotykamy go już po drugiej stronie ówczesnej granicy Habsburgów z państwem moskiewskich carów. Znajduje się w Ojcowie, 15 kilometrów od podwawelskiego grodu, pomiędzy ochotnikami szykującymi wyprawę na Olkusz, Dąbrowę Górniczą i nadgraniczny Sosnowiec, leżące w widłach dwu rosyjskich granic międzyzaborowych – z Prusakami i Austriakami.

Dowództwo historycznej irredenty kwatrowało, w hotelu „Pod Łokietkiem”, wcześniej pełniącym funkcję sanatorium wybudowanego przez dr. Aleksandra Przeddzieckiego. Mieli tam kancelarię sztabową, szpital oraz koszary koszyńców i strzelców. Reszta ponad 2000 liczącego oddziału – pierwociny armii polskiej ulokowała się na włościańskich kwaterek w Prądniku i okolicy. Głębokie wąwozy, zalesione wzgórza, jamy, zapadliska i jaskinie ułatwiały szybkie i skuteczne fortyfikowanie lub maskowanie oddziałów. Musztry odbywali w ogrodzie uzdrowskim, obok siedziby sztabu. Skupiały wojsko przez cały dzień z przerwami na śniadanie i obiad. Gdy zapadał zimowy zmierzch oficerowie uczyli powstańców posługiwania się bronią a wieczorem śpiewali pieśni narodowe.

Obok wejścia do budynku, w którym 155 lat temu mieścił się lazaret, kapelania i główna kwatera powstańcza znajduje się tablica pamiątkowa. Wienczy ją godło Komitetu Centralnego Narodowego, który pełnił funkcję władzy naczelnej tajnego państwa polskiego. Herb uzupełniają: inwokacja „Boże Zbaw Polskę”, inskrypcja przypominająca, że tutaj

kwaterował sztab płk. Apolinarego Kurowskiego oraz memento – „Stąd wyszli w ostatni bój!”

55 lat liczący płk Kurowski był naczelnikiem wojennym województwa krakowskiego. Dowodził podczas wyprawy na Miechów. Pod jego rozkazami ks. Kamiński debiutował jako kapelan żuawów, do którego zgodnie z instrukcją władz powstańczych należało także występowanie z Krzyżem Świętym w pierwszym szeregu żołnierzy ruszających do ataku. Na co dzień dbał o podniosły i religijny nastrój życia obozowego. Troszczył się aby o wschodzie i zachodzie słońca powstańcy wspólnie odmawiali pacierze. W niedzielę i święta celebrował Msze polowe, kończące się hymnem „Boże coś Polskę...” – pieśnią, którą po raz pierwszy – on sam odśpiewał 2 lata wcześniej przed kościołem Karmelitów na Lesznie w Warszawie.

„Chcąc trudy i niewygody obozowe uprzyjemnić i żołnierzom naszym pociechę religijną przynieść, sprowadziłem do obozu ołtarz polowy i wszystko co do odprawiania nabożeństwa potrzebnym było: co dzień odprawiała się Msza święta, w niedzielę zaś całe wojsko w obozie znajdujące się przy uroczystym nabożeństwie asystowało. Widok całego obozu był dziwnie piękny i niezmiernie poruszający! co dzień odbywały się musztry i inne ćwiczenia wojskowe. Serce się radowało patrząc na te nieliczne jeszcze, ale nadzieją silne szeregi przyszłych wybawców ojczyzny naszej, nikt nawet do myśli nie przypuścił, że tych biedaków tak smutny czekał koniec.” – wspominał ks. Kamiński.

Powstańczym hufcom złożonym głównie z krakowskich akademików i gimnazjalistów daleko było do militarnego standardu. Ochotnicy byli niedozbrojeni. Główną ich bronią były kosy i broń palna – najczęściej myśliwska. Brakowało odzieży, obuwia i prowiantu. W tym czasie do oddziałów Franciszka Rochebrune’a, komendanta krakowskiej szkoły fechtunku – wraz z grupą kolegów z politechniki puławskiej przyłączył się Adam Chmielowski, późniejszy Brat Albert a po latach święty wyniesiony na ołtarze Kościoła rzymskokatolickiego. Był wtedy pełnym animuszu siedemnastoletnim kawalerzystą i nie myślał o kapłańskim powołaniu. Czy zawarł bliższą znajomość ze swoim kapelanem ks. Kamińskim? Nie wiemy. Natomiast w jego wspomnieniach zachował się opis jednej z walk trafnie ilustrujący insurekcyjne batalie:



Kurowski i jego oficerowie:

Teodor Cieszkowski. Wł. Straszewski, oficer jazdy.
 Michał Dobrzański. Apolinary Kurowski. Kapitan Niewiadomski
 X. Paweł Kamiński. Kapitan Żelechowski i Andrzej Łopacki. Ludwik Miętta Mikołajewicz.

„Oficerowie naczelnika Kurowskiego w Ojcowie”, reprodukcja z: WACŁAW TOKARZ KRAKÓW w POCZĄTKACH POWSTANIA STYCZNIOWEGO I WYPRAWA NA MIECHÓW. TOM II. W KRAKOWIE. ODBITO W DRUKARNI „CZASU” POD ZARZĄDEM A. ŚWIERZYŃSKIEGO. 1914.

„Jakośmy byli u Prądowskiego w kawalerii z Frankiem, po drodze do Miechowa straciłem mego arabskiego ogiera, którego dostałem ze stajni Zabierzowskich w Kosowie. Nie było jak sobie poradzić, wziąłem przeto starą, siwą, tatarską kobyłę od jednego młynarza. Siodło z ogiera było za wielkie, a popręgi za długie, tak że ja na onej klaczy siedział tylko na olaboga. Prądowski wysłał

mnie z Frankiem i piętnastoma ułanami w przedniej straży. Była straszna odwilż i mgła. Konie były schlastane błotem i okrutnie zmordowane. Droga wiodła przez wrzosowiska do brzezinki. I oto nagle z drugiej strony pokazała się większa szpica kozacka. Narobili okropnego wrzasku i w nogi. Za chwilę esaula zawrócił ich i pognął na nas, bo ich była Większa kupa, no i zaczęło się kotło-



„Kucie kos bojowych w Igołomi pod Krakowem”, rysunek z cyklu „Polonia”, Artur Grottger, zbiory Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie

wanie. Moja klacz była narowista i akurat jej się zachciało stać. A tu leci na mnie pięciu kozaków i wrzeszczy: „Nie ujdiesz, nie ujdiesz!” i z dziadami na mnie. W jednej chwili o małym z konia nie zleciał, bo się ze mną siodło przekreśliło. Puściłem je tak, że zwisło pod brzuchem konia, a tu, jak mogę, oganiam się kozuniom szablą. Oni byli w wielkim strachu, jednak mnie już kilka razy dziabnęli lancami tak, że burka spadła. Tymczasem Franek z ułanami zmagał się z całym oddziałem. Patrę, a tu esauła ubił z pistoletu Frankową klacz, wychowaną przez niego od źrebięcia. Równocześnie od lancy zginął jeden z ułanów... Ledwie się Franek pozbierał, skoczył po tamtego ułańskiego konia, porwał dwóch jeszcze ułanów i uderzył na moich kozaków. Zaraz jednego zajechał w łeb szablą, a reszta uciekła. Tak mi, moi drodzy, Franek życie uratował!”

W lutym 1863 r. ks. Kamiński jako kapelan połowy uczestniczył w ostatniej fazie – zakończonej klęską – wyprawy na Miechów. Ewakuowali się do Ojcowa. Podczas odwrotu opatry-

wał rannych a umierającym udzielał sakramentów. Granicę austriacką, wraz z niedobitkami przekroczyli w lasach Tenczyńskich około 20 kilometrów od Krakowa.

Zaprzysiężenie dyktatora

Po rozbiciu oddziałów płk. Kurowskiego pod Miechowem, ks. Kamiński przeszedł do obozu Mariana Langiewicza stacjonującego w Goszczy, odległej o 3 godziny marszu od Krakowa. Tam pełnił funkcję naczelnego kapelana. Był obecny podczas wręczania generałowi – rządowej nominacji na dyktatora powstania a nazajutrz celebrował nabożeństwo połowe i przyjmował jego dyktatorską przysięgę wierności Bogu i Ojczyźnie. Nie omieszkał tego odnotować w swoich zapiskach:

„Przybywszy do Sosnowki i założywszy tam obóz, pan Jeziorański żądał abym rotę przysięgi, tak dla Langiewicza jak i dla wojska, ułożył. »Generale, odrzekłem, czyż to nie za wcześniej jeszcze?«. »Cóż robić,

odpowiedział, stało się, będziem go wspierać jak będziem mogli«. Spisałem więc rotę przysięgi tegoż samego dnia; odprawiłem nabożeństwo, podczas którego stosowną do okoliczności mając przemowę, przedstawiłem panu Langiewiczowi całą ważność i wielkość obowiązków jakie bierze na siebie. Po przemowie Langiewicz odwraca się do wojska i przed złożeniem przysięgi, powiada: »Jeżeli bym jednego słowa z tego co tu przysięgać będę nie dochował, każdy z was ma prawo strzelić mi w łeb«?».

Marcin Rembacz, włościanin, naczynny świadek wydarzenia i weteran powstańczego zrywu, tak to opisał w swoim pamiętniku:

„... ogłoszono dyktatorem Langiewicza. Langiewicz złożył zaraz potem przysięgę na wierność narodowi na ręce ks. Pawła Kamińskiego. Był to widok niezwykle rozrzewniający. Siły zbrojne nasze miały już odtąd naczelnika ustanowionego świętą wolą narodu”.

Powstańcy stali w czworoboku a przed połowym ołtarzem, 37 lat li-



czący gen. Langiewicz z trójkolorową wstęgą przewieszoną przez pierś i ramię, ślubował:

„Przysięgam w obliczu Boga, że godności owej nie splamię niczym i władzy nie nadużyję i dotąd wraz z wami Ojczyznę bronić będę, dopóki tylko będę mógł walczyć o wyzwolenie jej z ucisku. Tak mi dopomóż Jezus Cudowny i Panno Najświętsza”.

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa dyktatorskiej przysięgi – posłuszeństwo ślubowali żołnierze.

Wydarzenia w Sosnowcu i Goszczy na bieżąco relacjonował krakowski „Czas”. Według jego journalistów proklamacja dyktatury nastąpiła 11 marca w Goszczy, natomiast pod Sosnowką, odległą o 2 godziny marszu, nazajutrz, dnia 12 marca, odbyła się uroczystość złożenia przysięgi przez gen. Langiewicza i zaprzysiężenia wojska.

W Sosnowcu, dziś przysiółku sołectkich Muniakowic w gminie Słomniki, na skraju duktu dawniej wiodącego przez leśne ostępy, na pamiątkę wiekopomnego wydarzenia tutejsi mieszkańcy ustawili kapliczkę Matki Bożej z Dzieciątkiem. Opodał, nad mogiłą wznosi się krzyż upamiętniający śmierć nieznanego powstańca. Miejscowa legenda głosi, że sztab korpusu zatrzymał się tutaj na nocleg a emisariusze Rządu Narodowego wręczyli Langiewiczowi nominację na dyktatora insurekcji. Temu co działo się na polanie pośród wiekowych sosen i dębów towarzyszyły zagadkowe znaki na niebie. O poranku ukazało się słońce, a obok niego dwie kuliste chmury. Zdawało się, że świecą trzy rozżarzone planety. Jedni objaśniają to jako przestrożę a inni jako dobrą nowinę dla dyktatora i jego żołnierzy.

Grzechy i grzeszki

Ks. z natury był weredykiem. To co myślał mówił prosto w oczy. Niczego nie owijał w bawełnę. Penitentów, jeszcze kłęczących przy kratce konfesjonału wtrącał do czyścica pokutujących męki piekielne. Nie miał taryfy ulgowej również dla wyższych szarzy z dyktatorem powstania włącznie. Ubolewał nad obojętnością religijną sztabowców:

„Było wszystkich kapelanów w obozie ośmiu, ja byłem dziewiąty. Woziliem z sobą wszelkie przyrzędy do przynoszenia pociechy religijnej żołnierzom naszym i do odprawiania w czasie stosownym nabożeństwa. W przeciągu całego pobytu mego

w obozie, raz tylko, to jest w Goszczy, przed ogłoszeniem Dyktatury, udało mi się nabożeństwo niedzielne dla naszych odprawić. Później ani myśleć o tem nie można było, zawsze jakieś wynajdywano przeszkody i trudności. Obojętność ta religijna, ze strony pana Langiewicza, wielu żołnierzy a zwłaszcza kosynierów naszych oburzyła. Księża w zupełnym byli zaniedbaniu, co również się żołnierzom naszym podobać nie mogło. Tyle jednak jako główny kapelan u pana Langiewicza zyskałem, że kwatermistrzowi polecił, żeby na każdym miejscu gdzie obóz miał spoczywać, osobne mieszkanie wyłącznie dla wszystkich kapelanów służące przeznaczał”.

Z tych i wielu innych mankamentów zdawał sobie sprawę ks. Kamiński. Obdarzony wrażliwością na krzywdę i występki, pisał o tym z charakterystyczną dla niego pasją:

„Co dzień liczne furgony przybywały z Krakowa z żywnością i napojem i innymi dla obozu potrzebami. Panna Pustowojtowa, niby adiutant ulubiony pana Langiewicza, pośpieszała czem prędzej do naładowanych wozów, wybierając najlepsze do składu sztabowego rzeczy, z których później tym tylko udzielała, co jej łaskę potrafili uzyskać; o resztę nie dbano, księża nawet, a których było pięciu lub sześciu, sami dla siebie pokarm u innych zebrać musieli i pod gołym sypiać niebem, kiedy tymczasem Pustowojtowa Elżbieta, Karoliny i inne dwóznacznego prowadzenia się kobiety, wykwinicie żyły, popijając dobrze wino z ulubieńcami swoimi; wieczorami zaś herbatę i jamaikę. Taki ujrzałem porządek w Goszczy, na cztery dni przed ogłoszeniem pana Langiewicza dyktatorem”.

W Galicji, ks. Kamiński zaangażował się w agitację włościan i zachęcał do udziału w powstaniu. Jego kazania i nauki były proste i zrozumiałe dla chłopów, podtrzymywały ducha szarej rzeszy rzemieślniczej i robotniczej, zagrzewały do walki za wiarę i kraj. Dowodziły, że nie obca mu jest mentalność tych ludzi i że potrafi z nimi znaleźć wspólny język. Przypominały, że on również z tych środowisk się wywodzi. W czasie powstania opublikował w Krakowie dwa apele: „Odezwa do rodaków” (kwiecień 1863) i „Odezwa do braci włościan” (lipiec 1863). Głosi je w duchu ideologii „czerwonych”. Wzywając do walki z caratem, powstrzymuje chłopstwo przed atakiem na dobra szlacheckie, zapewnia mu prawo do osobistego posiadania

ziemi, a także natychmiastowe uwłaszczenie. W lipcowej odezwie pisał:

„Przecież słyszeliście, jak Moskale chłopów [...] zachęcali do rabunku. Cóż się stało? Oto, że tych łakomców, co dali się namówić do tak haniebnego czynu, ci sami Moskale teraz łapią, wiążą, biją i do fortec odwożą”.

Ostatnie spotkanie ze Stefanem

Dnia 17 marca 1863., w pobliżu wsi Chroberz nad Nidą, korpus Langiewicza – stoczył, zakończoną połowicznym sukcesem, bitwę z wojskami rosyjskimi. To był ostatni bój korpusu gen. Langiewicza. Potem dyktator trafił do austriackiego więzienia a jego podkomendni rozproszyli się po lasach i siolach na obu brzegach Wisły.

Ks. Paweł, jeszcze przed tą bitwą, na polecenie dyktatora na kilka dni wyjechał do Krakowa, a potem jako oddelegowany do obsługi religijnej przeszedł do legendarnych „żuawów śmierci” generała Franciszka Rochebrune’a. Tej wiosny miał jeszcze okazję zobaczyć się ze Stefanem Bobrowskim, ówczesnym politycznym przywódcą powstania i szefem Tymczasowego Rządu Narodowego, który na krótko i potajemnie przyjechał do Krakowa, aby wziąć udział w fatalnym w skutkach zebraniu zaaranżowanym przez grono konserwatywnych intrygantów. Jak wiadomo, wtedy właśnie, w hotelu „Saskim”, przy Sławkowskiej pod „trójką”, młody i bezkompromisowy polityk z ugrupowania „czerwonych”, spotkał się tête à tête ze swoim przyszłym mordercą – niejakim Grabowskim.

Ks. Paweł cieszył się z wizyty Stefana – dobrego znajomego, którego przed rokiem poznał w Paryżu, a którego znał głównie z działalności w TMP i z łamów prasy konspiracyjnej. We wspomnieniach tak napisał o ich rozstaniu:

„Wybiera się więc na powrót do Warszawy, sam towarzyszyłem mu aż do granicy, ułatwiając mu przeprawę przez komorę, wcale nie przewidując że pożegnanie wtedy nasze było ostatnie w tem życiu!”

Do tragicznego incydentu spowodowanego w hotelowym apartamencie doszło w kilka tygodni później. Zabójstwo Bobrowskiego było przełomowym wydarzeniem w dziejach powstania – zamachem stanu zapewniającym przejście władzy Rządu Narodowego przez frakcję „Białych”.

Oburzyło i przygnębiło ks. Kamińskiego, który zapisał:

„Stawił się Bobrowski na miejsce do pojedynku oznaczone (...), pozwolił się zamordować, sądząc w poczciwości wiary swej, że dobro kraju, który tak serdecznie kochał i dla którego jedynie żył, ofiary tej po nim wymaga. Bobrowski, jak wiadomo, miał nadzwyczaj krótki wzrok, dlatego jednak mając jako wyzwany pierwszy strzał, strzelił w powietrze, mówiąc: »Tak się dzisiaj Polacy pojedynkują«. Pan Grabowski tymczasem zbliżył się na dziesięć kroków i w samo serce Bobrowskiego wymierzył: Bobrowski padł jako prawdziwy męczennik, padł nie z ręki Moskala, ale z ręki wyrodnego Polaka! Hańba tak strasznego morderstwa pada na całą klikę Komitetu Krakowskiego jako i Naczelnika reakcji. Po tym wypadku, reakcja słusznie cieszyła się z pozbycia nieprzyjemnego i zbyt poczciwego dla niej człowieka, ale Rząd Narodowy stracił najsilniejszą podporę. Od tej chwili Rząd coraz bardziej upadał, tak na siłach moralnych, jako i na wpływie u Narodu; oddał się zupełnie w ręce reakcji, która raz utworzoną drogą postępując, jedną po drugiej zdradę, popełniała i coraz większe zamieszanie sprawiała w narodzie”.

Więzienie i uciezka

Katolickiego duszpasterza o radykalnych i publicznie głoszonych poglądach musiały dotknąć represje. Za czynny udział w powstaniu i współpracę z krakowskim komitetem rewolucyjnym tamtejsza kuria biskupia słynąca z niechęci do ruchu patriotycznego zawiesiła Kamińskiego w prawach kapłańskich a policja austriacka osadziła go w więzieniu. W sierpniu 1863 r. po sześciotygodniowym areszcie śledczym został przewieziony do twierdzy w Ołomuńcu.

Stamtąd późną jesienią dzięki pomocy miejscowych Polaków zbiegł potajemnie do Katowic. Przebywał tu kilka tygodni korzystając z gościny na plebanii ks. Dr. Teodora Kremskiego na Załęskim Przedmieściu, pomocy Ferdynanda Zipsa, piekarza i właściciela kamieniczki przy obecnej ulicy Warszawskiej oraz wsparcia wspomnianego już wuja Jana Kucharza. Zaalarmowany groźnym mu aresztowaniem – przez Wrocław i przy pomocy „zakonspirowanych przyjaciół” z tamtejszego hote-

lu „Pod złotą gęsią” – wyjechał do Londynu.

We Francji

Do Paryża ks. Kamiński przeniósł się z początkiem 1864 r. Miał nadzieję, że spotka kogokolwiek z dawniej przyjaznych mu osób. Zamieszkał w schronisku dla Polaków przy długiej i wąskiej rue du Cherche-Midi. Znał dobrze te uliczki i zaułki dzielnicy Łacińskiej, bo w pobliżu, przy rue Sévres, w domu macierzystym Księży Misjonarzy, 5 lat wcześniej otrzymał święcenia diakońskie. Teraz w Paryżu nie czuł się już tak swojsko jak kiedyś. Ogarniały go tęsknoty i melancholie. Znow jak niegdyś zachodził do wspaniałego kościoła St. Sulpice, podziwiał chrzcielnice wykonane z wielkich muszli podarowanych przez dożów weneckich i słuchał muzyki monumentalnych organów, na których jak głosiła legenda, koncertował Wolfgang Amadeusz Mozart.

Utrzymywał się ze skromnego zasiłku ofiarowanego mu przez polskich patriotów – J. Kwiatkowskiego i jego szwagra Ksawerego Schlenkera. Wkrótce przeprowadził się do Bourges w departamencie Cher, gdzie został proboszczem parafii Nuret le Ferron. Liczna gromada Polaków mieszkała tam w kilku osiedlach a także w pobliżu słynnej gotyckiej katedry Saint Etienne. Wspólnie z nimi jako pleban rozpoczął gromadzenie darowizn na budowę domu dla polskiej młodzieży emigracyjnej.

„Wtenczas to – pisał ks. Kamiński – powzięłem zamiar założenia zakładu dla nieszczęśliwej młodzieży. Otrzymałszy ku temu pozwolenie od kilku biskupów francuzkich, jeździłem prawiąc kazania po rozmaitych miastach Francji, zbierałem składki i po pięciomiesięcznej zebrańnię, Bóg pobłogosławił moje starania tak, iż już dom w Tuluzie zakupić i pierwsze zakresy Zakładu rozpocząć mogłem”.

Tam zastała go wiadomość o śmierci matki – zmarła 16 Czerwca 1864 w Bytomiu.

Po pewnym czasie zrezygnował z proboszczowskiej prebendy i podjął się pełnienia obowiązków dyrektora domu młodych emigrantów w Tuluzie. Był też profesorem seminarium w tutejszej akademii i nauczycielem w miejscowych szkołach.

Spory i utarczki polityczne jakże staczał pomiędzy sobą byli uczestnicy powstania styczniowego, nie zakończyły się z chwilą upadku. We Francji ks.

Kamiński jako wczorajszy zwolennik „czerwonych”, chcąc nie chcąc musiał brać udział w polemikach i odpowiadać na ataki ideowych antagonistów z obozu „białych”. Jego najzagorzalszym oponentem był wyrachowany polityk Agaton Giller, intrygant i tajny polepcznik Leopolda Kronenberga, reprezentujący interesy bogatej burżuazji i arystokracji. Jako zaufany agent warszawskiego magnata występował pod pseudonimem „Gross”.

Pyskówki i polemiki nie miały już takiej temperatury jak dawniej. Teraz były to zaledwie gorzkie żale i bezsilne pomrukiwania. Nastroje panujące wśród emigracji 1863 r. cechowało przygnębienie. Prof. Stefan Kieniewicz na kartach *Historii Polski* określa ten stan, jako „kryzys moralny społeczeństwa, które na dłuższy czas przestało wierzyć w możliwość wyrwania się z obcego jarzma”. Ks. Kamiński, tak jak wszyscy przeżywał narodową a jednocześnie swoją osobistą klęskę.

Były kapelan „żuawów śmierci” i wojsk gen. Langiewicza, w poczuciu rozgoryczenia i osaczenia ogłosił w Paryżu w r. 1866 broszurę *Głos wymuszony na Pawle Kamińskim (Przyczynek do historii polskiej z lat 1861-1864)*, która zbulwersowała elity emigracyjne i wstrząsnęła niejednym sumieniem.

Jego skromnie wyglądająca książeczka odsłania kulisy powoływania władz insurekcji, dyktatorskich oraz generalskich nominacji. Frakcję „białych” oskarża o zaprzepaszczenie szans powstańczego zrywu, podporządkowanie interesów ogólnonarodowych sprawom osobistym a przede wszystkim interesom arystokracji i magnaterii. Z perspektywy XXI wieku, twierdzenia Kamińskiego i jego diagnoza – okazały się prawdziwe. Dobitnie przemawiają za nimi fakty historyczne udokumentowane w *Dwu drogach* Pawła Jasienicy i monografie powstania pióra prof. Kieniewicza.

P.S.

Szerzej o ks. Pawle Kamińskim i jego niezwykłych perypetiach w: *Gwiazdy i legendy dawnych Katowic* Henryka Szczepańskiego, opublikowanych przez wydawnictwo „Śląsk”. Obszerny biogram ks. P. Kamińskiego prof. Dr hab. Ks. Mieczysław Pater opublikował w: *Słowniku biograficznym katolickiego duchowieństwa śląskiego XIX i XX wieku*, Księgarnia św. Jacka, Katowice (1996).

Katowice, 2 stycznia 2018



Fragment rzeźby Świętej Anny Samotrzeciej, prawdopodobnie XVI wiek. Własność Sanktuarium na Górze św. Anny

„Górnoślązak [...] jest typowym „*homo religiosus*, to znaczy człowiekiem rdzennie religijnym” – pisał w 1934 roku bł. Emil Szramek. Słowa te wypowiedziane zostały w specyficznym kontekście społeczno-historycznym (instytucjonalne – nie bezproblemowe – formowanie się polskiego Śląska, w czym Kościół katolicki odegrał istotną rolę) i w intencji autora wpisują się w burzliwe wówczas dyskusje na temat tożsamości narodowej. Nie będzie chyba jednak nadużyciem potraktowanie tego stwierdzenia bardziej uniwersalnie, jako wskazania na jeden z trzonów tożsamości śląskiej w jej ujęciu modelowym (bo też o pewnym uogólnionym modelu będzie tu mowa). Ową „rdzenną religijność” chciałabym natomiast rozumieć jako religijność naturalną, nieinstytucjonalną, czasem wręcz niespójną z oficjalną wykładnią Kościoła. Będzie ona zatem tym, co określane jest mianem religijności ludowej czy też potocznej.

Czy uzasadnione jest mówienie o ludowości w odniesieniu do Ślązaków? Tak – a można to uzasadnić dwojako. Po pierwsze, wpisuje się to w przyjęty przeze mnie tok myślowy, który wszystkie aktywności oddolne, nieinstytucjonalne wpisuje w kategorię folkloru, czyli wiedzy ludu (czyli reprezentantów zarówno kultury wiejskiej, jak i miejskiej). Po drugie, usprawiedliwia to struktura społeczna mieszkańców regionu, który wraz z gwałtowną industrializacją w drugiej połowie XIX wieku zmienił swój charakter z wiejskiego w robotniczy.

Trzy matki

EMILIA WIECZORKOWSKA

Zmiana ta – paradoksalnie – nie niesie za sobą odmiennego postrzegania świata. Życie, skoncentrowane wewnątrz rodzin, które dawniej współtworzyły wsie, później ogniskowało się w osiedlach robotniczych budowanych przy zakładach pracy. System wartości i wierzeń pozostał ten sam.

Znamienna dla religijności ludowej jest szczególnie rola świętych w duchowym porządku świata. Bóg, czy też Trójca Święta są pojęciami abstrakcyjnymi, do których pełnego zrozumienia potrzebny jest namysł teologiczny. Święci zaś, stanowiący swoiste upostaciowanie boskiej siły, są człowiekowi dużo bliżsi. O ile łatwiej jest pojąć boską moc, kiedy przedstawiona jest w postaci prostych – wzorowych – narracji, żywotów śmiertelników, stąpających po naszej ziemi. Myślenie o śląskiej religijności każe przywołać postaci otoczone tu szczególnym kultem: świętą Barbarę, świętą Annę i Matkę Boską Piekarską. Chociaż różnic tutaj wiele (o czym szerzej poniżej), interesujący wydaje się wspólny mianownik: kobiecość. Dlaczego w regionie, w którym cięż-

ka praca mężczyzny przez tyle dziesięcioleci ceniona była ponad wszystko, najważniejszymi osobami na religijnym firmamencie są trzy kobiety (które pozwolę sobie określić mianem matek śląskiej religijności)? Poczekajmy z odpowiedzią na to pytanie.

O tym, że preferowane przez lud praktyki religijne rezonują (w tym przypadku otoczenie szczególną czcią tych, a nie innych świętych) świadczy dobitnie fakt, że utworzona w 1992 roku metropolia katowicka (jednostka administracyjna Kościoła katolickiego), obejmująca w swoich granicach terytorium całego Górnego Śląska, a także opolszczyznę, obrała na swoje patronki (obok świętych Jacka i Floriana) świętą Barbarę i Matkę Boską Piekarską. Nie ulega wątpliwości, że także święta Anna w sercach górnoślązaków zajmuje miejsce szczególne. Warto przyjrzeć się bliżej fenomenom tych trzech postaci.

W kosmogonii większości systemów religijnych różne miejsca przestrzeni były (są) różnorodnie wartościowane. Szczególnie wyraźnie widać to w systemach pierwotnych, nieskom-



Matka Boska Piekarska, czas powstania nieznany. Własność Bazyliki Najświętszej Marii Panny i św. Bartłomieja.

plikowanych, których pozostałości odnajdujemy w religijności typu ludowego (co zresztą nie musi kłócić się z religijnością oficjalną, kościelną). Lewa strona – nacechowana negatywnie, pozostaje we władaniu złych mocy, prawa zaś – dobrych. To, co na dole, „przy ziemi”, należy do sfery *profanum*, zaś to, co u góry kojarzymy z *sacrum*, ze świętością. Specyficznym połączeniem ludzkiej sfery *profanum* z boską sferą *sacrum* jest tzw. *axis mundi*. Wzniesienie, budowla (świątynia), miejsce kultu, które dążąc ku górze daje możliwość zbliżenia do boskości. Śląskie *axis mundi* związane jest z postacią świętej Anny – matki Maryi, babki Jezusa Chrystusa. Mowa oczywiście o Górze św. Anny, przez Ślązaków nazywanej Anabergiem.

Kult św. Anny na naszych ziemiach sięga XV wieku, a najlepszym wyznacznikiem jego wskaźnikiem jest około pięćdziesięciu budowli sakralnych tej świętej poświęconych. Do jej popularności przyczynili się prawdopodobnie franciszkanie, bardzo aktywni w całej Europie u schyłku

średniowiecza. Wierni tradycji franciszkańskiej dużą wagę przykładali do Niepokalanego Poczęcia Maryi, co przekładało się na kult jej matki. Także franciszkanom zawdzięczamy obecność tej świętej na wzgórzu nieopodal Zdieszowic (choć warto pamiętać, że już wcześniej było ono miejscem kultu). Sławę temu miejscu przyniosła słynąca z łask gotycka rzeźba św. Anny Samotrzeciej. Szybko sanktuarium annogórskie stało się celem pielgrzymek Ślązaków – co ważne, równoległe grup polskojęzycznych i niemieckojęzycznych. Wzgórze bywało określane „Taborem Górnos Śląskim” („kto stoi na górze, ten łatwiej może wszystkie myśli zwrócić ku niebu [...]”). Z początkiem XX wieku, Góra św. Anny została wpisana w nowy, narodowościowy, kontekst. Stała się symbolem katolickiej polskości, czego apogeum była bitwa stoczona tam w trakcie III powstania śląskiego.

Choć dziś liczebność pielgrzymek do patronki małżeństw, matek i wdów drastycznie zmalała, jej postać – za sprawą tego szczególnego

miejsca – wydaje się być mocno osadzona w śląskiej „mitologii”.

Niesłabnącą popularnością na mapach pątniczych może się natomiast poszczycić sanktuarium w Piekarach Śląskich i obraz Matki Bożej Sprawiedliwości i Miłości społecznej. Ten szczególnie wizerunek Maryi z dzieciątkiem lud śląski (szczególnie zaś górnicy i hutnicy) upodobał sobie niczym obraz matki – pocieszycielki. Jak silnie Matka Boska Piekarska wpisała się w tutejszą kulturę świadczy choćby pożegnanie niegdyś często słyszane na ulicach śląskich miast: „i pozdrawiaj ode mnie MB Piekarską”. Repliki wizerunku tej, którą nazywano Gospodynią Śląska i Śląską Panią stały się częstym elementem wyposażenia śląskich domów.

Kult MB Piekarskiej jest wciąż żywy na Górnym Śląsku – do tradycji wielu rodzin należy odbycie corocznej pielgrzymki stanowej (męskiej oraz kobiecej). Historycy Kościoła podkreślają istotną rolę społeczno-formacyjną tego miejsca. To tutaj w 1844 roku ksiądz Jan Ficek podjął walkę z powszechnym na Śląsku problemem pijaństwa. Do jego bractwa po dwóch latach przystąpiło aż 300 tysięcy osób! Ze wspomnień na temat jego działalności wyczytać można, że największą „gańbą” miało być upijanie się pod czujnym okiem Piekarskiej Matki („Pon Bóg wszystko widzi. A najgorzej, że to jeszcze widzi Matko Bosko Piekarsko. Toż pod Jeji oknami pijecie!”). Czyżby zatem to wobec matki śląski chłop miał mieć się na baczności? Pamiętając, że to właśnie kobieta jest tu strażniczką domowego ogniska i osobą wpajającą w dzieci system wartości, taki strach przed upokorzeniem w zasadzie nie dziwi.

Ciekawym znów wątkiem jest usytuowanie sanktuarium piekarskiego w przestrzeni – jak wierzono, wskazane przez Boga. Znajdowało się ono w samym centrum wsi, a centrum czy środek – podobnie jak wzgórze – stanowić ma miejsce szczególne, miejsce interakcji *sacrum* i *profanum*.

Zarówno w przypadku świętej Anny i piekarskiej Madonny mamy do czynienia z otoczeniem kultem nie tyle samych postaci, co ich konkretnych wizerunków uznanych za cudowne. Zachodzi tu ciekawy zwrot: oto konkretne wyobrażenie świętych otoczone jest taką czcią, że zostaje spersonifikowane przez wiernych (MB Piekarska to nie jedynie jeden z wizerunków Maryi, ale „nasza Matka”). To swoiste „zawłaszczanie” lokalne, „udomowienie” jest niczym innym jak skróceniem dystansu pomiędzy wierzącym a *sacrum*.

Nieco inaczej sprawa ma się w przypadku trzeciej ze „śląskich Matek” – Barbary. Nie można tu mówić o czci oddawanej konkretnemu przedstawieniu. Wręcz przeciwnie – każda bowiem kopalnia miała/ma swój obraz bądź figurę świętej Barbary, patronki górników (wtórnie – pierwotnie bowiem miała chronić przed nagłą śmiercią, co naturalną koleją rzeczy połączone zostało z niebezpieczną pracą na grubie). Załoga każdej kopalni miała zatem „swoją Barbarę”. I choć niewątpliwie górnicy czuli związek emocjonalny z danym wizerunkiem (o czym świadczy oddawanie honorów obrazom przeniesionym z likwidowanych kopalń do kościołów), wydaje się, że były one faktycznie medium łączącym ich z Patronką.

Jest zastanawiające, dlaczego patronką górników i cechu górniczego, związanego niemal w stu procentach z mężczyznami, obrana została młoda dziewczyna – Barbórka. Legenda mówi, że jeden z robotników, udawszy się do nieba, uprosił Boga, by dał górnikom za patronkę ową dzielną chrześcijankę, która ucieknawszy przed ojcem, schroniła się we wnętrzu skały. Kult Świętej Barbary jest jednym z najbardziej żywych, prawdopodobnie żadna inna grupa społeczna tak aktywnie i przez tak długi czas nie otaczała czcią swojego patrona. Nie bez wpływu był tu okres socjalistycznego zwalczania podobnych przejawów religijności. 4 grudnia, dzień Patronki, uległ wówczas zeświecczeniu, a nawet przemianowaniu na Dzień Górnika. Przekształcenie uroczystości, w której centrum jest postać religijna w swoistą akademię połączoną z biesiadą o charakterze rozrywkowym nie osłabiło jednak kultu świętej. Święta Barbara była (jest) dla górnika, ciężko pracującego, wykształconego zazwyczaj jedynie do wykonywania tego zawodu, pomostem między trudnymi realiami pracy a niezrozumiałym i nieogarnionym Bogiem. Dzięki wierze w jej fizyczną obecność na ziemi, łatwiej było pojąć transcendentnego Boga (w wielu zresztą przedstawieniach, Barbara zajmuje miejsce ważniejsze, niż Chrystus czy Maryja).

Cześć oddawana świętej Barbarze i Piekarskiej Matce są dowodem na pewien specyficznie śląski wymiar religijności, a mianowicie nierozrwalną więź pomiędzy trzema aspektami tożsamościowej triady: pracą, religią i rodziną.

Pora wrócić do postawionego wcześniej pytania o źródła tej swoistej feminizacji panteonu świętych śląskich (a do grona tego dopisać należałoby Jadwigę Śląską czy zapomnianą Evę von Tiele-Winckler zwaną Matką



Źródło: Stefan Gierlotka („Historia górnictwa”, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” 2017)

Ewą, rozmiar kultu jest w tych przypadkach jednak dużo skromniejszy). Wydaje się, że odpowiedź tkwi w specyficznym modelu rodziny, która w tradycyjnym układzie wyraźnie rozgraniczała funkcje mężczyzny i kobiety (znów – mówimy o pewnej sytuacji wzorcowej, która nie opiera się wszak wpływowi współczesności). W literaturze przedmiotu często przywoływany jest zaproponowany przez Wandę Mrozek podział, wedle którego ojciec pełni w rodzinie rolę „zewnątrzno-instrumentalną” (głównie ekonomiczną), a matka „wewnętrzno-ekspresyjną” (dbałość o ciągłość kulturową). Obie te role są komplementarne względem siebie i dopiero wypełnienie obydwu zapewnić może prawidłowe funkcjonowanie rodziny. Jakkolwiek nie ma potrzeby, by stawić tu rozstrzygnięcia pomiędzy kategoriami patriarchy i matriarchy, przyznać trzeba, że elementy tego drugiego systemu są nietrudne do wykazania przy dokonywaniu studium tzw. tradycyjnej rodziny śląskiej. Ślązacy to zbiorowość o silnym poczuciu tożsamości kulturowej. Także w tej sferze czytelny jest rys matrycentryczny – to głównie kobiety, obcowując z dziećmi, w toku procesu wychowaw-

czego, wpajają im normy i obyczaje swoich przodków. To powoduje, że kobieta staje się ogniwem łączącym przeszłość z teraźniejszością. Po linii żeńskiej – matka, babka, prababka – przekazywane są zwyczaje związane z obrzędowością. Ze względu na specyficzną sytuację mężczyzny – poszukiwanie pracy, częste wypadki na kopalni i, mówiąc ogólnie, jego niestały pobyt w rodzinie, młode małżeństwa zwykle osiedlały się w bliskości rodziny żony. Syn od dzieciństwa wychowany był z perspektywą, że w pewnym momencie opuści dom, założy własną rodzinę i będzie musiał „dać sobie sam radę”.

Choć rozpowszechnienie kultu maryjnego i (będącego jego konsekwencją kultu świętych niewiast) na ziemiach śląskich tłumaczy się zwykle odpowiedzią na reformację, silna jest pokusa, by szukać naturalnych, a wręcz ewolucyjnych, przyczyn takiego stanu rzeczy. W tradycyjnym modelu rodziny, kobieta jest uosobieniem domowego ciepła, a przede wszystkim – poczucia bezpieczeństwa, wartości deficytowej w przypadku mężczyzn na Śląsku. Można rzec – jest po stronie życia, podczas gdy mężczyzna narażony jest niemal co dzień na śmierć. Nie dziwi zatem, że także w sferze wyobrażeń, będących wszak swoistym odwzorowaniem rzeczywistości, to kobieta jawi się jako opiekunka i pocieszycielka (Pod Twoją obronę uciekamy się...). Taka, a nie inna struktura i rozkład sił w rodzinie wydaje się być gwarantem sprawnego funkcjonowania społeczności, utrwalenia jej systemu wartości, a sprowadzając kwestię do poziomu organicznego – zachowania ciągłości w sensie genetycznym (za biologicznym argumentem przemawia też zestereotypizowana preferencja kobiet „o pełnych kształtach” – kolejny ze śląskich mitów utrwalany chociażby przez Erwina Sówkę).

Czy wobec wyraźnych przeobrażeń modelu rodziny, zaniku jednorodności śląskiego społeczeństwa zasadne jest poddawanie analizom wyidealizowanych wzorów? Jestem przekonana, że uświadomienie sobie mechanizmów funkcjonujących na poziomie tradycji, pozwala zrozumieć szereg zjawisk współczesnych. Być może jest to nawet istotniejsze teraz, w czasach wzajemnych interferencji odmiennych wzorów kulturowych. Nieco może trywializując: bądźmy świadomi swoich tradycji, dążmy do zrozumienia zasad funkcjonowania własnej kultury, by lepiej zrozumieć „innego”.



Portret pierwszych pokoleń powojennej inteligencji śląskiej próbowałem zarysować artykułem *Uczniowie Kołodzieja i Zagajewskiego* („Śląsk” 2002, nr 3). Odnotowałem tam, że w większości jest to formacja młoda, historycznie nowa. W latach 1950. kierownicze stanowiska w przemyśle coraz częściej zdobywali już rodzimi inżynierowie dzięki specjalnej puli miejsc na Politechnice Śląskiej, przeznaczonej dla – tak wówczas zwanych – „autochtonów”. Ale studiowali tu również przybysze z najdalszych kresów II Rzeczypospolitej, jak również młodzi Niemcy, którzy później w części emigrowali, a w części wtapiali się w wieloetniczne, wymieszane społeczeństwo regionu.

Tragizm czasów stalinowskich, które na Śląsku trwały jeszcze całe lata po śmierci Stalina, doczekał się już obszernych opracowań. Nie da się tego ująć w krótkim artykule. Tu zauważę tylko, że nawet po roku 1956 nie pojawiały się istotne próby pozazawodowej integracji różnych środowisk. Inteligencji było za mało, podziałów za dużo. W Warszawie już powstawały koncesjonowane stowarzyszenia, a na Śląsku o żadnych koncesjach nie było mowy. Nie widziało się też chęci do nawiązywania kontaktów innych niż rodzinne. Osobistą wolność pozwalało zachować tylko kibicowanie swoim drużynom i kultywowanie domowych obyczajów, a także życie religijne wokół parafii i uczestniczenie w pielgrzymkach. Miało to tę dodatkową wartość, że – zgodnie z uniwersalistycznym przesłaniem – Kościół katolicki nie dopuszczał w sferze swego oddziaływania do jakichkolwiek waśni na tle etnicznych.

KIK w Katowicach 1980

Te niby oczywiste (dla starszego pokolenia) uwagi wstępne potrzebne były do zinterpretowania faktu względnie późnego – bo dopiero w roku 1980 – utworzenia Klubu Inteligencji Katolickiej w Katowicach. To był moment osłabienia władzy komunistów, którzy mieli na głowie poważniejszy dla siebie problem, czyli powstanie „Solidarności”, i nie zdołali skutecznie zablokować rodzących się wtedy licznych inicjatyw społecznych.

Krótki, kilkunastomiesięczny okres względnej wolności zdołali wykorzystać ci, którzy byli wewnętrznie przygotowani i przekonani, że trzeba się zorganizować. A tworzenie nowych sposobów, bo jeszcze nie instytucji, życia społecznego wcale nie było łatwe. Tu trzeba przypomnieć, że ówczesna władza nie przyglądała się zmianom bezczynnie. Armia funkcjonariuszy służb specjalnych wykonywała swe zadania z dużą fachowością. Na usługach partii pozostawały też dziesiątki tysięcy jawnych, tajnych i supertajnych współpracowników, których zadaniem było infiltrowanie wszystkich organizacji i stawianie na ich czele (dokumentuję to ob-

Śląska inteligencja katolicka

ANDRZEJ JARCZEWSKI

szernie w opracowaniu *Trzy garnitury Gliwickiej Delegatury*, dostępnym w Internecie).

Jesienią roku 1980 koncesjonowany Polski Związek Katolicko-Społeczny (PZKS) zamierzał na Śląsku utworzyć – wzorowany na warszawskim – Klub Inteligencji Katolickiej. Ale nie zdążył. Większą determinacją i sprawnością wykazali się działacze niezależni: Stanisław Kruszyński, Józef Buszman i Jerzy Konieczny, którzy wraz z Henrykiem Góreckim zwrócili się do ks. biskupa Herberta Bednorza z prośbą o akceptację. To były czasy, gdy o wiarygodności nowej inicjatywy decydowała obecność osoby o niekwestionowanym autorytecie, a taką osobą był niewątpliwie nasz światowej sławy kompozytor Henryk Mikołaj Górecki, który przyjął funkcję pierwszego prezesa Klubu.

Już 23 października 1980 możliwe było zgromadzenie 50 zaufanych osób na probostwie parafii Chrystusa Króla w Katowicach i przeprowadzenie formalnego zebrania założycielskiego. Wkrótce też powstały sekcje Klubu w innych miastach województwa katowickiego. Oddolny sposób tworzenia Klubu zasługuje na uwagę, bo to zadecydowało o trwałości idei przewodniej śląskich KIK-ów. Podkreślam ten aspekt, bo warszawski KIK, powstały w roku 1956 na fali „odwilży”, był organizacją koncesjonowaną przez PZPR. W pewnym sensie było to „hodowa-

nie” ewentualnych rozmówców do posadzenia: albo w więzieniu, albo w sejmie, albo przy jakimś – w przyszłości – okrągłym meblu. Na Śląsku nie było to partii potrzebne.

Idee przewodnie

W dokumentach programowych katowickiego KIK-u wyraźnie formułuje się misję Klubu, zawierającą m.in. takie zdania: *Pojęcie inteligencji traktujemy bardziej jako kategorię etyczną niż intelektualną – dar, który powinniśmy rozwijać, by lepiej służyć dobru wspólnemu, a przez to zapobiegać złu. W określeniu tym dostrzegamy wyzwanie, aby otrzymane talenty rozwijać, posiadane umiejętności doskonalić, zdobywaną wiedzę poszerzać, a wszystkim dzielić się z innymi.*

Tak więc chodzi tu nie o wykształcenie formalne, ale o postawę, co odpowiada rzeczywistemu składowi kilkunastu śląskich sekcji Klubu: od robotnika do profesora. Warto zwrócić uwagę na czasowniki: *rozwijać, służyć dobru wspólnemu, zapobiegać złu, doskonalić, poszerzać wiedzę* i – najważniejsze – *dzielić się z innymi*. To jest kluczowe rozróżnienie: zamiast dowolnie definiowanych rzeczowników abstrakcyjnych, tak zaśmiecających przestrzeń medialną, mamy wyraźne zapowiedzi działań, realizowanych starannie aż do dnia dzisiejszego.

W „Deklaracji ideowej”, zawierającej oczywiste odniesienia do Ewangelii i katolickiej nauki społecznej, zaakcentowano też propaństwową orientację Klubu: *Budujemy i wzmacniamy postawy patriotyczne z zachowaniem należytego szacunku dla odrębności narodowych, odrzucając kosmopolityzm i nacjonalizm.*

Duch silny, ciało słabe

Działalność sekcji Klubu zadziwia aktywnością i wszechstronnością. Dla piszącego te słowa domatora najbardziej zaskakujące jest połączenie funkcji ogromnego (i najtańszego) biura podróży, senatu i... uniwersytetu trzeciego wieku. Trudno to sobie wyobrazić, ale śląski KIK zorganizował setki wyjazdów o różnym charakterze do 64 krajów! Motywem przewodnim jest zawsze odwiedzanie miejsc świętych. Najczęściej są to pielgrzymki do różnych sanktuariów, niekiedy bardzo odległych.

Dwa miejsca na mapie – Rzym i Jerozolima – to oczywiste cele wyjazdów zagranicznych. Ale zwykły człowiek nawet nie ma pojęcia o miejscach pielgrzymkowych np. w Chinach, Indiach, Kanadzie, Gwatemali, Armenii, Argentynie nie mówiąc już o RPA, Zambii czy Nowej Zelandii, a zwłaszcza o wyspach Galapagos! Wszędzie tam docierali pielgrzymi ze Śląska. Lista miejscowości odwiedzanych w Polsce i na całym świecie jest imponująca; świadczy o niezwyklej żywotności, wręcz młodości pielgrzymów.

Tak niestety nie jest. Młodość tak, ale tylko duchem. Pesele członków KIK-u świadczą o ich przynależności do starszej grupy wiekowej. To jest wręcz „izba refleksji” a nie klub sportowy. Doświadczenie długiego życia pozwala członkom Klubu zajmować stanowisko wobec najważniejszych wyzwań cywilizacyjnych XXI wieku i pomijać sprawy polityki bieżącej. Jeśli samorząd wojewódzki można porównać z sejmem krajowym, to śląski KIK pełni niejako funkcję senatu. Młodszy niech dbają w sejmiku o rozwój regionu, o pieniądze i dobre prawo, a starsi – jak to zawsze bywało w dziejach ludzkości – przestrzegają przed różnymi niebezpieczeństwami, bo poznawali je przez dziesiątki lat

i wiedzą, czym kończą się eksperymenty na ludziach i narodach.

Dzielić się z innymi

Wezwanie do dzielenia się dobrami materialnymi jest najpotrzebniejsze tam, gdzie żyją ludzie bardzo biedni i poniżani. Ale też tam, gdzie żyją ludzie bogaci i do nich to wezwanie jest kierowane. Czasem zdecydować może „wdowi grosz”, jednakże na większą skalę dzielić się możemy tylko tym, co posiadamy. Dopiero od niedawna zaczynamy gromadzić jakąś własność prywatną i w sferze materialnej tych dóbr do podziału – jako społeczeństwo – mamy niewiele. Trzeba je dopiero wytworzyć i nabyć, stąd podkreślana przy każdej okazji wartość pracy, ale też własności prywatnej, tak tępionej w czasach PRL.

KIK – rozumiany teraz jako „izba refleksji” – realizuje swoją misję, dzieląc się tymi dobrami, które posiada: doświadczeniem, wiedzą naukową i mądrością życiową. Na zewnątrz przejawia się to formułowaniem różnych stanowisk, pisaniem listów otwartych, uczestniczeniem w różnych formach poparcia działań ocenianych jako dobre i protestami przeciwko temu, co może przynieść złe owoce w bliskiej lub dalszej perspektywie.

Kierunek opinii jest oczywisty i wynika z własnej interpretacji wskazówek ewangelicznych. Jeżeli nie zawsze jest to zgodne ze stanowiskiem episkopatu czy Watykanu, to raczej dlatego, że owe stanowiska są zmienne i nie przez wszystkie kościelne władze jednakowo rozumiane. Dokładniejsza lektura licznych stanowisk i apeli KIK-u pozwala zauważyć trwałość linii ideowej, obronę sprawdzonych wartości tradycyjnych i nieuleganie postmodernistycznym modom. Za dużo tych dokumentów, by je tu choćby wymienić. Zainteresowani znajdują je na stronie www.kik.katowice.opoka.org.pl/

KIK w Katowicach wydaje również własny comiesięczny biuletyn, którego tytuł swą stylizacją nawiązuje zarówno do oczywistych skojarzeń (krzyż), jak i do głębiej ukrytych znaczeń, wymagających dociekliwości w odczytywaniu trzech składników jednego prostego wyrazu. Miesięcznik „Dłatego”, redagowany przez

prof. Stanisława Walusia, zawiera obszerne informacje o życiu klubowym. Początkowo były to dwie stroniczki, ale najnowszy numer 12/2017 (licząc od początku: nr 312) ma już stron 28, a „po drodze” bywały znacznie grubsze. Na podanej wyżej stronie internetowej można bez trudu odnaleźć wszystkie wydania „Dłatego” od numeru 84 z roku 1998. Wcześniejsze muszą poczekać jeszcze na digitalizację.

Kolejną formą działalności kilku większych sekcji jest systematyczne organizowanie wykładów, a także stymulowanie życia kulturalnego swoich diecezji i uczestniczenie w różnorodnych zajęciach. Wykładowcami są na ogół profesorowie wyższych uczelni, duchowni i twórcy różnych dziedzin sztuki. Tematyka ma zwykle związek z momentem wykładu względem roku liturgicznego, ale nierzadko dotyczy najnowszych osiągnięć nauki lub zagadnień historycznych. A gdy inne organizacje przygotowują wielkie wydarzenia, jak niedawny „Różaniec do Granic”, nie może tam zabraknąć KIK-u.

Tak więc Klub Inteligencji Katolickiej w Katowicach jest częścią ogólnopolskiej sieci podobnych organizacji. Nikt tą siecią nie zarządza, nie ma odgórnych wytycznych ani zakazów. Poszczególne Kluby działają niezależnie, ale łączy je wspólna idea, wiara i zapewne nadzieja. Ostatni punkt wyraziłem w formie warunkowej. KIK-i odpowiadały potrzebom duchowym i możliwościom organizacyjnym przełomu tysiącleci. Być może jest to pomysł na cały wiek XXI. Tego nie wiemy. Zauważam tylko, że katolicka młodzież organizuje się dziś w inny sposób. Z jednej strony żąda wielkich imprez w rodzaju Światowych Dni Młodzieży, z drugiej – preferuje kontakty raczej komórkowe lub mailowe. Na naszych oczach zmienia się paradygmat uczestniczenia również w życiu duchowym. W wielu krajach Europy oznacza to odwrót od Kościoła. W Polsce wciąż tworzą się nowe formy życia w różnie rozumianych wspólnotach. Kto to dostrzeże i wypracuje odpowiadającą czasom formułę – odniesie wielki sukces organizacyjny. Ale jak to zaowocuje w sercach i umysłach, tego prognozować nie próbuję.



Śląsk. Zmiana paradygmatu

ANDRZEJ JARCZEWSKI



Kto pracował na dole kopalni musiał w wie-
klu chodnikach zauważyć tabliczkę: **Stabe
oberwij, mocne zabuduj**. Jest w tym hasło za-
warta górnicza mądrość: „nie w twojej mocy
utrzymać wszystkiego, co zalega nad stropem,
ale to, co ci może spaść na głowę: oberwij za-
wczasu i wzmocnij to, co jest już mocne samo
z siebie”. Znali tę maksymę twórcy
wszystkich dotychczasowych śląskich *kon-*
traktów, strategii czy programów. Wiedzie-
li, że nie zdołamy utrzymać dotychczasowe-
go paradygmatu węgla i stali, bo to nam
„spadnie na głowę”. Wiedzieli że potrzebne
są nowe technologie w tradycyjnych gałęziach
gospodarki i całe nowe, innowacyjne dziedzi-
ny, a największego wsparcia należy udzielić
tym dyscyplinom, które – wysiłkiem samy-
ch twórców – już osiągnęły znaczne sukce-
sy mimo niesprzyjających warunków.
Pierwszy tego rodzaju dokument podpisano
w roku 1995 i zatytułowano:

Kontrakt Regionalny dla Województwa Katowickiego

Warto przypomnieć, że w roku 1995 nie by-
ło jeszcze w Polsce samorządu wojewódzkie-
go. Działał tylko Sejmik Samorządowy, któ-
ry wprowadził był tylko klubem dyskusyjnym
bez żadnego majątku czy władzy, ale już nada-
wał się do reprezentowania tzw. „strony spo-
łecznej”, z którą rząd mógł się jakoś porozu-
miewać. Problem w tym, że polskie prawo nie
przewidywało takiej możliwości i nikt nie wie-
dział, jaką wartość prawną mają zawarte
tam postanowienia. Na wszelki wypadek
Kontrakt – wbrew cywilno-prawnym oby-
czajom – nie zawierał klauzuli o karach umow-
nych. Realizacja poszczególnych punktów za-
leżała więc wyłącznie od dobrej woli
kolejnych rządów, bo po kilku latach „strona
społeczna” zmieniła się nie do poznania.

Ta dziwna formuła okazała się zbawien-
na. Powstało wiele instytucji, wspierają-
cych rozwój regionalny, a zapowiedzi róż-
nych konkretnych działań czy inwestycji
realizowano albo nie i nikt z bardzo na to
nie narzekał. *Kontrakt* miał charakter na ty-
le ogólny, że można go było traktować „ela-
stycznie” i nagać do potrzeb, o których po-
czątkowo nawet nie myślano. By
przypomnieć sobie atmosferę, towarzyszą-
cą prekursorskiemu w Polsce (bo na Zachodzie
takie umowy były znane) kontraktowi
regionalnemu, zacytujmy fragment pream-
buły tego dokumentu:

(...) *Uznając prawa obywateli, społeczno-
ści lokalnych i regionalnych do określenia swo-
ich potrzeb, oczekiwań i ambicji oraz do współ-*

*decydowania o sposobach i formach ich za-
spokożenia, zgodnych z zasadą dobra wspól-
nego i dobra Rzeczypospolitej Polskiej (...) Stro-
ny postanawiają zawrzeć KONTRAKT
REGIONALNY, którego zasady i instytucje win-
ny być elementem organizacji społecznej wo-
jewództwa i obowiązywać przynajmniej 20 lat,
z możliwością systematycznej aktualizacji,
nie rzadziej niż raz w roku.*

Ton wzniosły, bo i rzecz ustanowiono nie-
małą. Realizacja *Kontraktu* obrosła już licz-
nymi pracami naukowymi i publikacjami. Ge-
neralnie – pomysł udany, a najważniejsze, że
w przygotowaniach uczestniczyła tzw. „strona
społeczna” (ponad 60 różnych organizacji),
co zabezpieczyło *Kontrakt* przed późniejszą
krytyką ze strony związkowców, samorządow-
ców czy reprezentantów różnych stowarzy-
szeń. Co ciekawe – ów *Kontrakt* owocował
przez prawie całe, wstępnie założone 20 lat ja-
ko intelektualny fundament późniejszej Stra-
teгии Rozwoju Regionalnego, czy kolejnych
Regionalnych Programów Operacyjnych i
różnych drobniejszych lub lokalnych usta-
leń realizacyjnych. W roku 2014 powrócono
do idei kontraktu, formułując:

Kontrakt Terytorialny dla Województwa Śląskiego

Ten dokument ma już zupełnie inny cha-
rakter. Zaczyna się nie od górnotłonej pre-
ambuły, ale od zimnego wyliczenia dwudzie-
stu dokumentów, stanowiących podstawę
prawną nowego *Kontraktu*. Następna różni-
ca wynika z zaistnienia osoby prawnej
w postaci samorządowego Województwa
Śląskiego. Nowy *Kontrakt* ma więc tylko
dwóch sygnatariuszy: rząd i Województwo
Śląskie. Dokument stał się podobny do umow-
y międzypaństwowej, podczas gdy w ro-
ku 1995 pamiętano jeszcze o Porozumieniu
Katowickim i Jastrzębskim z września 1980,
a „stronę społeczną” traktowano poważnie
(tzn. jako potencjalnie poważnego... przeciwni-
ka).

Nowy *Kontrakt* ma obowiązywać ok. 10 lat
(do roku 2023) i jest w gruncie rzeczy pod-
sumowaniem – zapisanych w innych doku-
mentach – wydatków rządowych, samorządow-
ych i innych, realizowanych w woj. śląskim.
Zawiera wykaz „przedsięwzięć prioryteto-
wych”, ale też wyraźną klauzulę, że jeśli coś
nie będzie zrobione, to... trudno. Zgodnie z tra-
dycją – *Kontrakt* nie rodzi skutecznych rosz-
czeń finansowych.

Mimo zmian politycznych w Warsza-
wie – *Kontrakt* jest w zasadzie realizowany po-
prawnie, co by znaczyło, że zawiera tylko ta-

kie priorytety, które nie budzą poważniejszych
wątpliwości (dotyczy to np. infrastruktury dro-
gowej, kolejowej i rzecznej). Jak zwykle – sła-
bością jest tempo działania. Na 77 priorytetów
do końca roku 2017 podpisano zaledwie
5 większych umów realizacyjnych. Przełom
pod tym względem ma przynieść najnowszy
dokument, czyli zaprezentowany w Katowic-
kach 21 grudnia 2017:

Program dla Śląska

Firmujące *Program* Ministerstwo Rozwo-
ju przyjęło inny styl prezentacji. Zrezygnowa-
no z podawania podstaw prawnych, natomiast
skupiono się na wyjaśnieniu, skąd się ten Pro-
gram wywodzi i kto uczestniczył w przygo-
towaniach. Tak więc *Program dla Śląska*
jest realizacją polityki regionalnej rządu,
opisanej w Strategii na rzecz Odpowiedzial-
nego Rozwoju (SOR; 14.02.2017). Partnerem
rządu tym razem była Wojewódzka Rada Dia-
logu Społecznego w Katowicach, w tym
związkowcy i przedstawiciele pracodawców,
którzy podczas grudniowej prezentacji spra-
wiali wrażenie – może nie w pełni, ale jed-
nak – zadowolonych z wypracowanego w to-
ku długich dyskusji rezultatu.

Nowy *Program* nie uchyla obowiązujące-
go *Kontraktu* z roku 2014, ale zapowiada zdy-
namizowanie działań i pewne nowe hierarchie
ważności. Gdy za kilka następnych lat tworzony
będzie kolejny tego rodzaju *Program*,
przypomnimy sobie 6 priorytetów, obowiązują-
cych na Śląsku obecnie (podaję za oficjal-
nym dokumentem):

1. Zbudowanie innowacyjnej gospodarki re-
gionalnej z wykorzystaniem istniejących sek-
torów przemysłowych.

2. Zapewnienie wysokiej jakości kapitału
ludzkiego i społecznego dla potrzeb zmian za-
chodzących na rynku pracy.

3. Przeciwdziałanie degradacji środowiska
w regionie.

4. Zapewnienie technicznych podstaw roz-
woju gospodarki nowego typu oraz funkcyj-
nowania społeczności regionu poprzez inwe-
stycje infrastrukturalne.

5. Budowa innowacyjnego przemysłu ener-
getycznego, zapewniającego bezpieczeństwo
dostaw energii dla całego kraju oraz nieprzy-
czyniającego się do dalszej degradacji środo-
wiska przyrodniczego.

6. Przeciwdziałanie zróżnicowaniu rozwo-
jowym regionu i rozlewaniu się metropolii oraz
przywrócenie wartości społeczno-gospodarczej
i inwestycyjnej obszarów zdegradowanych,
w tym terenów poprzemysłowych.

60. rocznica święceń prezbiteriatu abpa seniora Damiana Zimonia

„Wiem, komu zawierzyłem”. Słowa te z Drugiego Listu św. Pawła do Tymoteusza obrał na swoją kapłańską drogę ks. abp senior dr Damian Zimoń. Rozpoczęła się ona 21 grudnia 1957 roku w kaplicy Niższego Seminarium Duchownego w Katowicach, gdzie, wówczas 23-letni diakon z Niedobczyc, przyjął święcenia kapłańskie z rąk miejscowego biskupa pomocniczego Juliusza Bienka. Młody ksiądz do tego wydarzenia powróci w towarzystwie arcybiskupów i biskupów różnych diecezji, kapłanów oraz licznie zgromadzonych wiernych z wielu parafii sześćdziesiąt lat później w Katedrze Chrystusa Króla już jako abp senior Archidiecezji Katowickiej.

„Dziękując Bogu za lata posługi ks. abp. Damiana – mówił ks. dr Łukasz Gaweł – pragniemy dzisiaj otoczyć modlitwą tych wszystkich, dzięki którym rozeznawał i rozwijał swe powołanie do wyłącznej służby Bożej. W sposób szczególny wśród wielu innych myślimy o jego rodzicach, pierwszych świadkach wiary, o formatorach z czasów seminarium, a także o przyjaciółach z rocznika święceń. [...] Drodzy w Chrystusie – kontynuował proboszcz katowickiej katedry – pragniemy napelnieni Duchem Świętym i przez niego zgromadzeni w jedno, wyprasać dla dostojnego Jubilat obfite dary niebios: dobre zdrowie, niegasnący żar apostołskiego zapału oraz łaskę codziennego, życiodajnego zjednoczenia z Chrystusem, Najwyższym i Wiecznym Kapłanem”.

Po tej wypowiedzi abp Damian Zimoń został poproszony o przewodniczenie mszy świętej w swojej intencji.

Homilię do wszystkich zgromadzonych w katedrze wygłosił ks. abp dr Wiktor Skworc. Nawiązując do pochodzącego z *Pieśni nad Pieśniami* pierwszego czytania, wychodząc od słów, w których Oblubieniec zwraca się do swojej Oblubienicy: „Powstań, przyjaciółko ma, i pójdz!” metropolita katowicki poruszył temat drogi powołania Jubilata: „Dzisiaj od czytujemy słowa oblubieńca w świetle ju-

bilewsu 60-lecia święceń prezbiteriatu arcybiskupa seniora Damiana. Słyszymy – razem z nim – głos Pana, który zabrzmiał w uszach i sercu młodego człowieka, urodzonego 25 października 1934 roku w Niedobczycach”. I dalej: „Odpowiedz na Boże powołanie w dniu święceń skryzalizowała się najpierw w „adsum” – oto jestem, jestem gotowy! Głośne „adsum” to coś więcej niż tylko potwierdzenie obecności. „To był gest życia, które oddaje się Chrystusowi do dyspozycji, gotowe na drogę Pana”; gotowe na wyłączną służbę Ewangelii”. W dalszych swoich słowach ks. abp Wiktor Skworc przypomniał na czym polegało owe wierno wypełnianie służby przez Jubilat. Ks. abp senior sprawdził się „jako wikariusz, a z biegiem czasu jako przełożony, wicektor Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego, proboszcz, wreszcie jako biskup diecezjalny i metropolita katowicki”. Ks. abp Wiktor Skworc zakończył swoją homilię następująco: „Za całe bogactwo 60-letniej kapłańskiej posługi, razem z Tobą dziękujemy Bogu! Wspólnie śpiewamy gromkie *Te Deum laudamus* za 60. lat służby na Górnośląskiej Ziemi. Na końcu w imieniu wszystkich tu zebranych mówię Tobie, Dostojny Jubilacie, serdeczne dziękuję i Bóg zapłać za „pracę i znojny trud”; za świadectwo, wytrwałość i wierność do końca Temu, któremu zawierzyłeś!”.

Po słowach metropolity katowickiego zebrani na mszy świętej odmówili modlitwę wiernych, w której jeden z posługujących przy ołtarzu kapłanów polecił także intencje Jubilata.

Po uroczystym odśpiewaniu *Ciebie Boże wielbimy*, będącym podziękowaniem za „życie i posługiwanie ks. abpa Damiana, za to wszystko, co uczynił dla kościoła lokalnego i powszechnego, za wielkie rzeczy, które Bóg uczynił w jego życiu, a które i nam – jak mówił ks. dr Grzegorz Śmieciński – przypadły w udziale, za całe bogactwo 60-letniej posługi, za lata służby na Górnośląskiej ziemi”, przyszedł czas na życzenia.

Pierwsze, jakie przekazał ks. abp Wiktor Skworc, były z Watykanu: „Ojciec Święty Franciszek udziela apostołskiego błogosławieństwa ks. abp. Damianowi z okazji 60. rocznicy święceń kapłańskich, obejmując nim także drogę mu osoby” – odczytał metropolita katowicki.

Jako drugi w imieniu wiernych całej Archidiecezji zabrał głos prof. Julian Gembalski. Swoją wypowiedź rozpoczął od podziękowania: „Księżę Arcybiskupie, ta 60-letnia droga kapłańska to była droga, na której ks. Arcybiskup najpierw stawał Chrystusa. To była droga [...] dla nas, dla Kościoła lokalnego, [...] droga, która była wielkim świadectwem dla wiernych całej Archidiecezji. [...] Na tej drodze za Chrystusem [...] stał człowiek, nad którym ks. Arcybiskup zawsze się pochylał. Byliśmy uczeni tej drogi w różny sposób: poprzez otwieranie się na Boga i służbę człowiekowi. [...] To był dla nas wielki przykład. Za to świadectwo chcemy dziękować, bo to świadectwo budowało nasz lokalny Kościół”. Prof. Gembalski podkreślił otwarcie się abpa Damiana nie tylko na człowieka potrzebującego czy ludzi, którzy poszukiwali Boga, ale także na braci ewangelików. Po tych słowach wdzięczności zostały wypowiedziane życzenia: „[...] by Chrystus nadal był tym głównym przewodnikiem ks. Arcybiskupa” oraz zapewnienie o nieustannej modlitwie w intencji Jubilata.

Ks. abp dr Damian Zimoń, wyprzedzając o krok przedstawicieli zgromadzonych w katowickiej katedrze wiernych, przemówił, kierując swoją wdzięczność za modlitwę i obecność najpierw w stronę metropolity katowickiego, sióstr zakonnych, świeckich, następnie w stronę obecnych licznie i koncelebrujących wraz z nim mszę świętą kapłanów. Jubilat wspominał: „[...] prawie wszystkich Was tutaj [...] święciłem”, następnie prosił ich: „[...] módlcie się za swego biskupa, który was wyswięcił, żeby [...] mógł oglądać kiedyś Pana Boga twarzą w twarz”. Ks. abp Damian Zimoń podsumowując kończąca się mszę świętą, na koniec jeszcze dodał: „Taka myśl mi przychodzi, żeby Kościół nasz był coraz bardziej rodziną, a rodzina Kościołem”.

Podążając za tą myślą, Jubilat po mszy świętej wyszedł do zgromadzonych w katowickiej katedrze, aby przyjąć życzenia. Wśród nich znaleźli się przedstawiciele władz wojewódzkich, samorządowych i miejskich, reprezentanci środowisk naukowych i artystycznych, przedstawiciele ruchów i stowarzyszeń kościelnych, a także bliscy i znajomi.

Oprawę muzyczną uroczystości zapewnili profesorowie i uczniowie Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego oraz chór Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego w Katowicach. „Sto lat” zagrała Jubilatowi orkiestra dęta KWK „Staszic”.

Mam potrzebę opowiadania
– mówi o swojej twórczości
znany reżyser filmów animowanych

Malarstwo Zdzisława Kudły czyli film bez akcji

Zdzisław Kudła – 80-letni artysta reżyser, od ponad półwiecza związany z Bielskiem-Białą, od kilku lat intensywnie maluje. Ponad trzydzieści płócien jego autorstwa, które powstały w ciągu ostatnich siedmiu lat jest prezentowanych w Galerii Bielskiej BWA w Bielsku-Białej. To pierwsza, tak duża wystawa malarstwa artysty znanego dotąd głównie z twórczości filmowej – animacji dla dzieci i dorosłych.

Malarskie kompozycje Zdzisława Kudły to skomplikowane, pełne szczegółów układy, które opowiadają surrealistyczne historie, mimo że umiejscowione są najczęściej w realnych krajobrazach. Skojarzenia z narracją filmową są nieodłączne, a autor wręcz podkreśla tę cechę swoich prac.

– Można się bawić ruchem, kolorami, ale to jest film bez akcji. Mam potrzebę opowiadania. Jestem tym skażony. W malarstwie więc teraz opowiadam... i to z premedytacją. Robię to ponieważ uważam, że jeśli w obrazie jest treść, to zatrzymam więcej widzów, niż jak bym np. wykonał jakąś formę abstrakcyjną... – czytamy wypowiedź artysty w katalogu do wystawy.

Bielszczanie oglądający obrazy Zdzisława Kudły mogą rozpoznać na nich m.in. rodzinne miasto; plac Bolesława Chrobrego, mury pod Zamkiem Sułkowskich, Kamienicę pod Żabami. Inspiracje artysty to nie tylko teraźniejszość, ale i przeszłość – dzieciństwo w rodzinnej podkarpackiej wsi Wesoła i dzika przyroda. Na obrazach pojawiają się łąny zbóż, lasy, bezkresne niebo, którego nie zasłania industrialna zabudowa. Ale w obrazach Zdzisława Kudły jest także wiele rozpoznawalnych cytatów z miej-

skiego krajobrazu Krakowa, w którym kształcił się i spędził młodość.

Feeria czystych barw, których autor używa nie oznacza, że sprawy, o których opowiada są banalne.

– Dążenie człowieka do sukcesu, bez skrupułów i jakichkolwiek zahamowań, zachłyśnięcie się możliwościami współczesnej cywilizacji, pogarda dla praw przyrody i praw boskich, bezrozumna chęć rządząca poczynaniami ludzi – wyrażenie tych prawd słownie jest mało oryginalne. Natomiast wyrażenie ich przez obraz, zainscenizowane scenki, poprzez symbol – jest pełniejsze i ciekawsze w odbiorze, oddziałuje na widza mocniej i głębiej. Na szczęście to nie jedyne przesłanie artysty, nie jest on tylko krytykantem współczesności. Stwierdza z całą mocą swego długiego życiowego doświadczenia, że istnieją sprawy ważne, o nieprzemijającej wartości: miłość, rodzina, muzyka, sztuka, nauka – mówi Agata Smalcerz, dyrektor Galerii Bielskiej BWA, kuratorka wystawy.

O pułapkach, które zastawia świat na jednostkę, artysta opowiada w swoich filmach dla widzów dorosłych. Ich bohaterowie zmagają się z samotnością, niesprawiedliwością; filmowe obrazy Zdzisława Kudły pokazują również bezmyślne niszczenie przyrody, a w latach 70. XX wieku, gdy powstawały, był to w polskiej sztuce filmowej temat prekursorski.

Wystawie malarstwa w Galerii Bielskiej BWA towarzyszy prezentacja wybranych filmów artysty, m.in. „Bruk”, „Impas”, „Bez powrotu Panie Z.” oraz inne filmy animowane stworzone dla dorosłego widza.

Zdzisław Kudła – reżyser, scenarzysta i scenograf filmów animowanych, malarz – urodził się 6 lipca 1937 roku w Wesołej na Podkarpaciu. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. W 1963 roku po uzyskaniu dyplomu z malarstwa, rozpoczął pracę w Studiu Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej. Zrealizował 26 filmów animowanych dla dorosłych i dla dzieci; w wielu innych był współautorem opracowania plastycznego lub współscenarzystą. Artysta jest laureatem wielu nagród na festiwalach filmowych w kraju i za granicą za scenariusz, reżyserię, animację czy też opracowanie plastyczne filmów, m.in. indywidualne nagrody za „Porwanie w Tiutiurlistanie” (1986). W 2009 roku wspólnie z Andrzejem Orzechowskim wyreżyserował film „Gwiazda Kopernika”, nagrodzony na festiwalach filmowych w Erewaniu (Armenia, 2010), oraz Łodzi i Teheranie (Iran, 2011).

Zdzisław Kudła był wieloletnim dyrektorem Studia Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej (1993–2010) i prezesem bielskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków oraz prezesem oddziału Stowarzyszenia Filmowców Polskich w Bielsku-Białej (1971–1975). Oprócz filmów dla dzieci (wśród których było także kilka odcinków serialu „Bolek i Lolek”) realizował progresywne w formie i treści filmy dla dorosłych, jak „Syzyf” (1970), „Bruk” (1971), „Szum lasu” (1972), „Kwiat” (1973), „Impas” (1975), „Kat” (1977), „Karaluch. Blatta Orientalis” (1987, z Franciszkiem Pyterem) czy „... ergo sum” (2004, z Andrzejem Orzechowskim).

Zdzisław Kudła otrzymał nagrody: Ministra Kultury i Sztuki, Stowarzyszenia Filmowców Polskich za całokształt osiągnięć artystycznych (2011), Zarządu Okręgu ZPAP w Bielsku-Białej za całokształt twórczości, Prezydenta Miasta Bielska-Białej w dziedzinie kultury i sztuki „Ikar” za całokształt twórczości (2016); w 2017 roku uhonorowany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Wystawa malarstwa Zdzisława Kudły w Galerii Bielskiej BWA będzie czynna do 28 stycznia br.

Ekspozycji towarzyszy bogato ilustrowany katalog, w którym o twórczości Zdzisława Kudły piszą: Agata Smalcerz – historyk sztuki, dyrektor Galerii Bielskiej BWA; Andrzej Orzechowski – reżyser, dyrektor Studia Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej; Patryk Oczko – historyk sztuki. W katalogu zamieszczono także wywiad ze Zdzisławem Kudłą autorstwa Katarzyny Kucybały, który ukazał się w magazynie samorządowym „W Bielsku-Białej” (wyd. specjalne, kwiecień 2017).

Achim dziadzyga

ALOJZY LYSKO

Fabryka kryła się w bagnistym lesie, daleko od ludzkich oczów. Wtóż z obcych nic a nic by o nią nie wiedział, jakby nie buczki, kiere się stamtąd wydobywały. No i ta strzylanina. Las był gystawy, odludny, a pomimo to do okolicznych sadyb dolatywały całe raje ostrych szusów. Jak się jaki cudzy w tych stonach znod, z ciekawości, a może i ze strachu wyblyszczol oczy i pytol, co tyż takigo roz za razem w lesie pierie. Miejscowi mu to przeważnie tak enklerowali:

– Nic takigo! Różne materyje próbujom. Niy ma się czego boć...

Ale, jak wele połednia powietrzem zaczęła targać ciyżko kanonada, że w oknach aż szyby szczyrkały, tyn cudzy richtig miał pełno strachu w łoczach.

– Ady się niy bójcie! Teraz próbujom dynamity dlo grubów!

Tak się ludzie z okolo fabryki nauczyli obcym godać. Od do-wywn downa ta strzylania jim nic niy wadziła. Byli do niej nabadani, bo mało wiela od sto lot ludzi tak nónkała. Godzili się z tym, jakby to musiało tak być.

Ludzie byli może nabadani, ale Achim – okaliczony wojnom borok, niy poradził na to strzylani nabadac. Była to dlo niego okropoczno udrynka. Bo skiz niy niy miał spanio.

Od lot robił na noc, tóż rano po szychcie chciol mieć trocha spokoju, żeby się pora godzin frajnie przespać. Popołedniu czekała go bowiyom drugo robota. Szewcowol, a od piątku ku niedzieli przyrobiol jako golac.

Ogromnie zowiścił innym nocnym trzymiylom, kierzy poradzili dopolednia bez szterowania spać. On za nic we świcie niy poradził – mało! – fest się podczas tyj fabrycznej kanonady tropił. Zatykol uszy skórczanymi klapkami, przykrywol się zogówkami, zasłaniol okna dekom, żeby to dudniyni jako stłumić. Na niywiela się to zdaol! Jak ino zaczęli bić – budził się. Ale jak się budził?! Gynał tak, jak w tych italiańskich górach bez wojna, kiey zaczęły grzmieć amerykański kanony.

Wyskakiwol z łózka i kajś na ślepo chciol lecieć. Przyklejała się do niego wtynczos ino jedna myśl: gibko się skryć do jakiej głymbokij dziury. Zanim się spamiyntol, że przeca to niy front, że już jest w doma, jest bezpieczny – trwało to dobro chwila. Po niy dopiyo siadol na kancie łózka, blady, czasym zlony potym. Ciyżko dychol. Czasym z tego zwylynkano plugawie przeklinol: – Jeronie, pieronie! Kiey mie ta wojna przestanie drynaczyć?

*

W tych italiańskich górach znod się na poczontku 1944 roku. Oni, same młodzioki, po dwadzieścia lot, zaroz po przysiyndze w hannowerskich koszarach, pomaszzyrowali na banhof do wojskowego cuga. Na drugi dziyń pod wieczór byli już w Rzymie. Wysłali stamtąd do dom postkarty z krótkimi pozdrowiyniami, kaj to niy som i co niy ogłondajom, pojedli dobrze w przydworcowym „soldatenhanzie” i żeby się nazywało, że w mieście jest dużo niymieckiego wojska, przemaszyrowali bez ulice. Nad ranym znodli się w Ostii, w jakichś starożytnych ruinach. Jak się na dobre zećmiło, zapakowali jich do ciyżarówek. Tak się znodli w Cassino. Piykne miasto, ze słynnym klasztorem benedyktyńskim na wysokij górze! Nim się jeszcze niy rozwidniło, na niywielkim wzgórczu w cyprysach i piniach rozbili celty. Niycały tydziyń tam biwakowali, jakby czegoś oczekujac. Bez tyn czos naleciało dużo mokrego śniegu, bo to styczyn był, zrobiło się mrožno. Fest tam wymarzli. Na szczyści niydługo.

Jednego dnia doszła jich wiadomość, że cołkiym blisko, bo pod miastym Anzio, Amerykon zrobiol ofynzywa od morza. Zaczon się ostrzał z okryntów, bombardowani z wyirchu. Wszystko, co się na ziymy ruszało było siotane. Mo się rozumieć pokoju tyż niy miały niymiecki sztelongi. Wojoki doprowdy niy wiedziały kaj i jak się kryć, żeby przetrwać.

Dostali rozkaz, żeby czym pryndzyj wyspinać się na wzgórze Massa Constanza i tam zluzować zdziiesiątkowany batalion spadochroniarzy. Wyruszyli drab z tego Cassino. W niyprzeniknionym cimoku, w pośpiechu dropali się z municjom i wojskowym klamorstwym ku wyirchu. Umochani, utytlani w śniegowej bryji, nad ranym dotarli na miejsce.

Faktycznie niy było tam kogo luzować, bo prawie cały batalion był już wybity. Na niywielkim płaskowyzu wszyndy leża-

ło pełno trupów, całych, porozrywanych na strzypy, zmielonych ze ziemiom. Parowała jeszcze krew, kiero ciekła ku dółowi potokami. Młodym wojokom, jak to ujrzeni aż dech zarpało.

Obsadzili sztelongi. Niy poradziłi jich pogłymbić i lepij umocnić, bo grunt roz, że był skalisty, a dwa – zymia zmarzniynto. Niy mieli innej rady – zmuszyni byli zadekować sie abo w srodku, abo kajś blisko pasterskiej szopy, solidnej, wymurowanej z wielkich kamiyni. Miała ona glymboki pywnice, kaj sie ulokowało dowództwo i radiostacja. Tam też przyrzychtowali miejsce dlo rannych. Wyżyj było pomieszczyni o rubych ścianach, w kierych straszly poszarpane od pocisków okiynka. Szopa była dobrom pozycjom obrony, ale ino dlo piechoty. Dlo ciężkij atelerii niy stanowiła żodnej zapory. I miała jeszcze jedyn feler. Bez szkła było jom dobrze widać ze somsiednich wzgórz, a potym sie tyż okozalo, że i z morza.

Jedyn dziyn mieli tam jako taki pokój. W nocy jejich funkier, co obsługiwał radiostacjo, nadół do dowództwa, że batalion jest już na miejscu. I to był strasliwy meldung. Wto mógł przypuszczacz, że wiadomość przechyciom amerykański telegrafisty na morzu. Namierzyli jich! Nad ranym z jich krążowników zaczon sie niymożebny ostrzał z ciężkich kanonów. Myśleli, że nastół koniec świata. Co dwie minuty nadlatywały ogromne geszosy, kiere orały skalisty grunt miejsce w miejsce. Wojoki na tym niywielkim platto niy mieli żodnej ochrony. Wszyscy szukali ratunku w murach pastyrskij szopy. W ciasnych chlywach gromadziło sie jich coraz wyncyj, coraz wyncyj było zabitych i rannych, coraz wyncyj krwi i poniywyrażających sie bele kaj ludzkich szczątków. Pod wieczór z jejich batalionu zostoł już może ino pluton.

On, Joachim Kubulus, synek z Górnego Ślaska, w tym piekle, jaki sie tam rozgorzało, stracił noga. I wtynczos sie tak zwylynkoł, że mu tyn strach siedziół do końca życia. No, dobrze, że takigo zekrwawionego i ogupiałego gibko znod sanitar – morcysty chop – kiery go niy ino obandażował, ale wzion na pleca i zadar go do glymbokij pywnicy. Leżało tam już, jedyn przy drugim, może sto strasnie pokaliczonych wojoków. Darcio, jęku, płaczu było tam bez wymowy. Bo to była sama młodź, wojny jeszcze niy widziała.

Jak sie zećmiło, mondry lojtnant wydoł rozkaz opuszczynio wzgórz. Ranni, kierzys jeszcze mogli sie poruszać, byli zabiyrani, fest ranni, jak Kubulus musieli zostać. Nad ranym na Massa Constanza wdorpały sie Amerykony. Jak oboczyli, co tam spochali – skamiyniały jim serca. Jedyn krwawy smyntorz! Co jim pozostalo? Rannych wzyni ze sobom, a zabitych posnosili na kupy i podpolili, bo niy było jich kaj chować.

Kubulus widziół, co robiły alianty z jego kamratami. Długo niy umiół sie od tego obrozka uwolnić. Tam, na tyj górze Pon Bóg doł, że trefił na dobrego człowieka, kiery udoł zabitego i jak wlażył na góra Amerykony – poddoł sie. To on podjon sie snoszynio rannego Kubulusa z tej spadzistej góry. Godzinami to trwało, zanim dostali sie na prosto droga. No, ale tyn dobry człowiek dokonół tego – sniós go cało.

Po długich mecyjach przewiozli rannego Achima pod Neapol, do jynieckiego obozu w Aversy, kaj go w lazarecie lyczyl. I tak uratował życia, choć jak se rozwożył swój los, to żyć mu sie wcale niy chciało. Miał dopiyo dwadzieścia lot, a był już kalikom. Niy wiedziół, co ze sobom począć.

*

Bez przerwy ściskoł w ręce cynowy krzyżyk, na kierym stało „O crux”. Ino w nim pokłodoł nadzieja, że mu odwróci karta życia. Bo chwilami wątpił. Niyemiecki niywolnik w tym obozie nic niy wortoł, tym bardzij tako kalika, jak on. Masa zbitego do kupy chopstwa, zawartego za koleczastym płotym, wegetowała na zymii. Bez żodnego dachu nad głowom, bez wody do mycio, bez żodnego ordnungu. Wylażyły z wojoków nojgorsze instynkta. Tóż jak kiery był w doma nauczony jakigo moresu, miał coś szkół, trocha Boga w sobie – było w nim jeszcze coś człowieka, szło takimu przegodać. Jednak we wynkszości były to prowdziwe soronie, hurma domorosłych prostoków, kierych koszary niymiecki niywielka nauczyły. Tyn obóz pokozoł, jakom zbiyranimom był Wehrmacht po Stalingra-



dzie i Łuku Kurskim. Na włoski front ciepiynte zostały dywizje złożone z Ukrainioków, Cygonów, Madziarów, Poloków, jakichś dziwacznych Francuzów, nawet Afrykanerów. Niymców w nich było niywielka.

Cało ta masa chłopstwa w tym lagrze chciała jeść i pić, potrzebowała cieplejszego odziynio, bo żyła pod gołym niebom, spała na gołej zymii, musiała sie myć, golić, kajś załatwiać. A tego brakowało. Niy dziwoła, że chłopstwo dziczało, jedyn na drugigo „bij–zabij” bele dlo siebie zdobyć kromka chleba, trocha wody do manierki, ciepło deka abo jaki mantel.

Nojgorzys mieli chorzy i kaliki. Zdrowi sie jim uważnie przyglondali, kiej ino poronczom. Wtynczos drab ku nim, żeby wyszarpać po umrzyku co lepszego.

Niywolników strasnie prześladowały tam muchy. Im wiosynne słońce było wyżyj, coraz wyncyj sie jich plongło w jynieckich latrynach. Niy było w nich żodnej czystości. Obganiłi sie od tych muchów bez ustanku, bo te psiekrwie chciały żerować ino na jejich słonym pocie i bagnie, co sie jim derech kleiło do ciała.

W dziyn obganiłi sie od muchów, a w nocy od szczurów, kierych sie tam roilo tysiące. Jak wojoki spały, dowaly sie jim do obgryzania palcy u nogów. Trzeja było permamynt wachować i sztyjc jich tłuc kijami.

W takim piekle przysziło jim ciyrpieć i czekać, aż Amerykon zrobi w lazarecie trocha porządku. Tóż Achim coraz mocnij ściskoł swój krzyżyk. Powtorzoł słowa, kiere mu przekożali dziadek, jak mu go wrynczali:

– Pamiyntej, synku, „w krzyżu ciyrpiyni, ale i w krzyżu zbawiyini”.

Czekoł tego zbawiyinio. Długo walczył o przeżyci som, bo znikond pomocy niy miół, bo wto chce se kamracić z kalikom. I roz brakło mu już siły woli, żeby sie ratować, żeby sie



beśwerować o woda i chlyb, bronić przed szczurami i muchami. Już mu sie w oczach bele co przedstawiało. Leżoł na gołej ziymy, jak Łazorz i coś bredził. Chwilami tracił świadomość. Jak jednym razem otwar oczy, doł pozór, że mu sie przypatruje taki jedyn.

– Acha! – pomyśłol – czeko, aże ziojna...

Byłol mu już wszystko jedno, co sie bydzie z nim dalej dziołol. Byłol mu już wszystko jedno, co sie bydzie z nim dalej dziołol. Byłol mu już wszystko jedno, co sie bydzie z nim dalej dziołol. Byłol mu już wszystko jedno, co sie bydzie z nim dalej dziołol.

– Przyjdź śmierci! Przyjdź, bo już niy poradza patrzeć na tyn świat – wyszeptol.

Nogle tyn, co tak na niego filowol, zbliżył sie, dźwignon mu gowa i pedziol:

– Mosh, synek... Napij sie trocha...

– Wtoś ty? – wymamrotol Achim.

– Śnios zech cie na puklu z Constanzy... Co, niy wiysz?

Jego wybawicielym po roz drugi okozol sie Johan Sekulla, starszy chop od Rybnika. Zawrócił go z drogi ku śmierci, a bez nostympny czos obchodzil go troskliwie. Som se od gymby odymowol, żeby ino krajana wytargać z pazurów śmiertki.

– Chimku, ty niy mozesz umrzeć! – powtorzol mu. – Mamulka na ciebie czekajom.

*

W czyrwcu, kiedy alianty przelomaly już niemiecko zapora pod Monte Cassino i wleżli do Rzymu, do jynieckiego obozu w Aversy przyjechała polsko misjo. Oficyry od generała Andersa zaczi werbować niemieckich wojoków ze Śląska. Dużo sie jich zgłoszalo do polskiego wojska, bo żodyn niy chciol ginać w przegranym wojsku. Zgłosil sie tyż Johan Sekulla, ale postawil warunek: – Ja, przywstana do wos, ale z kolegom?

Jak oficyry ujrzaly tego „kolegi” bez nogi, słyszeć niy chciaty ani o jednym, ani o drugim.

– Niy gordzcie nami, panowie oficyry. Wojok, jak mo bojowe serce, to nawet jeśli niy mo nogi, może być przydajny. Wto wom bydzie uslugiwoł w kuchni polowej? Wto wojoków bydzie strzyg i golił? Wto bydzie wachowol? Zdrowy? Zdrowi na linijo! Kaliki – na tyły! Tak jest na wojnie!

Oficyry uśmichnyly sie. Wziyni obu. Chneda ściepli niemiecki uniformy, a oblokli polski. Od tej chwili jedyn nazywoł sie Jan Wiński, a drugi Joachim Jakubowski.

Wiński, borok, niy zwiekowol długo. Jako wojok 3. dywizji karpackij, kierom dowodził generał Duch zginon 15 lipca pod Ankonom. Dlo Achima była to okropno boleść. Stracił wiernego kamrata, kiery, jak ino poradził, tak mu pomogol. No, ale godo sie trudno – darmo taki los wojoka. Na wojnie niy z takimi boleściami trzeja sie pogodzić.

Życie toczylo sie dalej, dalej trwała służba. W polskim wojsku Achimowi sprawili angielsko proteza, na kierej gibko nauczył sie łązić. Krokol se w nij normalnie. Wto niy wiedziol, uznawol, że jest zdrowy.

Jeszcze za zycio Johana skierowali go do służby przy kwaterymistrzach. Starol sie tam być potrzebnym, by niy jeść wojskowego chleba za darmo. Mioł pod sobom magazyn roztomajtych czyscidel, przeważnie mydła, proszków do pranio, grzebiyni, zyletek, proszków na grzybica, na wszy... W drugim zaś składzie trzymol zdarte wojskowe strzewiki, do naprawy.

Rano, co mioł z rozkazu wydać – wydol, a reszta godzin służby przeczaczol na szewcowani. Znoł sie trocha ma tyn fachu, bo zaroz po szkole powszechnej uczył sie szewiectwa u majstra Długonia w Bieroniu. Tej reparatury mioł na podziw dużo. Oficyr, kierymu podlegol porzond kazowol mu szewcować według jego dziwnej i chytrej metody.

Wojna sie pomału kończyła, tóż kożdy wojok kombinowol, jak se przyszle zyci ułożyć. A w tym kombinowaniu żodyn Polokom niy poradzil dorównać. Nauczyly sie tego od Arabów, jak byli w Iranie i Iraku. Italioki aże kiwali głowami ze zdziwinyo. Jak kiery mioł dziołcha na wydaju, zagadowol zaradnymu Polokowi, żeby se jego cera wzion. Polski wojoki były zresztom niny ino zaradne, ale do porzondku obleczone, czyste i wesole – radzi wypili i pograndzili. Kaj sie znody Poloki tam był zawdy śpiyw i zabawa. Niy dziwota, że sie dużo Poloków pożynilo z piyknymi Włoszkami. Niy ino pożynilo, bo – jak sie już pedziało – kożdy chciol z tej wojny coś mieć, coś pinyndzy przysporzyć.

Tóż kombinowali wszyscy, wiela sie dałol.

Achim był pod rozkazami. Musiol robić, co mu oficyry zlecily. Kozali mu rozpruwać stare charboły wojskowe, to rozpruwoł. Kozali mu do kromfleków i kapów tych charbołów zaszywać „kasztony”, to niy pytol skond i po co – ino to robił. Niy ino on, bo takich szwieców w polskim wojsku namnożylo sie wtynczos sporo.

Te „kasztony” to były złocioki wortne jedyn funt. Wybijane były z podobiznom angielskiego króla Jorka, kiery siedziol na koniu, niby na tym kasztonie. Ponoś kożdo tako moneta miała osiy gramów rajnego złota, tóż co sie dziwać – dlo kożdego wojoka był to łakomy konsek.

Achim im wyncyj szewcowol, tym sie wyncyj edukowol. Doł pozór, że oficyry – potym i szeregowo wojoki – zaczyly przynosić mu coroz to inne piniondze – złocioki z królowom Wiktoriom, dziesiyńcio – i dwudziestodolarówki. Wszystko to szło do wojskowych strzewików. Jakby był nauczony wichlyrstwa z młodych lot, toby do tych strzewików dawol zwykłe zielazo, a złocioki broł do swej kapsy, ale onymu, Ślązokowi wszyscy wierzyli, bo był uczciwy. Cis złoto pod podeszwy, wiela wlażlo. Doszlo do tego, że woga strzewika po „reparaturze” malowiela była dwa razy wyinkszo.

Czas uplywoł, złota ubywało, a wojoków w Rimini, kaj kwateryowali tyż, bo szif za szifym odplywoł z wojskiym do Englandu. Szewcowani sie skończylo, tóż Achim chycil drugi fach, żeby niy jeść wojskowego chleba podarymnie. Wzion sie za strzyżyni i golyni. To wiymy, kudły rosły wojokom, czy tego chcieli, czy niy. Cywilne fryzjerzy w Rimini niy poradzily tela chłopstwa obslugić, tóż Achim jich wspomogol. Grajka do strzyżynio chycil, jak ino sie dostol do wojskowego magazynu. Były tam dobrej marki maszynki, kierymi musiol z rozkazu strzyć młode wojsko. No i wtynczos, jak jich strzyg na glaca, chycil tyn knif.

Przy robocie za wojskowego golaca poznał Walka Pilorza z Paprocon. Skolegował się z nim, trzymali się razem, wzajemnie się pomagali.

Na jesień 1945 roku pedzieli Włochom: – Andiamo! i mozym wypłynęli do Liverpoolu. W obozie pod namiotami, o chłodzie i głodzie, przecierpieli jedna zima. Bez tyn czos mieli dość sposobności, żeby pomedykować, co ze sobom zrobić. Walka ciongo we świat, godo! o Kanadzie – onymu włośnie nny usmięchała się poniywyrka. Boł sie, że przy cudzych ludziach bydzie potręcany, nikaj nny bydom chcieli kaliki ku robocie. A z czegoś przeca musi żyć.

– Jo wracom do dom – ofyn pedzioł kamratowi.

No i choć se przoli, w tym Liverpoolu sie rozstali. Achima ciepli do Szkocji, a Walek miał chneda odpłynonć za ocean.

*

We świecie sie trocha uspokoiło. O wojnie z „Japany” przestało sie godać, a dowództwo coroz czynsiej zaczęło napomykać, żeby przechodzić do cywila i chytać się kaj roboty. Abo brać sie do Polski. Ale...

– Pamiyntejcie, Polska jest pod Rusym! – przestrzegało dowództwo.

Niy medykował wila, pedzioł, że wraco do dom, bo matka mu pisali, że inni już z Englyji powrócili i majom od władzy pokój. Uwierzył matce.

W czyrwcu 1946 roku popłynon do Gdyni. Miał ze sobom wojskowy miech z bogatym ekwipaziyem, jakim obdzielilo go dowództwo: dwa ancugi, dwie pory strzewików, bielizna, koszule, bindry, chut, wojskowo bluza, coś wypić, zjeść, pomaszkieć. Dzierzył tyn geszynk mocno, choć sie przy nim festa tropił, bo przeca nny miał nogi, ino sztafno proteza.

Szczyśliwie dopłynęli, choć boli sie ruskich łodzi podwodnych, bo ponoś po Bałtyku jeszcze grasowały. Ale englandzki krążowniki jich konwojowały, tóż mieli Rusy respekt.

Na drugi dziyń w połednie wyładowali jich na gdyński nadbrzeże.

– Witej w kraju! – pedzioł se w duchu. – Aże sie lżyj dycho!

Siod w porcie na bagażu i czekał aże sie trocha rozluźni. Jednym razem ze zadku wtoś go poklepoł po ramiu.

– Achim, co sie tak gapisz, to nny Kanada! Jadymy do dom. Na Śląsk!

Był to Walek. Ogromnie sie ucieszyli, że zaś som razem. Kamrat pomóg mu dostać sie do biura wojskowego, kaj mieli załatwić odpowiedni papióry. Ale wto sie spodziywoł, że bydom na te papióry czekać dwa dni. Bo wojokom nny ino coś wypisywali, ale jich rewidowali, przesłuchiwali i czekali, żeby jim coś podrazić. Szła ofyn godka, żeby tym urzyndasom w polskich mundurach coś dać w łapa, bo wtynczos zaroz inaczej godajom. Achim przyrchtowol se angielski goldlo, bo miał taki dwa, Walek szal, bo w geszynku miał jich pora dlo swej libsty. Chytló! Przy rewizji nic sie wyncyj z worków nny straciło.

Z papiórami, z polskimi sto złotymi znodli sie w cugu, kieiry bez Poznań zawiyżć jich miał do Katowic. Jechali cało noc i bez ustanku wachowali swoich bagaży, bo nijedyn wojok, co w tym cugu społ – był okradziony. Za Poznaniym i Walka chcieli obrabować, ale Walek Pilorz nny był bele wto – to chopisko fest, siongorz. Chycił rabczyka za gorczek i zawar go w klozecie, klamka urwoł i wyciepoł bez okno. Ze złodziejym mieli już pokój aże do Katowic.

W Katowicach poczuli sie, jak w doma. Przyglondali sie ludziom, czy nny trefiom na jako znajomo gymba. Trefili. Walek poznał jednego banioka z Tychów, kiery jim pedzioł, jak ku Tychom jadom cugi. Wsiedli i koło połednia znodli sie na miejscu. Achim wachowol bagaży, a Walek piechty udoł sie na swoja ojczyzna, żeby załatwić furmanka. Za jakiś czos przyjechała. Po styrech latach wojnynej tułaczkii, szczyśliwi znodli sie pod rodzinnymi strzechami.

Achim z krzyżyczkym w gorści...

*

Przed wojnom, jak był kołnusym, niywila wiedzioł o życiu. Żyli se z mamom na kumorzec, biydy nny mieli, bo mama ro-

bili we fabryce. Z geltaków sie opłocali – za czynsz, elektryka, szarwark – i zawdy jeszcze coś grosza zostało na kust i oblycze. Było jich stykać jeść miyso na niedziela, wyjechać kas na pać, na letnisko do Istebnego. Dużo tyż wyjyżdżali ku hutom kupić coś lepszego. Zgrzeszyliby, jakby pedzieli, że przed wojnom było jim źle. Wto miał robota – wiodło mu sie dobrze.

Karta sie odwróciła, jak przyszła wojna. Prawie skończył szkoła powszechno, mama posłali go do majstra Długonia uczyć sie szewiectwa. Tela co chycił szydło i dratew, wezwali go na magistrat i wysłali na landowa do bauera pod Glatz. Piykne stroiny – nny idzie pedzić – cöz kiej robota, kierej nny był nauczony – ohydno. W chlywie od rana do wieczora: gnoje ciepać, krowy myć, konie pucować... Co dużo godać – parobkiym tam był!

Dwa lata tak wyrobiol. Już mu sie brzydło, niyroz medykowol, jak sie wydostać z tego bauerstwa. Nny podwożył sie jednak uciekać, bo wtynczos pobłażanio nny było – lager. Jednego dnia przyszła mu myśl, żeby iść do tamtejszego byrgermajstra z prósbom, że chce sie uczyć za szlosera. Nny spodziywoł sie od niego takich słów:

– Niyemce potrzebujom fachmanów, a nny parobków!

Dostoł zgoda i tak sie od chlywa i gnoja uwolnił. Od nowe-go roku szkolnego zaczon sie uczyć w Breslau, we werku u jednego majstra. Wyrobiali tam różne drobne tajle do fligrów, na kiere mieli ogromny zbyt. Majster – dobry człek – zawdy mu powtorzoł:

– Podwiyl u mie bydziesz – wojsko cie minie!

Była to psincoprowda, bo na jesień 1943 roku wziyni go do tej hannowerskiej kaserny. Wziyni go i zrobili z niego kaliki. Wojna sie skończyła, z munduru sie wyzwolił, szczyśliwie powrócił do dom po styrech latach i co? Ino pół chopa z niego było, co gorsza – zostoł som, bo mama pominyli. Zatruli sie w tej fabryce jakimiś smrodami i dostali świńcucha. A świńcuch? To była po wojnie pewno śmierć.

Umarli, ale przynojmnij zostawili mu izba na kumorzec i lepsze oko u majstrów we fabryce. Te kierownicy tam wiedzieli, że jest dziadygom wojnyym, tóż mu dali robota za wachtyrza. Ale on sie jergnon. Pedzioł jim, że po matce należy mu sie lepszo robota, w kierej bydzie mógł wyncyj zarobić.

– Posprawiać se chca, opłacić sie musza i coś z życia jeszcze mieć – tak jim pedzioł.

Co mieli poczonć z upartym Achimym Kubulusym? Dali go „na dynamit”

To tam była robota na sześć godzin i trzy zmiany: dopoledniowo, popoledniowo i nocno, ale ino do północy. Robota niyciyżko, dobrze płatno, z obiadyem każdy dziyń. Cöz kiej diobelsko! Ani mrugnonć nny szło, co tak trzeja było pozorować na zegary w takim jednym aparacie. Aże płaczki ciytkły. Bo jak sie ino oko spuściło z aparatu – mogło sie już witać w niebie ze Świyntym Piotrym.

Na każdej szychcie robota zaczynała sie niywinnie. Do aparatu wlywało sie odmierzone porcje zojry azotowej i siarkowej. Do tej miyszaniyny dolywało sie dokładnie odmierzono porcje ciepłej gliceryny i to sie pospołu jakiś czos miyszało. W ciepłe miyszało! Na zygarze skazówka musiała pokazować czyrowno kryska, bo jakby – nny dzie Bóg – miyszanka, kiero sie odtond nazywała nitroglicerynom oziombła, robił sie z nij gystawy fet. Straśnie czuły na wstrząs, na szlag, a nawet na dołkniyni! Jakby to oddało, toby w luft poszło 250 litrów tej mikstury. Wtynczos – mo sie wiedzieć – z budy, kaj był zainstalowany tyn aparat i z tych dwóch chopów, co tam przy tym aparacie robilo – nny zostołby nawet tlusty flek.

Dobrze rozmiyszano i ciepło nitrogliceryna była przewożono w kadziach na kółkach do magazynu. No i w tym magazynie robota dostol Achim. Przyjmowol wyprodukowano nitrogliceryna, a potym wydawol jom na wydział dynamitu. A tam w inakszych aparatach, podobnych do miyszadeł w piekarni, do ciepłej nitrogliceryny wssypywało sie saletra, mączka drzewno, bawelna kolodyjno i trocha trotylu. Wyrobiąło sie z tego taki ciasto, potym wybiyrało sie go rękami z tych miyszadeł, wkładało do gniotownika – takij maszynki, jak do melcio miysa. Wyciskała on dynamit we formie wołków. To był już gotowy dynamit. Starczyło go ino popakować na 50, 100, 150-gramowe porcje i wysłać do kopalni.



Zdjęcia: zbiory prywatne Tomasza Bienka



W każdym miejscu obu wydziałów robota była zdradliwo i odbywała się w pobudynkach obtoczonych wysokimi wałami. Niy było roku, żeby abo w jednym abo drugim niy szpryngło. Wto niy przeżył – miał już świynty spokój. Zrobili mu pogrzyb i ferrtig. Ale ci, co przeżyli, pokoju niy mieli długo.

Z Katowic przyjyżdżały inspektory z UB-e i każdymu trzepali galoty. Chcieli się wywiedzieć, czy wtoś sabotażu niy zrobił, bo fabryka wyrobiła tyż materyje dlo wojska. Zadowali różne podchwytliwe pytania, że jak kiery był dupiaty i niy pozorował dobrze przy tym spowiadaniu, a niy dej Bóg, bulknon coś niy tak, abo za duzo bulknón – wtynczos litości niy było. Musiał za ta swoja „rozprowność” odcyirpieć w hereszcie. A jak niy on, to inni.

Nojbardziej tym inspektorom rozchodziło się, skąd radio „Wolna Europa” zaroz na drugi dziyń o wybuchu wiy, wto to nada-je, kaj jest tyn śpieg?

Achim przerobił szczyśliwie w tym magazynie może trzy lata. Bez tyn czos ożynił się i jak to żyniokowi – niy czekać wiewła – pokazała się nadzieja na potomka. Radował się tymu. Rod był tyż robocie, bo sie zarobiło i było za co utrzymać rodzina.

O tej jednej nodze kultykoł miyndzy tymi kadziami z nitroglicerynom. Jedne kadzie przyjmował, drugi wydawał i ani na chwila niy myślał, że urobio z piekielnymi mocami. Przybadoł do tej roboty, o strachu niy myślał. Ino ogromnie go łeb pobolowoł, a oczy miał przekrwione, choćby jak angor. Rzodko kiedy, jak naszeł go zdrowy pomyślunek, myślał o swoim losie, o tym, co przeżył na wojnie, o rodzinie i dziecku w gan- gu. Wtynczos podnosił oczy ku wyrchu i prosił w myślach Pana Boga, żeby miał go we swej opiece. Fiyrował się dobrze w robocie, majster go chwolił, że mo porzondek kole siebie i gowa na karku.

Od jakigoś czasu niy było na dynamicie żodnego niyszczycio. Ta pomyślność zbiegła się z narodzinami jego dziecka. Poszeł do majstra z prośbom o jedyn dziyń urlopu, na sobota przed chrzcinami.

– Wybocz Achim, niy dostaniesz urlopu, bo z planami jest strzyng – zbył go majster.

Co miał robić? Zaczon szukać innego sposobu. Zgodoł się z kolegom z nocnej zmiany, żeby go w sobota na rannej zmianie zastompil. Niy było to nic takigo tako zamiana, bo niyroz robotniki tak se wzajem pomagali. Ale prawda prawdom – było to zakozane. Majster každyrazowo udawał, że nic o tej zamianie niy wiy.

Achim niy poszeł na rano do roboty, jak było ugodane. A wtynczos –jak na złość – stało się niyszczycio. Nitrogliceryna w magazynie szpryngła. Cało kađz poszeła w luft. Wszystko poszeło w luft! A chopa, co go zastypowoł, pora dni szukali po gojach w pobliskim lesie. Na strzympy go rozniosło! Do małej krzyneczki go pozbiyrali i zanióšli babie, żeby miała co pochować na smyntorzu.

Zrobiła się skuli tego wybuchu straszno wija. Zjechały się te inspektory, przesłuchom niy było końca. Jedni nawet po trzy razy byli wzywani. Mo sie rozumieć – wszystko po kolejy wyszeło na jaw: Achima bez zgody majstra zastąpił Jonek – Jonek był po nocnej zmianie umordowany, a przy dynamicie majom robić chopy wypoczynte i zdrowe, no i Achim był inwalidom, ponadto bez wojna służył w Wehrmachcie i u Andersa, a to było źle widziane, podejrzone.

Za duzo grzychów! Wtoś musiał ponieść kara. Majster bezmała rok smykoł się po sądach i na koniec dostał dwa lata heresztu. Achima zwolnili z roboty.

*

Ciyżki chwile przeżywoł. Zdało się, że o rozum przyjdzie. Tu chop postradół życi, tu ogdowiwała baba, dzieci osiyrocone, tu majster w hereszcie, on bez roboty, a tu mały bajtel w domu, kiery domogo się swego – niy poradził tego wszystkiego zdzierżyć. Coroz mocnij ścisokoł krzyżyczek w spotniałej dłoni i coroz głośniej wzywoł Ponbóczka:

– Jezusie Nazaryński, wydostoń mie z tej ciyżoby, bo se już niy wiy rady.

I przy tej ciyżobie dopiyro poznoł, z jakim dziolchom się ożynił. Jakby niy jego baba, Werka, może skończyłby kaj na goju.

Werka tyż robiła we fabryce, na łuskowni, kaj sie tropiły same baby. Miała maszyna – kobyła jom nazywali – na kierej całe osiy godzin tłókla alumowe koperytle, znaczy się łuski. Du-żo tam niy zarobiła, ale niy biadała – na chlyb i opłaty zawsze starczyło.

Bezrobotny Achim siedziół w doma, bawił małego Zigusia i warzył obiady. Synek móg wreszczeć, radiok móg grać na całej karpynter – nic mu to niy wadziło. Ze dwora do izby, z izby do pywnice, tam a nazod turnowoł o tej jednej nodze, aże mu sie gospocko dziwowała. Ale jak kole poednia zaczęły bić te fabryczne materyje, aże mu sie coś zaczynało robić. Zimny pot sie mu wylwoł na czoło, robił się bład jak krejda, z nerwów aże tyrpało nim, że mu wszystko leciało z rąk. W takich chwilach uciekoł do izby i chcioł włazić pod łózko, odzioć się czymś dicht, żeby ino niy słyseć tego piekielnego dudniynio. Lata mi-jały, a onymu sztyjc powracoł tyn jedyn dziyń, kiedy na Constan-ty praly w nich amerykański kanony. Fest boloł go tyż tyn ostatni wybuch, przy kierym jego kamrat stracił życi. Ciyżko to była dlo niego ta bezpoedniowo chwila. Jak jom przetrwoł – wracoł do normalności.

Od lot kumorowali u jednych starszych ludzi, z kierymi żyli jak jedna rodzina. Roz Achim zgodoł się z gospockim, że z wojny przywoź się klamory do strzyzynio, i że poradzi strzyc...

– Jak dobrze! – przerwoł mu uradowany gospodorz. – Po co mom łazić do rynku, jeśli golaca mom pod dachym.

Ostrzyg gospockiego roz, drugi i tak już zostało. A gospocki roz w tydniu, w sobota, chodził do kompli pograć w szkata i tam sie roz pokwolił, jakigo to mo lokatora. I tak Achim nabziyroł dobre dwudziestu – jeśli niy wiyncyj – kondmanów. Ko-żdy mu tam coś wyciepnon za to fryzjerski ciackani, tóż móg babie pedzieć, że niy próżniaczy w doma. Jak jego ślubno przyszeła ze szychty, to ji zawdy meldował, że na „chlyb, my- dło i powidło” już przyrobił.

Jednego razu wysznupoł z niemieckiego modyheftu roztoliczne frizury, tóż jak przyszeł jaki młodzioł, to sie go w błoznach pytoł:

– Jak cie mom strzyc? Z przodku „na glaca”, ze zadku „na nic”?

Karlusy różnie se wieszowali: – „Na bazanta”! (tako była wtynchos moda). „Na luśnik”! „Na sztychary”! Zróbcie mi „dauerwelle”!

Szkolorzy zaś pytol:

– Jak cie mama kozali ostrzyc?

– Pedzieli na glaca, ale jo niy chca na glaca – zostowcie mi pińcia.

Achim poradził dogodzić i dzieckom i karlusom i starzykom. Niy zawodziła go tyż angielsko maszynka. Kondmanów przybywało. Przyszeł czas, że było jich już ponad jego siły. Przeniywolono noga odkazywała. A krom tego boł sie, że wtoś go podo, kaj niy trzeja i bydzie musioł płacić domiar podatkowy. Babie sie to już tyż niy widziało, bo bywały dni, że strzyg na tyj przenywolonej nodze cały dziyń. W kuchni niy było sie kaj obrócić, co tela chopów siedziało, a każdy Werce coś dogadywoł. Czasym sztychoł gupie, czego strasnie niy ciyrpiała.

– Jakoś sie lichu starocie! Tyś jeszcze baba na ryku. Co, niy chcecie wyncyj dzieci?

Jednego razu Achimowej baby tak to fechtło, że twardo pedziała swymu chopu:

– Zrób coś z tym golarstwym, bo jak niy, to cie odyńda.

Ustuchoł żony. Zostawił se ino starzyków od szkata, ale i jim wymowił, że bydzie strzyg ino w piątek i sobota dopolednia.

– Niy opakujcie se... Dostołech robota za wachtryza przy fiacie – tak sie jim wytłumaczył.

Mioł dobro wymówka, bo w poblisku zaczęła sie budowa dużej fabryki włoskich autów. Słoczył tam papióry na nocnego stróża. Przyjny go i otdąd porządek jich rodzinnego życie cołkym sie odmiñił. Chneda tyż Werka urodziła drugigo synka – Jorgusia. Jednak roboty we fabryce niy pocięła. Dziecko dalej piastował ojciec, abo starszy syn – Ziguś. Wtynchos, po nocnym wachowaniu Achim społ, żeby być monter na popoledniu, kiej przychodzyły chopy z parukami, abo nazbiyrało sie charbołów na szewcowani, bo tyż sie czasym chytoł tego zajyncio.

*

Nojwyncyj kondmanów mioł w piątek popoledniu – same szkaciorze. Chcieli na sobotni szpile gryfnie wygladać. A wto to był? Przeważnie stare frontowce, podobne do Achima, co już niyjedno podzyli. Tóz se idzie przedstawić, wiela w tej Achimowej werkszteli było godki, jak sie tam fronty przetoczały, wiela niywiarygodnych opowieści sie tam snuło, czasym niydorzecznego przyrobiano, śmiesznych bujd, berów, klytów. Ale trzeja tyż dlo prowdy pedzieć, że jedne godki były prawdziwe i smutne, niyroz do płaczu, że sie człowiekowi serce krajało, jak sie tego słuchało.

Dużo godanio o wojnie mioł Zefel Pyrlik z Wydmuchowca. To był godacz nad godacze, wszyscy go radzi słuchali, aże gymby otwiyrali. Niywysoki chopek, bez rynki, z wielgom szramom na licu.

– Co dużo godać... – prawil – Jo był we Francyi. Ku końcu wojny maki – te gizdy, francuski partyzanty – tak sie zbestwiły, że nos obtoczyły pod jednym miastym, kaj było lotnisko. Żeby fligrów niy stracić, musieli my stamtąd wioć. Wylecieli my z kotła na styrech maszynach. Jak my byli we wyrchu, nasz fliger dostał i zaczon sie polić. Zrobił sie popłoch. I wtynchos sie okazało, że oficiry, te pieruchy, majom spadochrony, a my szaraki – psinco. Trzeja bydzie ginąć – pomysłołech se. Ale widza, że mój lojtnant rychtuje sie do wyskoku, tóz drab do niego:

– Weźcie mie ze sobom, jo ino woża cetnor...

Wejrzoł na mie litościwie i pedzioł, żebych wsadził prawo rynka za jego pas, a lewom mocno sie go uchycił. Wyskoczyli my. Jak płachta chyciła luft, a szarpło, to mi sie zdowało, że mi ta prawo rynka urwało. Strasnie mie zabolalo w ramiu, dar zech sie z bólu wniebogłoty. Jak my sie znodli na ziymy, lojtnant staroł sie gibko dowiyż mie do jakigo lazaretu, bo moja rynka wisiała niywładno, a jo sie zwiyoł z bólu, jak skopany pies. W lazarecie dochtry pokiały głowom i orzekły: – Rynka trzeja ująć! Wyrwano!

Bez rynki źle, to prowda, ale niy ma złego, co by na dobre niy wyszło. Dzisiaj mom śtuczno i fest se jom chwola. Jo, briwtreger, jak rozwoża poczta, a ciepnie sie na mie przy furtee jak Rolf, to mu podaja grzecznie moja drzewiano prawica:

– Mosz, pieronie! Obgryzej wiela chcesz! Obejrzyjcie jako mom zgryziono!

Jak Zefel skończył, po krótkij wesołości na widok jego drzewianej protezy, nogle robiło sie cicho. Chopy, co siedzieli w raji, medykwowali nad tym, co okludził kamrat. Kombinowali wtynchos, jak opedzieć swoji kalictwa? Richtig! Niy czekać wiela, odzywoł sie Paweł Śliwa:

– Słuchejcie, kołnusy – bo dwóch młodzioków siedziało z boku na ławie – nych wom niy bydzie dane podzyć tego, co my podzyli. Jo tyż jest wojnyy dziod. Niy mom oka, choć może tego tak niy widać. Straciłech go u Rusa. A było tymi tak. We dwóch kozali nom konwojować coś kole dwudziestu ruskich niywolników. Jo z przodku, kolega ze zadku. Niywolników my sie niy boli, oni nawet radzi szli do zabranio, bo u Niyemca mieli sie dużo lepij, niż u Stalina.

Idmy, idmy, a w jednym miejscu przyszło iść wele lasu. My sie ruskich lasów okropnie boli, bo siedziało w nich dużo partyzantów. Jo krokom, a ze strachu nogi sie mi aże uginajom. Jednym razym przyszeł ogiyn. Klup! Jo kopyrt i już zech nic niy wiedzioł, co było zy mnom dalij.

Kolega mi po czasie dopiyo wszystko opedzioł, co sie stało. Mie trefili w gowa. Kulka przeszła bez oko, schrustała mi czaszka, ale niy naruszyła mózgu. Jyńcy sie rozpyrskli, a kolega w tym zamiyszaniu skoczył do rantu i wcis sie do zabagnionej ruły pod mostkiym. Mioł szczyści, że żodyn partyzant tam niy wejrzoł. Dopiyo jak sie zećmiło, wycioroł sie stamtod i dotar do swojich.

Partyzanty uznały mie za zabitego, a nasi kozali ludziom ze wsi mie pochować. Jak mie rabowali, dali pozór, że jeszcze dychom i coś beblom. Tela mieli jeszcze Boga w sercu, że mie łopatom niy chachli w łeb i niy skończyli zy mnom. Zameldowali Niyemcom...

Dalij dużo rozprowiano... Powiyom ino, zech w lazarecie we Witebsku doszeł do świadomości dopiyo po dwóch tydniach. Jak dochtór dojrzoł, zech otwar to jedno zdrowe oko – pedzioł:

– Żolnierzu, ty mosz wyncyj szczyści, niż rozumu. Jedyn na milion z taki opresji wychodzi...

Paweł chcioł jeszcze coś dalij godać, jednak w tym miejscu przerwoł mu nerwowy Francik. Znali go wszyscy na osiedlu. Połowa ciała mioł niywłodno. Jak szeł, szmatło. Ta niywłodno noga podciągoł dziwacznie ku drugij. Godoł niywyrażnie, ciećwioł, gymba mu szarpło co chwila nerwowy tik.

– Siedzia tak i słuchom, słuchom, cio tu jeś godane. Achim beś nogi, Zefel beś rynki, Pafel beś łoka... A jo tyś dziod! Mie na pozór nić niy blakuje, a cio jo psiesieł, to ino jedyn Pon Bóciek wyi! Jo był na ubocie. W Cukšhafyn! My po Atlantiku grasiowali. Zia te niyściyścia, jake my tam wyziońdziali – psiśla i na nos kryśka. Engliki nos wymaciali bombami, a my drab uciykali do gymbiny. Ale noś utrefili. Jo sie ćudym wydoštoł z trzidzieštu metrów. Wiela zech mioł siły, toch rynkami, nogami wiyżgoł, żeby sie ino do wyrchu dostać. Dusis sie, a tu luftu niy ma, chceś żyć, a tu sie w łociach cima robi, ziyci ucieko...

Jo som z tego ubota psieżył. Engliki mie mogli zostawić w tych zimnych wodach, ale mie wyłowili... Jo, Francik Śowada ocałoł i ogłondom jeśce tyn świat...

Taki to opowieści przewijały sie w każdy piątek bez Achimowej werksztela. Czasym przysłuchiwały sie jim szkolorze, kierz przychodzili z Zigusiyom do dom. Dużo sie jich nasłuchoł i som Ziguś, a potym jego młodzy brat – Jorguś. Tyn Jorguś, jak doszeł do lot, że już zaczon som myśleć, roz spytoł ojca:

– Tato, a po co robiom te wojny?

– Pytej sie mie, a jo ciebie! Jak urośniesz, starej sie, żeby za wdy zgoda myndzy ludziami była. A zgoda jest wtynchos, kiej jedyn drugimu ustympuje... Miło zgoda to nojlepszy lyk na wojny.

Achim niy dopedzioł synowi jeszcze tego, co mu kiejś – świyntej pamiyńci dziadek – pedzieli:

– Wojny sie robiom wtynchos, kiej ludzie Boga wygoniom ze serca.

Pochwalała intuicji

JACEK WOJCIECHOWSKI

Przezywany wprawdzie *amatorem*, ponieważ był górnikiem w kopalni *Wieczorek*, ale naprawdę świetny pejzażysta śląskich miast, **Paweł Wróbel** (1913-1984), namalował cykl obrazów pod hasłem *Kroniki przedmieść*, portretując różne fragmenty tutejszych osiedli, niekoniecznie tylko przedmiejskich. Część tej kolekcji pokazało niedawno Muzeum Śląskie w Katowicach.

Malując (z pamięci?) katowicką ulicę Mickiewicza, z trzech charakterystycznych i bardzo podobnych budowli, wybrał Wróbel tylko dwie. Synagogę, którą z początkiem wojny zburzyli Niemcy, oraz miejską łaźnię, w której obecnie kąpią się biura, a kiedyś był tam jedyny w Katowicach basen kryty. Również na innym obrazku Wróbla, rejestrującym róg ulic Mickiewicza oraz Stawowej, tego trzeciego budynku nie ma. Natomiast los sprawił, że to akurat ten gmach (największy) stoi tam, gdzie stał od początku i w dodatku pełni jedną i tę samą funkcję. To Liceum im. Adama Mickiewicza.

SZKOŁA

No więc to zawsze była szkoła i szkołą pozostała. Rozumnie i perspektywnie zaprojektowana, obszerna, z piękną aulą i szerokimi korytarzami – tylko do sali gimnastycznej projektant, **Józef Perzik**, ustosunkował się nadmiernie skąpo – nadal imponuje wizualnie oraz funkcjonalnością. Nie uczył się w niej górnik Wróbel, więc nie mógł odkryć wszystkich uroków, ale wielu innym wizerunek tej szkoły, na równi z jej intelektualnymi wartościami, zakodował się trwale.

Mogłaby poza tym ta szkoła obchodzić mniej więcej okrągłe, albo półokrągłe jubileusze nieomal co chwilę. Uruchomiona jako niemiecka szkoła średnia (ale przy ul. Młyńskiej) w 1871 roku, przeniesiona tu w 1900 roku, a od 1906 roku określana jako gimnazjum (nadal niemieckie), doczekała się polskiego przejścia w 1922 roku. Oto więc co najmniej 146, 111, lub 95 rocznice – w sumie, tak czy inaczej, imponujące. Przy zachowaniu przez cały ten czas, niezależnie od używanego języka, jednego i tego samego celu: żeby miastu i nie tylko miastu przybywało mądrych ludzi. Z tym, że oczywiście powinności polonizacyjne w okresie międzywojennym też miały wagę szczególną.

Dzisiaj, kiedy w każdym większym, albo nawet w średnim mieście, na co dziesiątej ulicy funkcjonuje jakaś placówka kształcenia, nazywana wyższą, rzadko zwraca się uwagę na szkoły średnie, ale to jest nieporozumienie. Z tych nadmiernie rozmnożonych kolegiów pomaturalnych nie wiadomo ile zostanie pojutrze, nie wszystkie bowiem są produktywne. Szkoły średnie natomiast były, są i będą, ponieważ bezsprzecznie udowodniły swoją użyteczność, w istocie fundamentalną, toteż trzeba się z nimi obchodzić z sympatią oraz mieć je w poważaniu.

Bo to w nich właśnie kształtują się i dojrzewają osobowości. Taki mają te szkoły charakter, takie zadania i takie efekty. Niezależnie od struktury *systemu* szkolnego – to jest problem wtórny – natomiast w niezaprzeczalnej relacji do etapów osobniczego rozwoju oraz do programów nauczania, ale przede wszystkim: stosownie do edukacyjno-intelektualnego **podejścia**. O to głównie spierają się właśnie koncepcjoniści kształcenia na całym świecie, nigdzie nie znajdując jednej optymalnej idei, ani wyłącznego rozwiązania.

Teoretykom jest łatwiej, bo już sam spór i wymiana opinii mogą uchodzić za pół kroku naprzód. Natomiast praktycy i szkoły muszą robić to, co muszą – częściowo lub prawie w całości intuicyjnie. Zatem robiły i robią. Jedne lepiej, a inne mniej dobrze. W *Mickiewiczu* od dawna lepiej. Szczególnie w okresach przełomowych: międzywojennym, oraz w powojennym piętnastolecium.

W KOTLE EDUKACYJNYM

Kształcenie od samego początku było uwikłane w sprzeczności, jak też w dualistyczne wątpliwości: kto miałby kształcić i kogo, oraz zwłaszcza **po co**. Do zadań bieżących, czy też także przyszłych – o czym jednak dawniej myślał mało kto, bowiem okoliczności tego nie wymuszały. Wydawało się, że z przekształceniem edukacji w oświatę, czyli z powołaniem i z biurokratyzacją systemów szkolnych, oraz z instytucjonalizacją programów nauczania, wystarczy dostosowanie do aktualnych potrzeb. Bez nadmiernej troski o dyferencjacje szkolnictwa dla młodzieży (choć w kształceniu jest to etap najważniejszy), a natomiast z przeświadczeniem, że współczesna codzienność

wystarczy do wypracowania reguł postępowania. Dlatego (nie bez racji) dawała i daje o sobie znać intencja możliwie pełnego rozpowszechnienia edukacji na poziomie ponadpodstawowym, oraz bieżącej produktywizacji pozyskiwanej wiedzy.

Bańka prysła jednak, kiedy stan świata zaczął zmieniać się w ciągu dziesięcioleci, zamiast stuleci. Okazało się, że należy kształcić głównie **ku przyszłości** – ale nie bardzo wiadomo jakiej, oraz bez pewności: jak. Zwłaszcza na poziomie średnim właśnie. W ujawnionym zamieszaniu, a właściwie nawet w kotle rozterek, znowu pozytywne okazało się więc nawiązanie do nauczycielskiej trafnej intuicji. Zmiany organizacyjne i strukturalne w systemach oświaty, których próbowano i próbuje się z uporem, mają natomiast charakter trzeciorzędny, tak jak i nerwowe rekonstrukcje programów nauczania, dokonywane w znacznym stopniu w ciemno.

Ważne, że wobec tego odżyła (nie wszędzie) dawna idea, wzbogacona o propozycje nowe, uczenia przede wszystkim **myślenia**, zamiast faktografii (którą da się teraz zarejestrować w osobistym PC), z nastawieniem na *możliwe* praktyki życiowe oraz zawodowe. Nie ma innego sposobu produktywnego kształcenia, sugeruje profesor uniwersytetu w Nottingham, **Mark Hasselgrove**, jak tylko zespolić uczenie się z przemyśleniami i to koniecznie w bezpośredniej (zatem nie przez sieć) relacji grupowej, jeżeli absolutnie średniej szkoły ma dać sobie radę jutro i przynieść pożytek po jutrze.

Sęk w tym, że w warunkach dzisiejszej dydaktyki szkolnej, to jest wyjątkowo trudne do osiągnięcia. Dlatego wybitny znawca problemów edukacji, profesor uniwersytetu w Birmingham, **Gary Thomas**, określając naukę myślenia jako główną powinność każdego kształcenia, zaleca odróżnianie rzeczywistej edukacji, od instytucjonalnego *szkolnictwa*. Postulat trafny, lecz czysto teoretyczny, no bo co miałoby z niego wynikać: likwidacja szkół na rzecz oświatowego chałupnictwa, bądź woluntaryzmu?

Oliwy do ognia dolewają też szeroko znani nuronaukowcy – profesor **Ed Diener** z uniwersytetu w Salt Lake City, oraz profesor **Mihaly Csikszentmihalyi** z uniwersytetu w Chicago – sugerując, że głównymi motywatorami ludzkiej egzystencji są zadowolenie, przyjemność i satysfakcja. A skoro w życiu, to w edukacji nie? Jak zaś wygląda przyjemność w szkolnej praktyce: może ktoś pamięta, lub wie. Tymczasem żaden z opiniodawców nie jest w stanie zaproponować realnego sposobu wdrożenia tych założeń do codzienności w szkole. Każdy zaleca coś innego i dyrektywy, niestety, są wzajemnie sprzeczne.

NOWE STRASZYDŁA

Kolejną poważną obstrukcją edukacyjną wstrzeliła elektroniczna oferta komunikacyjna, wmawiając każdemu, że jest nowym sposobem na wszystko, zatem również na kształcenie. W co nie uwierzyli tylko nieliczni, najdociękliwi specjaliści z obszaru psychologii myślenia. Bo zauważyli, że odbiór treści z Internetu nie wykracza poza bierne myślenie robocze, bez intelektualnego przetwarzania trwałego, przydaje się zatem głównie w bieżącym funkcjonowaniu praktycznym, oraz służy przy sztucznym, podręcznym zapisie treści w pamięci maszyny, ale w ludzkiej już nie bardzo. Czyli może to być **wspomaganie** takiego kształcenia, jakie znamy, a nie zastąpienie.

Kto sądzi inaczej, ten popełnia błąd. Różne e-learningowe programy kształcenia i kursy, jeżeli autonomiczne,

są – z nielicznymi wyjątkami – tyle warte, co wrzątek w ukropie. Niedowiarkom można zalecić wizytę u e-learningowego dentysty, a potem zaprosić na e-pogaduszki. Jeśli będą w stanie.

Mniej więcej dlatego profesor **Jens Zimmermann** z uniwersytetu w kanadyjskim Langley namawia, żeby w kształceniu **przewyższyć** treści digitalne, bo w sumie najważniejsza jest *własna* interpretacja zjawisk i *swoje* ich zrozumienie. Zaś wybitny psycholog, profesor **Michael Glassman** z uniwersytetu w Columbus, który od dawna analizuje edukacyjne funkcje Internetu, przestrzega przed bezkrytyczną wiarą w cyfrową omnipotencję. To jest świetne narzędzie, ale dla edukacji wspomagające. Jeżeli miałoby stać się jedynym, to obudzimy się z ręką w nocniku.

A tymczasem pojawiły się następne bulwersacje. Oto specjalności z zakresu automatyzacji, robotyzacji i zwłaszcza koncepcjoniści sztucznej inteligencji – **AI: Artificial Intelligence** – zaczynają dopuszczać możliwość skonstruowania rozwiązań superinteligentnych, niekoniecznie w trybie czysto biologicznym i skracają czas oczekiwania na to do 20-30 lat. Prawda czy też nie, ale dla dzisiejszych gimnazjalistów i licealistów to jest już okres ich życia. Pora więc, żeby pomyśleć.

Nie w kategoriach lęków typu sf, ani mitycznych *buntów* superinteligentnych urządzeń. Chociaż oksfordzki profesor **Nick Bostrom** (chyba trochę pod publiczkę) przewiduje różne warianty możliwości rozwoju AI, podpowiadając konieczność przygotowania się – również edukacyjnego, ale bez szczegółów – do przyszłych okoliczności. Zaś najwybitniejsza znawczyni tej problematyki, profesor **Margaret Boden** z uniwersytetu w Brighton, neguje wprawdzie apokaliptyczne wizje, ale rozmaite zagrożenia jednak dostrzega.

Które polegają głównie na likwidacji **mnóstwa** istniejących obecnie zawodów, specjalności, a także: na dewaluacji rozmaitych, póki co jeszcze przydatnych, umiejętności. To zauważono także w ramach Unii Europejskiej [*The knowledge future*. Brussels: EU, 2015 – materiał elektroniczny], lecz poza sygnałem, podpowiedzi są nijakie. Natomiast rozległą i rzeczowistą konsternację wywołał oksfordzki profesor **Richard Suskind**, razem z synem **Danielem** (dr z Oksfordu) ogłaszając i dokumentując wizje zagłady całego oceanu dzisiejszych profesji, w następstwie ich pełnej lub częściowej automatyzacji. Tego, co obaj napisali, nie należy czytać stojąc, bo uginają się nogi. I wprawdzie nie ma całkowitej eliminacji czynnika ludzkiego z procesów pracy, ale pośród lawiny przypuszczeń: czego zapewne już nie będzie – bardzo mało oferują sugestii, co ewentualnie będzie.

Wobec tego jak kształcić, oraz do czego, jeżeli pejzaż przyszłości ukrył się za mgłą? Szczególnie obecnych nastolatków: w tym przedziale wieku, kiedy kształtuje się psychologiczny oraz intelektualny trzon osobowości. Pewne jest to tylko, że nie wolno robić na razie nerwowych ruchów i niczego ostatecznie psuć; natomiast zabiegi strukturalne mają znaczenie marginalne. Wypada więc znowu, tak jak to bywało w dawnych trudnych chwilach, zdać się na intycję dobrych nauczycieli oraz na ich zaangażowanie.

PRZEWODNICY

Oczywiście, że do tego potrzebna jest oraz była rozległa wiedza i równie bogate umiejętności. Których w *Mickiewicz* nie brakowało. Niech ktoś w całej Polsce znajdzie inną szkołę średnią, którą kierowało kolejno 12 doktorów.

Nie: dzisiejszych. **Przedwojennych!** Poczynając od dr. Zdzisława Londońskiego (1922), a na dr. Stanisławie Kasztelowiczu (1954) kończąc.

Jednak było też coś więcej. Mądrość, przywiązanie do elementarnych wartości – które chwiałały się w latach powojennych – i dyskretne przewodnictwo podczas wchodzenia w codzienność i w realne życie. No i to właśnie okazało się najważniejsze, oraz skuteczne. Zarówno w powojennym ćwierćwieczu, pełnym zawirowań, jak i dla czasów późniejszych: przy odnowie normalności. W końcu, również dlatego, jest jak jest.

Niezwykłą rolę inspiratora mądrego myślenia spełniał ostatni przedwojenny oraz pierwszy powojenny dyrektor szkoły, **dr Franciszek Dłużniewski**, oczywiście **Kwintus** bo przez 28 lat (1926-1939 i 1945-1960) uczył łaciny, ale traktował swoje powinności jako implementację logiki. I niejednego tą logiką zainfekował. Nawet w smutnej irytacji na deklinacyjne błędy – *tempus, tempi, coraz tępiej* – kamufłował nadzieję na myślową reinkarnację.

Maratoński wuefista (przepracował 45 lat: 1946-1991), **Hubert Uramowicz** czyli **Piguł**, zaraził wszystkich admiracją do koszykówki, która wtedy na Śląsku prawie nie istniała. Nawet największy fajtłapa nauczył się trafiać do obręczy z siatką. Ale to było zarazem ćwiczenie w kierowaniu własnymi umiejętnościami oraz rozwojem, czyli w sumie losem, już nie tylko na boisku, lecz w całym życiu. Oraz jeszcze wpajał przeświadczenie – nigdy zresztą nie mówiąc tego wprost – że Śląsk jest wartością sam w sobie, toteż trzeba mieć do niego sentyment szczególnie.

Niepodrabialny szkolny alchemik **Andrzej Tylek**, przezywany **Żyła** (przepracował 27 lat: 1945-1972) – którego musiał bać się każdy, kto miał uszy i oczy na swoim miejscu – lansował przekonanie, że świat (nie tylko chemiczny) stanowi spójny układ przyczynowo-skutkowy. W czasach niepewnych to był najpewniejszy pewnik i zresztą nadal nim jest. Wrzucisz sól do wody: spalisz całą budę, a może nawet pół miasta. No to zastanawiaj się co robisz. Przewiduj, myśl i panuj nad sobą.

Z kolei **Balon**, nauczyciel polskiego (w l. 1950-1971 = 21 lat), a dokładnie **dr Władysław Bryniarski**, prowadził lekcje jak chyba nikt inny: według modelu na miarę XXII wieku. Nauczył czytać teksty literackie *po swojemu*, więc myśląc i reagując indywidualnie. W zmaganiach z programem nauczania niekiedy ponosił porażki (czasowe), ale w sztuce wpajania reguł czytania mądrego, nie miał konkurentów.

A znowu biolog, **Tadeusz Łukomski** vel **Kiwi** (1951-1974: 23 lata nauczania), po swojemu walczył z ogłupianiem, lansowanym wtedy szeroko, akurat w jego specjalności. Wziął sobie mianowicie na kiel idiotyzmy miczurinowskie, które oficjalnie obarczano rangą odkryć niezwykłych. A Kiwi serwował stosowne dowcipy: *Miczurin skrzyżował psa z jabłką i odtąd sama się podlewała oraz szczekała na zlodziei*. Było to nieco ryzykowne, natomiast skuteczne: nikt w szkole nie jadał jabłek sowieckich.

Byli oraz są jeszcze inni. Tworząc razem **zespół**, kreujący rozumność. W czasach rozchwiania koncepcji edukacyjnych, może akurat taki jest model: swoisty **patent**, do ewentualnego powtórzenia.

ŚWIADECTWA POŻYTKU

Pod warunkiem, że okaże się pożyteczny. Otóż rzeczywistym wyznacznikiem produktywności każdej szkoły, a szczególnie szkoły średniej, jest egzystencjalna jakość absolwentów: ich przydatność do życia. Co trudno zmierzyć

linijką, wagą, albo chronometrem, ale co widać w kadrze ogólnym. W takim ujęciu *Mickiewicz* – chociaż nie ma wśród wychowanków króla, jak krakowski *Nowodworek* – ma się czym pochwalić. Potencjalni *naśladowcy* zatem mieliby też.

Oto wybitny immunolog z Vanderbit University w Nashville, **prof. dr Jacek Hawiger**, dr honoris causa UJ, a w swoim czasie kandydat do naukowej nagrody Nobla. Oraz **prof. zw. dr hab. Andrzej Bochenek**, kardiochirurg ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, wcześniej bliski współpracownik prof. Zbigniewa Religi. Automatycznie **prof. dr hab. Antoni Niederliński**, były rektor Politechniki Śląskiej w Gliwicach. No i fizyk z Uniwersytetu Śląskiego, **prof. dr hab. Jerzy Warczewski**, bliski przyjaciel kompozytora Alfonsa Kilara, często wspominany w biograficznej opowieści Marii Wilczek-Krupy *Kilar. Geniusz o dwóch twarzach* (Kraków: Znak, 2016).

Relacje nauki z kulturą nawiązywały się w tej szkole w sposób naturalny, stąd taki a nie inny wachlarz absolwencyjnych specjalności. Z *Mickiewicza* wyszedł znakomity i szeroko znany aktor **Henryk Bista** (1934-1997), a także wybitny plakacista **Marek Mosiński** (1936-1998). No i uczył się tam, nie tylko języka polskiego, znany pisarz **Jan Józef Szczepański** (1919-1998), jeden z liderów solidarnościowego buntu intelektualistów, przewodniczący Związku Literatów Polskich, a potem współtwórca i pierwszy prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, uczestnik *Okrągłego Stołu* ze strony opozycyjnej.

Zaś w jeszcze innym obszarze dał się poznać **Adam Graczyński** (1939-2004), dyrektor GIG, senator RP i wojewoda śląski – a w swoim czasie jedyny w *Mickiewiczu* koszykarz leworęczny. Natomiast dużo wcześniej (w 1934 r.) zdał tam maturę **Ks. Ignacy Jeż** (1914-2007), późniejszy biskup. Który w czasach, kiedy katechezy nie było w szkołach, prowadził w kościele garnizonowym wspaniałe wykłady dla licealistów i zawsze miał nadkomplet słuchaczy.

W tej różnorodności mieściło się jeszcze rozległe spektrum czynnych uprawiaczy rozmaitych dyscyplin sportowych, z głównym zainfekowaniem przez **Piguła** koszykówką. Czego ślad przetrwał do dzisiaj, w postaci ligowego zespołu *AZS Mickiewicz-Rozmus Katowice*. Jakkolwiek w reprezentacji kraju występowali akurat post-Mickiewiczowscy piłkarze ręczni: **Kazimierz Dauksza**, **Wiktor Garczorz** oraz **Henryk Solik**. Natomiast po najwyższe laury sportowe sięgnął szablista **Franciszek Sobczak** (1939-2009). Był indywidualnym mistrzem Polski oraz w drużynie: mistrzem świata.

Co z tego wynika? Że niezależnie od okoliczności codziennych i systemowych, była i jest oto szkoła, w końcu przecież nie jedyna, która w najważniejszym dla procesu kształcenia okresie życia, umiała i nadal potrafi nastawić swoich adeptów na szeroki profil zainteresowań, oraz wyposażać w skuteczne narzędzia zdobywania wysokich umiejętności. Bo dobrał się zespół – a na przestrzeni lat: zespoły – który chciał to robić i wyczuwał jak. W oddaleniu od szkolnego biurokratyzmu, a także od niekończących się sporów edukacyjnych koncepcjonistów.

Świat nie stoi w miejscu, ale niekoniecznie maszeruje do przodu. Dawne niepewności ustąpiły, ale... miejsca następnym: tym razem cywilizacyjnym oraz bezpośrednio edukacyjnym. Nie ma jednej koncepcji przyszłości, ani jednolitych prognoz dla profesji, nie ma też spójnego pomysłu na kształcenie. Zatem trzeba improwizować, ufając nauczycielskiej intuicji – jeżeli jest – natomiast nie przeszkadzając jej, ani nie psując. Dopóki z zamglenia nie ujawnią się niepodważalne konkrety.



Profesor Danuta Opacka-Walasek studia z zakresu filologii polskiej ukończyła w Uniwersytecie Śląskim na seminarium prof. Aleksandra Wilkonia, pisząc pracę o *Czasoprzestrzeni artystycznej w „Sonetach krymskich” Adama Mickiewicza*. W roku 1995 obroniła doktorat pt. „...pozostać wiernym niepewnej jasności. Wybrane problemy poezji Zbigniewa Herberta”, którego promotorem był prof. Włodzimierz Wójcik. Habilitację uzyskała w roku 2005, przedkładając monografię *Chwile i eony. Obrazy czasu w polskiej poezji drugiej połowy XX wieku*. W 2016 otrzymała tytuł naukowy profesora.

Tyle suche fakty. Oddajmy więc głos uczonej, która tak kreśli swój literaturoznawczy autoportret: „Zajmuje mnie od lat deszyfrowanie sensów pseudonimowanych w liryce, którą traktuję także w kategoriach rewelatora prawd o nas samych i otaczającej nas rzeczywistości. Prawd nieoczywistych, nadto często niedostępnych w codziennym doznawaniu świata. Jako najwyższa forma sztuki słowa, niosąca satysfakcję estetyczną i (z latami wzrastającą) przyjemność analitycznej lektury, ciągle jest dla mnie poezją zaproszeniem do intertekstualnej gry, do obserwacji „stawania się znaczeń”, do „rozwarstwiania tekstu” stanowiącego drogę do odsłonięcia jego złożoności i uruchomienia sensotwórczych napięć. Interesuje mnie rodzący się z tych napięć obraz człowieka i świata, owa – zamknięta w poetycką grę słów, „wymodelowana” – wizja, odsłaniająca prawdę przeżycia, zapisana w czasie prawdziwym, tzn. naprawdę doświadczanym: w stającej się aktualnie chwili. Frapuje mnie równocześnie zmienność tej wizji, ujawniająca się w interpretacjach porównawczych i historycznoliterackich, dających wgląd w niesione różnymi stylami, konwencjami i gatunkami, dyktowane odmiennymi uwarunkowaniami czasów, ewokacje wyobraźni i światopoglądów”.

Przytaczam te słowa, ponieważ są one – w jakimś sensie – literaturoznawczym manifestem badaczki. Pisząc o liryce, poszukuje w niej ważnych odpowiedzi na pytania o świecie i tworzącym go człowieku (podmiocie). W *Pasażach lirycznych* (2013) wyznaje: „To, co zatrzymywało mnie przy wierszach [...], to zazwyczaj [...] prześwitujący z poetyckich zapisów obraz człowieka o odmiennej wyobraźni” (s. 7). Dodajmy, że Danuta Opacka-Walasek nie gubi nic z tego, co jest artystycznym wyrazem utworu, jego niepowtarzalnym pięknem, artyzmem. Swobodnie porusza się po różnych płaszczyznach: stylu, kompozycji, ruchu konwencji, gier intertekstualnych itd., a przy tym trzyma się głębokiego jądra sensu. To sprawia, że – napisane z retoryczną swa-



PORTRETY MISTRZÓW

Profesor Danuta Opacka-Walasek

MARIAN KISIEL

dą – książki i szkice śląskiej uczonej otwierają nas na lirykę jako najwyższą formę sztuki.

Dwie książki i skrypt poświęcone zostały Zbigniewowi Herbertowi. Najistotniejszą z nich jest monografia podoktorska, ważna także dzisiaj, choć od chwili jej publikacji minęło kilkanaście lat i powstało już ponad sześćdziesiąt książek o poecie. Studium Danuty Opackiej-Walasek jest cytowane, a o jego randze świadczy m.in. to, że badaczka zasadniczo koncentruje się na interpretacji, a nie na eksterioryzacji wierszy, tj. nie umieszcza ich w kontekście wobec nich zewnętrznym. Oczywiście, nie dało się i tego uniknąć. Herbert jest w ogóle trudnym do opisanego poetą, ponieważ ubiera się go w kostiumy także mu obce. Ale tak to już jest w naszej historiografii literackiej, że częściej

postrzegamy go jako niezłomnego księcia i nieprzejednanego oponenta, niż jako kogoś, kto ma swoje wyraźne braki, wahania czy wątpliwości (również tekstowe).

Autorka „...pozostać wiernym niepewnej jasności” (1996) czyta autora *Struny światła* poniekąd posągowo, bo taka była jej generacyjna lektura tego poety. Czy zaprogramowany w swoich wierszach, Herbert nie chce, aby go czytała inaczej? Dobre pytanie. To jest w ogóle okropność współczesnego polskiego neoklasycyzmu, który stale wymusza na interpretatorze przyjmowanie ról retorycznie wcześniej zadanych. Badaczka pyta w swojej książce o istotę autorytetu i kwestie moralności, czyli o to, co zostało – z uprzednim zamiarem! – fundamentalnie utrwalone w wierszach Herberta. Czyta zatem



Herberta tak, jak – zapewne – on chciałby, by go czytano. I jak czytała go cała publiczność literacka w półwieczu jego obecności (od pierwszych publikacji do śmierci). Horyzont oczekiwań twórcy i czytelnika znakomicie się tu na siebie nałożyły. Była w tym chyba jakaś potrzeba lektury uwznioślającej, pragnienie wzajemnego odnalezienia się w moralnej posągowości, niezłomności, charakterze, czyli w tym, co znakomicie określa łacińskie słowo *virtus*, a co w kodeksie rzymskim przekłada się na pojęcie i cnotę „dzielności”.

Wpisując Herberta w historycznoliteracki dyskurs, Danuta Opacka-Walasek mocno zakorzenia go w konkretnie dostępnym naszemu poznaniu. Dzieje się tak za sprawą znakomicie opanowanej sztuki interpretacji. Poetę posągowego ratuje wiersz, w którym dają się odnaleźć „włókna duszy i chrząstki sumienia”. Innymi słowy: badaczka oceniając poetę jako człowieka, nie traci jego egzystencjalnej istoty z pola widzenia, a jednocześnie „filtruje” go przez ponadindywidualną realizację tekstową. Jeszcze inaczej: poszukuje stylu indywidualnego autora *Pana Cogito*, choć zdaje sobie sprawę z tego, że owe ponadindywidualne realizacje tekstowe wiążą go bardzo ściśle z poprzednikami.

We wstępie do innej książki, do *Czytając Herberta* (2001), badaczka napisała: „Poezja Zbigniewa Herberta jest zjawiskiem niezwykle ważnym i osobnym na mapie polskiej współczesności literackiej. Był jednym z tych czynników – artystycznych i światopoglądowych – które zapoczątkowały gwałtowną przemianę liryki polskiej w latach pięćdziesiątych. Choć nietrudno było wskazać antenatów Herbertowskiej poezji i uszeregować ją w historycznoliterackim procesie, tak ze względu na poetykę, jak przez zakres wysokich zagadnień etycznych, kulturowych, filozoficznych, historycznych, nawet politycznych – szybko okazało się, że Herbert wypracował własny, indywidualny styl i pozostaje do dzisiaj fenomenem” (s. 23). W tych słowach ukryte zostało przekonanie o wyjątkowym znaczeniu – powtórzmy – „wysokich zagadnień etycznych, kulturowych, filozoficznych, historycznych, nawet politycznych”. I jakkolwiek całkowicie można podzielić ten pogląd, to przecież niepodobna nie zauważyć, że wkluwa się on w sferę światopoglądu i że to światopogląd właśnie determinuje wysokie odczytanie. Stąd – retoryczne słowa górne, narzucające określony sposób odbioru, zakładające nawet brak sprzeciwu. Tego rodzaju chwyt erystyczne, choć rozpoznawalne, nie determinują jednak samej lektury.

W książce *Czytając Herberta*, która jest – by tak rzec – szczegółowym (bo na konkretne wiersze) rozpisaniem dyskursu historycznoliterackiego rozprawy doktorskiej, Danuta Opacka-Walasek namawia nas do wielorakich wątpliwości. Mają one charakter metodologiczny, aksjologiczny i – po prostu – ludzki. Metodologicznie zbiór interpretacji ma charakter nowoczesny. Badaczka powoli, drobiazgowo i subtelnie śledzi każdą metaforę, wyjaśnia jej sensy i docieka przyczyn, które sprawiły, że takie a nie inne znaczenie poeta wybiera z rezerwuaru dostępnych mu sensów. Od strony aksjologicznej – koncentruje się na wierszach dobrze zakorzenionych w świadomości współczesnej. Od strony ludzkiej – pyta o teksty, które mogą mieć wpływ na nasz kodeks moralny.

Do interpretacji badaczka wybrała dwadzieścia jeden wierszy poety. Zaczyna *Dwoma kroplami* ze *Struny światła*, kończy *Tkaniną* z tomu *Epilog burzy*. Ze *Struny światła* (1956) wybrała krytyczka sześć wierszy, z *Hermesa, psa i gwiazdy* (1957) także sześć, ze *Studium przedmiotu* (1961) cztery. Wszystkie pozostałe tomiki Herberta reprezentowane są jednym wierszem, więc: *Napis* (1969), *Pan Cogito* (1974), *Raport z obłożonego Miasta* (1983), *Elegia na odejście* (1990), *Epilog burzy* (1998). Nie ma swojej reprezentacji tekstowej *Rovigo* (1992). Opacka-Walasek przedstawia nam zatem „młodego” Herberta. „Młodego”, czyli między trzydziestym drugim i trzydziestym siódmym rokiem życia. Każdy z wierszy omawia na wielu płaszczyznach. Więc najpierw od strony językowo-stylistycznej, następnie dając podstawowe uwagi wewnątrztekstowe, z kolei – osadzając wiersz w bogatym kontekście kulturowym. Tutaj nie ma wyraźnych podpowiedzi i ostatecznych rozstrzygnięć interpretacyjnych. Nie taki jest cel książki i nie takie postanowienie krytyczne. Rzecz chodzi w *Czytając Herberta* o to, by czytelnik sam aktywnie konstruował własną interpretację, by koniecznie znajdował miejsce dla swojego – indywidualnego – odczytania.

Danuta Opacka-Walasek napisała: „Wiersze Herberta, zawsze samodzielne, skończone dzieła, których przeważająca większość została zebrana w dziełku tomikach, składają się w sumie na poezję zwartą i czytelną w swoich zasadniczych rysach” (s. 24). Tego rysu śledzi badaczka w interpretacjach szczegółowych, choć nie zawsze daje wystarczające odpowiedzi na zadawane sobie pytania. Tak jest np. w wierszach *U wrót doliny* czy *Siódmym aniele*, gdzie kontekst stylistyczno-kontekstowy jest bardziej obfity niż interpretacyjny. Ostatecznie może właśnie o to chodziło, by nie

dawać dokładnych wytłumaczeń w momencie, kiedy nasuwają się one *expressis verbis*, a raczej o uruchomienie takich pokładów skojarzeń, które mogą otwierać nowe możliwości lektury.

Powróćmy jeszcze do książki *...pozostać wiernym niepewnej jasności*”. Choć sytuuje się ona w porządku narracji historycznoliterackiej, to jednak ucieka przed całościującym oglądem. By tak powiedzieć: Danuta Opacka-Walasek, choć szuka formuł ogólnych, widzi ich początek w konkretnie historycznoliterackim, tj. w gatunku, a także we wszelkiej zmienności, jaka określa miejsce, status czy też pozycję wiersza. Bardziej interesuje ją pojedynczy wiersz niż domknięta/domykająca się twórczość. Wiersz jest światem, wyrażony w konkretnym gatunku, mówi temu światu „tak” lub „nie” (znana teza Kennetha Burke’a). Czy można przeciwstawić owemu bytowi jednokrotnemu, skazanemu na wielkość lub porażkę, cokolwiek innego? Na przykład uogólniający sąd? Badaczka na to się nie godzi.

Chwile i eony (2005), poświęcone „obrazom czasu” w poezji polskiej drugiej połowy XX wieku, wyrosła z drugiego samego przekonania. Choć zmieniła się formuła badawcza (nie refleksja nad jednym pisarzem, ale nad korpusem tekstów autorów różnych generacji), pozostał ten/taki sam ogląd widzenia. W centrum refleksji interpretacyjnej stoi wiersz, a od niego biegną nitki do innych wierszy, czasem toposów, zawsze jednak ujawnia się relacja między typem a genotypem. Badaczka nie ucieka od określenia tego, co indywidualne od tego, co wspólne w indywidualnym. Dlatego szukając „osobniczego”, zderza je – by tak rzec – z „kulturowym”. Inny poeta, albo jakiś system światopoglądowy stają się dopowiedzeniem lub przeciwstawieniem interpretacji, wyprowadzonej z wiersza.

W *Chwilach i eonach* pojawili się poeci różnych generacji i różnego miejsca w literaturze. Tym, co ich łączy (w wierszach) jest „czas” jako „przedmiot refleksji i przedmiot przedstawienia” (s. 14). Badaczka nie waha się zatem zestawić „apokatastazę” Czesława Miłosza i Waława Oszejcy, czy „chwile” Wisławy Szymborskiej i Adama Zagajewskiego. Rzecz albowiem nie w tym, że poetów różni data narodzin i doświadczenie; rzecz w tym, że podlegają oni temu samemu czasowi „doczesności” i otwierają się na czas „wiekuistości”. A to one stanowią wyłączny przedmiot refleksji badawczej Danuty Opackiej-Walasek. Z jednej strony – względność, przyspieszenie, doświadczenie teraźniejszości, mikrocosmos; z drugiej – bezwzględność/ostateczność, zamarcie, doświadczenie wieczności,



makrokosmos. Poeci „drugiej połowy XX wieku”, różnie w nim uczestniczący, Staff i Miłosz, Szymborska i Herbert, Barańczak i Zagajewski, by tylko te nazwiska przywołać, rozmaicie reagują na pojęcie czasu. Jest ono zawsze egzystencjalnie osobnicze, zawsze idiosynkratyczne.

Konstatacja oczywista? Pozornie. Badaczka poprzez interpretacje konkretnych wierszy przeciwstawia się formułom uogólniającym, ponieważ te zabijają zawsze indywidualność twórczą. Nawet jeśli między „doczesnością” i „wiekuiścieścią” można znaleźć podobieństwo poetyckich tropów, to niekoniernie muszą one świadczyć o arbitralności znaczenia, zawsze jednak będą wyrazem poetyckiej idiosynkrazji. I o tym, w istocie rzeczy, jest ta książka: o niepodobieństwie indywidualnego przeżywania czasu w podobieństwie widzenia umykającego stulecia. Badaczka nazywa to „zmiennym zabarwieniem poszczególnych faz „wielu terażniejszości”, przez które przechodzi się w życiu i w utworze literackim” (s. 16).

I tak, jak w książkach poprzednich, również tutaj siłą literaturoznawczej narracji jest interpretacja. Subtelnie wnikająca w sensy wiersza, odsłaniająca jego zakorzenie w tradycji i indywidualnym doświadczeniu, a przy okazji mająca także dyskretny walor dydaktyczny. „Krytyk to ten, kto umie czytać i uczy czytać innych” – pisał mistrz eseju Charles-Augustin de Sainte-Beuve. Zdaje się, że Danuta Opacka-Walasek dobrze czuje się w tej, by tak ją nazwać, hermeneutycznej tradycji czynienia myśli zrozumiałymi (*elocutio*). W retorycznie stopniowanej narracji, w rozszerzających się polach interpretacyjnych, w wydobywaniu piękna i znaczenia metafory, w sięganiu po konteksty literackie i filozoficzne, a wreszcie – w dialogiczności, spełnia się zupełnie. Sztuka interpretacji jest jej żywiołem i powołaniem. Dla niej gotowa jest poświęcić syntetyzujący obraz literatury.

A przecież również ku niemu dąży. Od szczegółu ku prawdzie poznania – tak można by skrótkowo określić jej postawę badawczą. Widoczną również, a może zwłaszcza, w książce *Pasaże liryczne*. Zwróćmy uwagę: nie ma tu żadnego podtytułu, żadnej konkretyzacji czasowej czy tematycznej. Owe „pasaże” przywołują na myśl Waltera Benjamina. Ale to niedobre skojarzenie. Pasaże jako miejsca galeryjne, przechadzki między nimi, ale także muzyczne biegniki, są tutaj opisywane wyjątkowo. Danuta Opacka-Walasek sensem swojej książki uczyniła biografie. Spersonalizowała własną drogę literaturoznawczą jako czytelniczki i interpretatorki

tekstów. Więcej: jako osoby, którą z tymi tekstami łączy rozmaite więzy: miejsca (Czechowicz), zabawy (Miłosz), światopoglądu (Herbert), przywiązania (Barańczak), fascynacji (Kozioł), nowego odkrycia (Zadura). W ponownej lekturze, obracającej się – zasadniczo – w kręgu tych samych nazwisk, badaczka pragnie lepiej rozpoznać egzystencjalny wizerunek poety. Napisała: „W pasażach przez wiersze, w przejściach przez poetyckie detale, sensotwórcze precjoza, pseudonimizacje, intertekstualne gry – słowem: w „rozwarstwianiu tekstu” i obserwowaniu, jak „stają się znaczenia”, szukam zapisanego w nich człowieka. Frapuje mnie, rodząca się z artystycznych napięć, dana w poetyckich figurach i tropach jego wyobraźnia, zamknięta w liryczną grę słów” (s. 9).

Jak wniknąć w tę wyobraźnię? Za pośrednictwem interpretacji.

Najpierw badaczka sięga do Józefa Czechowicza. Nakłada na wyobraźnię poety własne doświadczenie miasta, prywatyzując lekturę jego *Poematu o mieście Lublinie*. Mowa o „powrocie” do miasta dzieciństwa. Jest on retoryczny i mitologiczny. „Mitologie prywatne rzucają wyzwanie brakowi, który, choć zademonstrował swoje działanie, nie wszystko zagarnął” (s. 15). Mityczna formuła „powrotu” odsyła do toposu Wędrowca, Odyseusza, przywołuje znany motyw *nekji*. Danuta Opacka-Walasek w świetnej interpretacji poematu, wyrażonej w precyzyjnej analizie metafor akwaticznych i aluzji do mitów celtyckich, konstatuje: „Poetycki gest pożegnania Czechowicza z Lublinem w świecie realnym, stał się gestem powitania w świecie mitycznym” (s. 33). Egzystencjalne nakłada się tu na kulturowe. I jeśli można uzasadnić obecność poety międzywojennego w książce poświęconej wierszom powojennym, to chyba tylko w ten sposób: punktem wyjścia do poszukiwań ponadindywidualnego znaczenia, ukrytego w tekście, powinna być prywatność lektury.

Zauważmy, że w tej najbardziej chyba osobistej interpretacji *Pasaży lirycznych*, badaczka zresztą przed czytelnikiem *explicite* to odsłania, dochodzą do głosu egzystencjalnie zorientowane kategorie braku, utraty, podróży ku miejscom szczęśliwym, pożegnania, wejścia w mit. Kategorie te nierzadko skrywają się za semiozą interpretacji. Danuta Opacka-Walasek nie ukrywa w prowadzonym dyskursie, że bliska jest jej tradycja strukturalno-semiotyczna (widać to w sposobach interpretacji metafor, rytmu, instrumentacji głoskowej), ale stara się ją pokazywać aktualnie – w kategoriach retoryki, antropologii śmierci/zamierania, feminizmu

(kobiecej sygnatury) czy też gramatologii (fragmentu, śladu). W każdej interpretacji pyta o ironię, rozumianą – za Schellingiem – jako przełamanie skończoności i nieskończoności, doczesności i nieśmiertelności, cielesności i trwałości bytu. W tym duchu również uwyraźniana jest kategoria wzniosłości, mocno w książce obecna.

Pasaże liryczne są lekturą zajmującą i intelektualnie prowokującą. Uszanowanie mistrzostwa interpretacji nie eliminuje jednak pytań, jakie pojawiają się na marginesie lektury książki. Dlaczego ci poeci, a nie inni? Dlaczego te wiersze, a nie inne? Czy poruszamy się w kręgu tekstów arcydzielnych, zwykłych czy przypadkowych? Ważnych dla poety czy dla historii poezji? Czy łączy je jakiś gest semantyczny inny niż gest osobistego wyboru? A wreszcie: czy sytuują się one w horyzoncie oczekiwań czytelnika współczesnego? To znaczy – nas? Wydaje mi się, że badaczka bardzo precyzyjnie odpowiedziała na te pytania w profesorskiej autocharakterystyce. Zanotowała w niej niebywale ważną, z mojego punktu widzenia, myśl: „można by dokonać mikroanalizy poetyckiej współczesności właśnie w odniesieniu do kategorii wzniosłości, której przeobrażenia i aktualizacje wiele powiadają tak o indywidualnej imaginacji samego twórcy, jak o przemianach kulturowych naszego czasu, w liryce zapisanych” (s. 9).

Innymi słowy: pytając o współczesność, możemy ją zobaczyć w mikroanalizie, w wierszu odczytanym w jego polisemantycznym kształcie, przytwierdzonym do sensu. W tym rozumieniu: wiersz jest dziełem równoważnym wobec innych dzieł, a jego istota tak samo wielka, jak gatunków epickich czy dramatycznych. Mikroanaliza z kolei ma tę samą powagę wykładu dyskursywnego, co analiza czy narracja syntetyczna. Może nawet jej powaga jest wyraźniejsza, bo mocno przytwierdzona do tkanki (pojedynczego) słowa.

Czy da się myślenie mikroanalityczne przełożyć na opis współczesności? Tak kiedyś proponował Michel Foucault w swojej *Archeologii wiedzy*. Tak czyni dzisiaj wielu literaturoznawców, dość wspomnieć dwie odmienne koncepcje mikrologii literackiej Przemysława Czaplńskiego i Aleksandra Nawarckiego. Ze swej strony bardzo bym namawiał badaczkę do podjęcia swojej próby na tym terenie. W naukowej refleksji nad współczesnością Danuta Opacka-Walasek wypracowała bowiem własny styl interpretacji, nie zamknęła się w ramach jakiejś jednej teorii czy metodologicznego dogmatu. Otwarta na literaturę, jest także otwarta na świat poznania.

SPÓR O PLAC WILHELMA SZEWCZYKA W KATOWICACH

Historia w skrócie

- Uchwała Rady Miejskiej z dnia 26 stycznia 1995 r. nadała Placu Dworcowemu imię Wilhelma Szewczyka, a Uchwała Rady Miasta Katowice z dnia 2 marca 2016 r. nadała dotychczasowemu Placu Dworcowemu – nazwę Plac Wilhelma Szewczyka.
- 2 września 2016 r. weszła w życie Ustawa z dnia 1 kwietnia 2016 r. o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego przez nazwy budowli, obiektów i urządzeń użyteczności publicznej (Dz.U. 2016. poz. 744 z dnia 1 czerwca 2016).
- [bez daty] Na oficjalnej stronie internetowej IPN pojawia się informacja podpisana kryptonimem TGKt, że w ocenie IPN Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu nazwa ul. Szewczyka Wilhelma powinna zostać zmieniona jako wypełniająca normę art. 1 Ustawy ([www/ipn.gov.pl/aktualnosci/polityka/zmiany-nazw-ulic/nazwy-do-zmiany/41536,ul.-Szewczyka-Wilhelma](http://www.ipn.gov.pl/aktualnosci/polityka/zmiany-nazw-ulic/nazwy-do-zmiany/41536,ul.-Szewczyka-Wilhelma)).
- 19 września 2017 r. Wojewoda Śląski występuje do Prezydenta Miasta Katowice z prośbą o udzielenie informacji dotyczącej Placu Wilhelma Szewczyka położonego na terenie miasta Katowice z zapytaniem czy plac ten jest drogą publiczną, komu przysługuje prawo własności, kto nadał mu nazwę placu Wilhelma Szewczyka. Prezydent udzielił odpowiedzi w dniu 2 października 2016 r.
- 19 września 2017 r. Rada Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. Ireneusza Opackiego Uniwersytetu Śląskiego podejmuje uchwałę wyrażającą głębokie oburzenie jakością opinii dotyczących grupy polskich pisarzy opublikowanych na oficjalnej stronie IPN.
- 29 września 2017 r. Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego podejmuje uchwałę solidaryzującą się z treścią uchwały powziętej przez Radę Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. I. Opackiego, wskazując iż w wykazie sporządzonym przez IPN znalazło się także nazwisko Wilhelma Szewczyka z wybiórczo dobranymi i zredukowanymi do opisu ideowo politycznego faktami z biografii pisarza.
- 21 listopada 2017 r. Wojewoda Śląski zwraca się z pismem do IPN o wydanie opinii dotyczącej zgodności nazwy Placu Wilhelma Szewczyka z art. 1 w/w Ustawy.
- 22 listopada 2017 r. Wojewoda Śląski kieruje pismo do Prezydenta Miasta Katowice z prośbą o zaproponowanie w terminie trzech dni nowej nazwy dla pl. W. Szewczyka.
- W dniu 13 grudnia 2017 r. doręczona została Wojewodzie Śląskiemu opinia IPN dotycząca postaci Wilhelma Szewczyka.
- 13 grudnia 2017 r. Wojewoda Śląski wydaje zarządzenie zastępcze w sprawie zmiany nazwy placu z dotychczasowej – **Placu Wilhelma Szewczyka** na nową: **Plac Marii i Lecha Kaczyńskich**.
- 14 grudnia 2017 r. – nieudana próba złożenia wniosku o uchwałę Rady Miasta Katowice o skierowaniu skargi do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego skarżącej zarządzenie zastępcze wydane przez Wojewodę Śląskiego w dn. 13 grudnia 2017 r.
- 15 grudnia 2017 r. wysłany został list otwarty Prezydenta Miasta Katowice do Jarosława Wierczoka Wojewody Śląskiego z prośbą o podjęcie ponownie decyzji dotyczącej placu z uwzględnieniem głosu katowiczian.
- 16 grudnia 2017 r. manifestacja sprzeciwu wobec decyzji o zmianie nazwy placu.
- 22 grudnia 2017 r. w czasie spotkania Wojewody Śląskiego z Przewodniczącym Zgromadzenia Górnośląskiej Metropolii dr. Marcinem Krupą dyskutowano o zagadnieniach związanych z dekomunizacją ulic w obrębie Metropolii i w Katowicach.
- 28 grudnia 2017 r. Rada Miasta Katowice podjęła większością głosów Uchwałę w sprawie przekazania do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Gliwicach skargi Rady Miasta Katowice na zarządzenie zastępcze nr NPII. 4131.4.26.2017 Wojewody Śląskiego z dnia 13 grudnia 2017 r. w sprawie zmiany nazwy placu, stwierdzając w uzasadnieniu iż: zarządzenie zastępcze będące aktem prawa miejscowego wydane przez organ administracji publicznej jakim jest wojewoda powinno być konsultowane przed jego wydaniem z organizacjami pozarządowymi oraz organizacjami prowadzącymi, odpowiednio do terytorialnego zakresu działania organów administracji publicznej, działalność pożytku publicznego w zakresie odpowiadającym zadaniom tych organów. Tego obowiązku, zdaniem Rady, nie dopełniono wydając zarządzenie zastępcze, dlatego skarga jest uzasadniona.

Wyciąg z „Dziennika Urzędowego Województwa Śląskiego” z dnia 13 grudnia 2017, poz. 7084:

[...] Wojewoda Śląski realizując wymóg wynikający z art. 2 ust. 1 w zw. z art. 6 ust. 3 ustawy, pismem z dnia 21 listopada 2017 r. Nr NPII. 4100.214.2017 zwrócił się do Instytutu Pamięci Narodowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu o wydanie opinii dotyczącej zgodności nazwy placu Wilhelma Szewczyka w Katowicach z art. 1 ww. ustawy. W dniu 13 grudnia 2017 r. Wojewodzie Śląskiemu została doręczona opinia nr BUW-940-237

(81)/17 wskazująca, że w ocenie Instytutu Pamięci Narodowej nazwa placu Wilhelma Szewczyka w Katowicach jest niezgodna z art. 1 ust. 1 ustawy.

W ww. opinii podniesiono, iż Wilhelm Szewczyk (1916-1991) to publicysta, pisarz, krytyk literacki, działacz partii komunistycznej w okresie PRL, członek wojewódzkich władz PZPR w Katowicach. Urodził się 5 stycznia 1916 r. w Czuchowie. Zadebiutował literacko na łamach czasopisma „Kuźnica” w 1935 r., związanego z ruchem narodowo-radykalnym, którego był zwolennikiem. Od 1939 r. pracował jako kierownik działu literackiego Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach. 10 października 1940 r. został wcielony do Wehrmachtu i służył w 49. batalionie piechoty 158. dywizji, walcząc na froncie wschodnim, gdzie był ranny, i we Francji. Po proteście przeciw przyznaniu przez władze niemieckie Volkslisty nr III, został prawdopodobnie aresztowany 1942 r. i osadzony w więzieniu w Katowicach, skąd wedle własnych relacji zbiegł w trakcie przepustki i do końca wojny ukrywał się na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Po zakończeniu II wojny światowej powrócił do Katowic, gdzie rozpoczął pracę w Wydziale Informacji i Propagandy Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. Do jego zadań w tamtym okresie należało między innymi redagowanie propagandowych materiałów. Po dwóch miesiącach został zatrudniony w Rozgłośni Śląskiej Polskiego Radia. Początkowo związał się politycznie z prokomunistycznym Stronnictwem Demokratycznym. Z rekomendacji tego ugrupowania wszedł w skład Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach (formalnie reprezentował w niej Związek Zawodowy Literatów Polskich). W czerwcu 1947 r. wstąpił do komunistycznej PPR. W latach 1945-1950 Wilhelm Szewczyk był redaktorem naczelnym tygodnika „Odra”. W latach 1947-1951 sprawował także funkcję kierownika literackiego Teatru Śląskiego w Katowicach. 22 grudnia 1949 r. został wydalony (tymczasowo) z PZPR w ramach akcji czyszczenia partii z przedwojennej inteligencji i działaczy endeckich. W pierwszej połowie lat 50. Wilhelm Szewczyk był inwigilowany przez UB jako „reakcjonista”, „klerykał”, „nacjonalista” oraz „separatysta śląski”. W listopadzie 1956 r. zapadła ostateczna decyzja o zaniechaniu jego rozpracowania. Aparat bezpieczeństwa uznał bowiem, że był w pełni „lojalny wobec ustroju”. Nie przeszkadza-

ło to w pełnieniu przez niego w latach 1952-1956 funkcji dyrektora Studium Teatralnego w Katowicach. Współpracował też stale z pismem kulturalnym o socrealistycznym profilu – „Śląskiem Literackim”. Następnie był redaktorem naczelnym czasopisma „Przemiany” (1956-1957), należącego do nurtu popaździernikowej „odwilży”, a po jego likwidacji redaktorem działu kultury w organie KW PZPR w Katowicach – „Trybunie Robotniczej” (1957-1961). Wreszcie jako redaktor naczelny kierował dwutygodnikiem kulturalnym „Poglądy” (1962-1983), zajmującym proreżimowe stanowisko w kwestiach polityczno-kulturalnych. Od 28 marca 1960 r. ponownie został działaczem PZPR. Od 5 marca 1971 r. był członkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, a w latach 1980-1981 członkiem Egzekutywy KW PZPR w Katowicach. Z ramienia PZPR zasiadał także w sumie przez ponad dwadzieścia lat w Sejmie PRL: w latach 1957-1965 oraz 1969-1985 (II, III, V, VI, VII i VIII kadencja). W wyborach czerwcowych 1989 r. bezskutecznie startował do Senatu jako kandydat formalnie niezależny, w rzeczywistości popierany przez PZPR.

Wojewoda Śląski w pełni podziela i przyjmuje wnioski płynące z ww. opinii, uznając konieczność zmiany nazwy Placu Wilhelma Szewczyka, jako sprzecznej z art. 1 ust. 1 ustawy.

Wojewoda Śląski pismem z dnia 22 listopada 2017 r. Nr NPII.4100.214.2017 zwrócił się do Prezydenta Miasta Katowice z prośbą o podanie propozycji nowej nazwy ww. placu, adekwatnej do nazw ulic, które położone są w najbliższej okolicy, jednakże nie złożono żadnej propozycji.

W tej sytuacji Wojewoda Śląski postanawia o zmianie nazwy Placu Wilhelma Szewczyka położonego na terenie Miasta Katowice na nazwę „**Marii i Lecha Kaczyńskich**”.

Wyciąg z Uchwały Rady Miasta Katowice nr LI/1042/17 z dnia 28 grudnia 2017 r. w sprawie wniesienia do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Gliwicach skargi Rady Miasta Katowice na zarządzenie zastępcze Wojewody Śląskiego nr NPII.4131.4.26.2017 w sprawie zmiany nazwy placu:

Zarządzenie powyższe zostało wydane z naruszeniem ustawy z dnia 24 kwietnia 2003 r. o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie

(Dz.U. z 2016 r., poz. 1817 z późn. zm.). Zarządzenia zastępcze wojewody zastępujące akty prawa miejscowego rady gminy stanowią specyficzne akty o niedolnym charakterze – akty nadzoru nad samorządem terytorialnym, a jednocześnie powszechnie obowiązujące akty prawa miejscowego [...].

Zgodnie z art. 5 ust. 1 ustawy z dnia 24 kwietnia 2003 r. o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie, organy administracji publicznej prowadzą działalność w sferze zadań publicznych, o której mowa w art. 4, we współpracy z organizacjami pozarządowymi oraz podmiotami wymienionymi w art. 3 ust. 3, prowadzającymi, odpowiednio do terytorialnego zakresu działania organów administracji publicznej, działalność pożytku publicznego w zakresie odpowiadającym zadaniom tych organów. Zgodnie z ust. 2 pkt 3 tegoż artykułu współpraca, o której mowa w ust. 1, odbywa się w formie konsultowania z organizacjami pozarządowymi oraz podmiotami wymienionymi w art. 3 ust. 3 projektów aktów normatywnych w dziedzinach dotyczących działalności statutowej tych organizacji. Zarządzenie zastępcze będące aktem prawa miejscowego wydane przez organ administracji publicznej jakim jest wojewoda powinno więc być konsultowane przed jego wydaniem z organizacjami pozarządowymi oraz podmiotami wymienionymi w art. 3 ust. 3 wyżej cyt. ustawy.

Na marginesie należy wziąć pod uwagę, że w październiku 2017 roku na terenie Miasta Katowice doszło do zmiany nazwy sześciu ulic zgodnie z zapisami ustawy dekomunizacyjnej i za każdym razem zmiany te były konsultowane z mieszkańcami Katowic oraz organizacjami pozarządowymi działającymi na terenie miasta. Informacje o tym, że zapisy ustawy dekomunizacyjnej dotyczą również osoby Wilhelma Szewczyka – którego nazwisko nie widniało wcześniej na ogólnodostępnej stronie internetowej Instytutu Pamięci Narodowej – Prezydent Miasta Katowice powziął dopiero w drugiej połowie września 2017 roku, to jest podczas trwania konsultacji zmiany nazw ww. ulic. Tym samym brak było możliwości zapytania o opinię mieszkańców Katowic oraz organizacji pozarządowych odnośnie zmiany nazwy, a należy podkreślić że opinia katowiczian oraz organizacji działających na terenie Miasta dotycząca placu położonego de facto w sercu ponad dwumilionowej metropolii jest dla Prezydenta Miasta kluczowa.

Śląskie tajemnice

cz. 1

W cieniu rożnowskiej piramidy

Fascynujących i owianych atmosferą niesamowitości miejsc jest w naszym regionie wiele. By się o tym przekonać, wystarczy zjechać ze starej trasy wiodącej z Wrocławia na Śląsk, piętnaście kilometrów od Kluczborka, by w małej sennie wsi Rożnów spotkać ruiny XIX-wiecznego pałacu wzniesionego najprawdopodobniej przez Dorotheusa von Gladis. Jest to neogotycki obiekt wybudowany na planie prostokąta przez znanego ówczesnie architekta Carla Johanna Lüdecke.

Ten piękny pałac bogato zdobiony w liczne ryzalitty, wykusze i lukarny niezmienne służył kolejnym właścicielom tych ziem. Do najbardziej znamienitych z całą pewnością zaliczyć należy czeską linię rodu von Ebenów (do śląskiej linii tego rodu należał między innymi zamek Grodno).

Lata wojenne, a zwłaszcza rok 1945, jakże okrutne dla tego typu obiektów, z pałacem w Rożnowie obeszły się akurat łaskawie. Podczas gdy inne tego typu rezydencje na Śląsku zostały rozgrabione i spalone; ten w zasadzie wyszedł bez szwanku. Po wyzwoleniu tych ziem został wraz zabudowaniami folwarcznymi wchłonięty przez miejscowy PGR, jednak przekształcony na biura i mieszkania pracownicze, niewłaściwie użytkowany popadł w ruinę. Podobny los spotkał wie-

le pałaców i dawnych rezydencji, jednak w tej opowieści tragizmu dodaje fakt, iż Rożnów jest miejscem wyjątkowym, ponieważ członkowie rodziny von Eben postanowili wybudować w nim mauzoleum – lecz mauzoleum wyjątkowe i jedyne w swoim rodzaju.

Być może pod wpływem ówczesnie panującej mody na orient generał brygady Fryderyk von Eben und Brunnen wzniósł tu monumentalny grobowiec wzorowany na egipskich piramidach dla ojca, pruskiego generała Gustawa Adolfa Augusta. Projekt został powierzony Carlowi Langhausowi, pruskiemu architektowi doby klasycyzmu, który zaprojektował też Bramę Brandenburską.

Kto pierwszy spoczął w grobowcu trudno – dziś dociekać. Z całą pewnością pierwotnie miał być to grobowiec dla najbliższych członków rodziny generała. Wybudowany obok kościoła, miał zapewnić wieczny spokój zmarłym arystokratom, a także świadczyć o majestacie pochowanych w nim osób.

Krystian von Möhring, generał jazdy konnej, spoczął ponoć tam pierwszy. Zmarł przed wybudowaniem grobowca. Żona generała przeniosła tam jego ciało w 1780 roku, spełniając tym samym jego ostatnią wolę. Zaciekawiona dalszymi pochówkami w tym mauzoleum ustaliłam, że kolejnymi osobami, które

zostały pochowane w grobowcu były: wdowa po generale Anna von Möhring, ur. Raskowsky (zmarła w 1782), Goodman Gottfried Friedrich von Eben i Brunnen, jego wuj (zmarły w 1785), kapitan Hans Adolf von Eben i Brunnen; jego ojciec (zmarł w 1789), porucznik generalny Freiherr Carl Adolf August von Eben i Brunnen (zmarł w 1800), a w końcu także sam budowniczy piramidy, Carl Langhaus (zmarły w 1800).

Łącznie w mauzoleum spoczęło 28 osób. Dziesięciometrowa piramida ze ściętym stożkiem spełniła swe zadanie. Ciała pochowanych w niej osób zachowały się w bardzo dobrym stanie. Znajdowano tu odwołania do Horusa, egipskiego boga nieba, którego oczy miały symbolizować odrodzenie. Prawe oko to słońce, które symbolizowało przyszłość, zaś lewe to księżyc – przeszłość. Z całą pewnością staroegipskie wierzenia nie sprawdziły się jednak w Rożnowie. Chociaż piramida wybudowana na wzór tych z Egiptu miała zapewnić wieczny spoczynek, spokoju pochowanym nie dała.

Pierwszy raz została splądrowana przez żołnierzy radzieckich w 1945 roku. Nietypowy grobowiec wzbudzał fascynację i nie zawsze zdrową ciekawość kolejnych przybywających na te ziemie przyjezdnych. Przyciągał kolejnych domorosłych poszukiwaczy skarbów, którzy oczyma wyobraźni widzieli niezmiernie bogactwa czekające na nich w piramidzie, a potem, zawiedzeni ich brakiem, wyładowywali frustrację niszcząc detale budowli. Z biegiem lat do amatorów skarbów dołączyli pospolicci wandy, przyczyniając się do destrukcji unikatowego obiektu.

Jedni i drudzy wylamywali drzwi i dostawali się przed oblicze Horusa. Dochodziło do aktów bezczeszczenia zwłok pochowanych w grobowcu. W 2005 krypta została w końcu uporządkowana przez archeologów, a drzwi zamknięte na gruby łańcuch i dużą patentową kłódkę. Jeszcze dwa lata temu, gdy byłam w Rożnowie wrota krypty były zabezpieczone w ten sposób. Zamknięcie najwyraźniej okazało się za słabe. Kolejny raz do piramidy ktoś się włamał, obecnie zamknięcie jest raczej symboliczne. Po dziś dzień, pomimo że grobowiec wpisany jest na listę zabytków pozostaje w opłakanym stanie, i nadal nie doczekał się nawet zamknięcia z prawdziwego zdarzenia.

Smutne to – bo przy odrobinie dobrej woli wraz z pałacem mógłby stać się jedną z wielkich i niespotykanych atrakcji Opolszczyzny.

Tekst i zdjęcia:
JULIA MONTEWSKA

Regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Tropiciel Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.

Śląskie pałace

Porzucone, zniszczone przez czas i ludzi, rozsiane po terenie całego Śląska. Miały symbolizować chwałę i majestat swoich dawnych właścicieli, były rezydencjami stylizowanymi przez najlepszych architektów. Bogato zdobione odzwierciedlały epokę, w której zostały wybudowane, ale pomimo wielu form cechowało je jedno – były uosobieniem dobrobytu i dostatku.

Niektóre zostały wyremontowane, duża część znalazła sponsora z sercem, który dał im drugą młodość. Przebudowane na hotele, pensjonaty, siedziby firm, biurowce – dostosowane do wymogów XXI wieku cieszą oczy turystów, ukazując swe piękno i kunszt dawnych architektów.

Są i takie, o których się nie wspomina, lub nawet nie pamięta. Ich historię przykrył kurz minionych wieków; porzucone i zapomniane toną w mrokach dziejów. Kilka lat temu postanowiłam je dokumentować. Z mapą i aparatem w ręku przemierzam Polskę w poszukiwaniu ruin dawnych rezydencji, dworów i zamków, komponując swoiste requiem dla umierających zabytków.

Warto zatrzymać się na kilka chwil by w zadumie spacerując po malowniczych ruinach pałaców przypomnieć ich historię. Historię, której nie dostrzegamy, skrywa się bowiem na uboczu i nieśmiało zerka w naszą stronę z ze zdziwiałych chaszcz, które kiedyś były pięknymi założeniami parkowymi. Po niektórych kryjących się wśród drzew obiektach wkrótce nie będzie śladu. Spójrzmy więc być może po raz ostatni w ich puste oczodoły wybitych okien, zanim na zawsze zabierze je czas. Niniejszym artykułem rozpoczynamy cykl przybliżający fascynujący świat śląskich pałaców, rezydencji i innych niezwykłych obiektów.



Jubileusz 500-lecia Reformacji obchodzony w roku 2017 stał się okazją do różnorodnych wydarzeń kulturalnych i naukowych, które pozwoliły na nowo – ze współczesnej już perspektywy – zapytać o realne dziedzictwo ruchu reformy Kościoła, za której symboliczny początek uznaje się ogłoszenie przez ks. Marcina Lutra 95 też o odpustach. Po raz pierwszy bowiem okrąglą rocznica początku odnowy (i rozłamu) Kościoła zachodniego obchodzona była w duchu ekumenicznym. Ubiegłoroczny jubileusz przyniósł wydarzenia tak nowe i symboliczne, jak wizyta papieża w szwedzkim Lund, gdzie był gościem Światowej Federacji Luteranckiej, czy wydanie przez pocztę państwa watykańskiego pamiątkowego znaczka pocztowego przedstawiającego Lutra i Melanchtona u stóp Ukrzyżowanego – będącego reprodukcją obrazu z portalu kościoła zamkowego w Wittenberdze. Można powiedzieć, że rok jubileuszu przyniósł nowe, świeże spojrzenie na dziedzictwo i współczesność Reformacji.

Rola Śląska w historycznej Reformacji XVI wieku jest niezwykle ważna, zaś kolejne wieki, w których zmieniały się realia polityczne, narodowe, językowe i religijne, sprawiły, że Reformacja pozostawiła na śląskiej ziemi ślad ważny, trwały i ciągle żywy. Na Śląsku (rozumianym szeroko) obecne są dziś bardzo różne kultury pamięci o Reformacji – z jednej strony Śląsk Cieszyński pozostaje od stuleci najważniejszym ośrodkiem ewangelickim, symbolizowanym przez Kościół Jezusowy – matkę śląskich kościołów tradycji luteranckiej, z drugiej strony inne części Śląska doświadczyły radykalnego zerwania pamięci religijnej i kulturowej. Zwłaszcza XX wiek na Dolnym Śląsku oznaczał w istocie zerwanie po 1945 roku ciągłości kulturowej, religijnej i tożsamościowej – i przetrwanie jedynie niewielkich enklaw ewangelickich, funkcjonujących w warunkach diaspory. W tym sensie lokalne wydarzenia jubileuszu Reformacji pozwalały wydobyć z pamięci to, co zapomniane (czasem siłą wyparte z pamięci), oraz zobaczyć w nowym ujęciu to, co trwa nieprzerwanie i kształtuje współczesność religijną i kulturową poszczególnych części Śląska.

Ciekawą inicjatywą była zorganizowana w Bielsku-Białej przez Wydział Humanistyczno-Społeczny Akademii Techniczno-Humanistycznej oraz Muzeum Historyczne konferencja naukowa, która odbyła się w dniach 17-18 października 2017 roku. Jej tytuł – *Reformacja – z perspektywy Bielska i Białej* – wyraźnie wskazał, że punktem odniesienia refleksji prelegentów będzie miasto, które (co warto dodać), jako jedyne w dzisiejszej Polsce posiada pomnik Marcina Lutra. Inaczej bowiem niż w przypadku Cieszyna i okolic – reformacja w Bielsku i Białej miała przede wszystkim charakter mieszczkański, niemiecki (a nie jak na Śląsku Cieszyńskim często propolski). Wewnętrzna dynamika dwóch miast nad Białą zupełnie inaczej kształtowała tradycję luterancką. To bogactwo doświadczeń historycznych (zwłaszcza w przypadku Bielska, które w XVI wieku postrzegane było jako śląska kolebka reformacji) w konsekwencji zmian politycznych i niemal całkowitej wymiany mieszkańców miasta po II wojnie światowej dziś bywa zapomniane, a bywało, że w niedawnej przeszłości było świadomie wypierane z pamięci zbiorowej. Bielsko-Biała wciąż pozostaje miastem, w którym zarówno pamięć, jak i tożsamość współczesnych mieszkańców jest często wynikiem zerwania organicznych więzów religijnych i kulturowych i braku realnego zakorzenienia w historycznej przestrzeni kulturowej.

Wystąpienia uczestników konferencji ułożyły się w trzy bloki tematyczne (religijny, ko-

Reformacja z perspektywy Bielska i Białej

biecy i społeczno-kulturowy), z których dwa pierwsze zostały zaprezentowane 17 października na sesji zorganizowanej w Auditorium Maximum w kampusie Akademii Techniczno-Humanistycznej. Po uroczystym otwarciu konferencji przez Rektora ATH, prof. Jarosława Janickiego, oraz dziekana WHS, prof. Marka Bernackiego – swe referaty przedstawił ks. bp Jan Szarek oraz ks. bp Paweł Anweiler z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Oba wystąpienia doskonale zarysowały tło historyczne, teologiczne i polityczne ostatnich 500 lat. W swej prezentacji *Od kontrreformacji do ekumenizmu* bp Szarek ukazał drogę, jaką przeszły Kościoły tradycji luteranckiej i Kościół rzymskokatolicki w ostatnich stuleciach na terenie Śląska, i szerzej, terenów dzisiejszej Polski i Europy Środkowej. Sam biskup, dzięki swojej działalności duszpasterskiej, również współtworzył ów międzywyznaniowy dialog, gdy w 1991 roku witał Jana Pawła II na nabożeństwie ekumenicznym w ewangelickim kościele św. Trójcy w Warszawie. Dzięki osobistym wspomnieniom wystąpienie nie było jedynie prezentacją historycznych faktów, ale też świadectwem pewnej drogi życia, która prowadziła w stronę nieraz trudnego ekumenicznego dialogu z kościołem większościowym w Polsce. Z kolei referat bp. Pawła Anweilera ukazał drogę, jaką Kościoły czyste teologiczne. Reformacja bowiem zrodziła się jako ruch odnowy o charakterze czysto teologicznym, i nie sposób zrozumieć jej kulturowego oddziaływania bez zrozumienia istoty teologicznych postulatów Reformacji. Bp Anweiler dokonał szczegółowej analizy elementów luteranckiej nauki o usprawiedliwieniu, które znalazły się w przełomowym dla dialogu ekumenicznego dokumencie katolicko-luteranckim: *Deklaracja o usprawiedliwieniu* z 1999 roku. Uzgodnienie teologicznych stanowisk, które przez stulecia dzieliły Kościoły, jak wykazał prelegent, pozwoliły na pełniejszą afirmację postulatów teologicznych Marcina Lutra oraz uznanie, że w najważniejszych kwestiach doktrynalnych (a taką kwestią bez wątpienia jest sprawa usprawiedliwienia „z łaski przez wiarę” i roli „dobrych uczynków”) Kościoły osiągnęły, po stuleciach konfrontacji, w zasadzie pełen konsensus. Ostatnim wystąpieniem pierwszego bloku była prezentacja historii sztuki prof. Ewy Chojeckiej – wybitnej znawczynie miasta Bielska-Białej z jego dziedzictwem architektonicznym, urbanistycznym i kulturowym – poświęcona luteranickiemu „centrum” miasta – Bielskiemu Syjonowi. W ujęciu prof. Chojeckiej historia tego miejsca – z centralnym punktem symbolicznym, tzw. studnią pastorów – stanowi wartość samą w sobie. Starając się jednak o odzyskanie i przywrócenie historycznej pamięci miasta, trzeba też mieć na uwadze, w jaki sposób monument upamiętniający luterancką przeszłość bielskiego Syjonu wpisuje się w jego dzisiejsze życie oraz jak funkcjonuje w urbanistycznej i kulturowej tkance współczesnego miasta.

W popołudniowej sesji głos zabrały trzy prelegentki – diakon Aleksandra Blahut-Kowalczyk, dr hab. Grażyna Kubica-Heller oraz dr hab. Aleksandra Banot. Wspólnym mianownikiem wszystkich wystąpień była obecność i aktywność kobiet ewangeliczek na Górnym Śląsku. Pierwsze wystąpienie poświęcone było wybitnej i w pewnym sensie kluczowej postaci cieszyńskiego ruchu reformacyjnego – księżnej Katarzynie Sydonii (1550-1594). Grażyna Kubica-Heller, autorka świetnego opracowania *Śląskość i protestantyzm* (2011), skupiła się na działalności kobiet-ewangeliczek zarówno w obszarze działań społecznych i dobroczynnych, jak i kulturalnych i literackich przełomu XIX i XX wieku – odkrywając postaci, które nieraz zupełnie zostały wyparte z pamięci polskiego Śląska. Uzupełnieniem obrazu kobiet ewangeliczek był referat Aleksandry Banot, która skupiła się na działaczkach ewangelickich Śląska Cieszyńskiego w dobie emancypacji.

18 października uczestnicy konferencji przenieśli się do Zamku Sułkowskich, gdzie wygłoszone zostały referaty szczegółowo prezentujące historię reformacji w Bielsku i okolicach, wpływ ewangelików na rozwój miast nad rzeką Białą i dzieła sztuki, które pozostają trwałym świadectwem tej historii w dzisiejszym mieście. Bożena i Bogusław Chorąży zaprezentowali referat: *Wiedza spod ziemi. Okres reformacji w zabytkach archeologicznych odkrytych na terenie miasta i zamku w Bielsku*, Bartłomiej Jurzak przypomniał dzieje chłopów-kalwinów z małopolskiej wsi Kozy pod Białą w wiekach XVI-XIX, zaś Piotr Kenig opowiedział o *Ewangelickich pionierach industrializacji w włókiennictwie Bielska-Białej w latach 1760-1873*. Na zakończenie trzeciego bloku referatów swe prezentacje przedstawiły: Teresa Dudek-Bujarek, która przybliżyła malarstwo Petera Michała Bohúna – w szczególności jego wizerunki Najświętszego Serca Jezusa z kościołów w Bielsku i okolicach, oraz Kinga Kawczak, która opowiedziała o zbiorach malarstwa niderlandzkiego w zbiorach Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej.

Bielsko-bialskiej konferencji poświęconej jubileuszowi Reformacji towarzyszyły dodatkowe wydarzenia: wieczorem 17 października w kościele ewangelicko-augsburskim pw. Jana Chrzciciela w Starym Bielsku odbył się koncert muzyki śląskich kompozytorów ewangelickich – m.in. Fritza Lubricha i Jana Gawłasa w doskonałym wykonaniu organisty z Akademii Muzycznej w Katowicach Tomasz Płoch. Na zakończenie drugiego dnia konferencji uczestnicy mieli dodatkowo okazję zwiedzić pod opieką kuratorów – Grzegorza Madeja i Piotra Kenig wystawę *Pod znakiem róży nad Białą* w Muzeum Historycznym.

Trwałym owocem konferencji będzie książka zawierająca wszystkie wystąpienia prelegentów, której wydanie planowane jest na rok 2018.

BARBARA DONIEC

SUKNIE OFELII

grudzień

łapie za nogi jak wnyki
 podchodzi do żołądka
 zaciska gardło
 wżera w mózg
 krzyk ciszą
 ciała nie ma
 i ulga że już
 nic nie musisz

styczeń

tyle brudów
 skrawków strzępów
 uciekają anioły
 poczerniały skrzydła
 pięknieją demony

luty

potrzaskane cienie w lustrze
 wykrzywione rysy
 twarz w ciszy słów
 sama przeciw sobie
 patrzy jak nóż na sztorc
 prosto w pierś dźgnąć

marzec

chwieją się obrazy
 wypadają gwoździe
 krew na palcach
 sine żyły na ręce
 jeszcze trzymają
 wzdęte na wodzie
 jasne suknie Ofelii

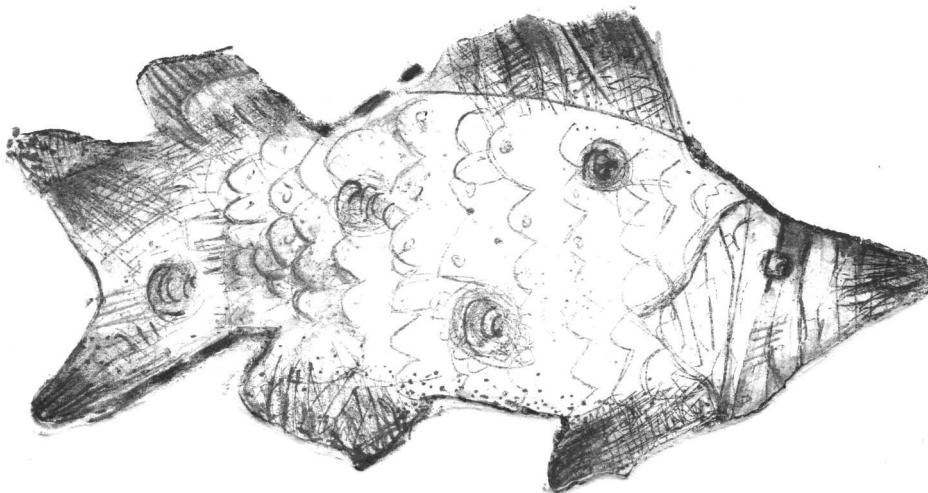
kwiecień

słowa jak pijawki
 pęcznieją na końcu języka
 puls przyspiesza
 sto sześćdziesiąt
 wyrywa serce
 coraz mocniej
 przyciskam poduszkę
 na białym płótnie
 rośnie plama

maj

kurz na meblach
 nieczytane gazety
 niewidziane filmy
 krążę po mieszkaniu
 jakbym płynęła
 rzeką przez pustynię
 z głową pod kołdrą
 marzę by usnąć

Rys. Maria Korusiewicz



czerwiec

łykam tabletki
popijam wodą
zatrząskuję dzień
jak wieko
jak Julia
zapadam w sen

lipiec

trzymając serce
coraz bardziej
pogrążam się w ciszy
łykam tabletki
patrzę w sufit
trzymając serce

sierpień

wdech jak ukłucie
spierzchnięte usta
przełykam ślinę
w gardle wciąż sucho
myśl jak pasożyt
zagnieżdża się
rozrasta pożera

wrzesień

dziewięć miesięcy
czarna dziura
nade mną
czas jak piekło
dusza błędny ogień
po mokradłach
błąka się zgubiona

październik

drapię rany
szarpnię gryzę
krwią się sycę
obłąkana pójdę
gdzie wiatr fale
jak kołyskę popycha

listopad

wąż we mnie się zwija
obmyśla odwet
niczym grzech
w koszmarnym śnie
nogę za nogą
wyciągam z błota
żując zemstę jak piołun
w lśniącym papierku

grudzień

wracając do
tamtych miesięcy
poddaję się torturom
zwijam z bólu
z głową na pieńku
jestem katem
odrąbać myśli
jak zgniłe ciało
losowi na złość
zmorom na pohybel

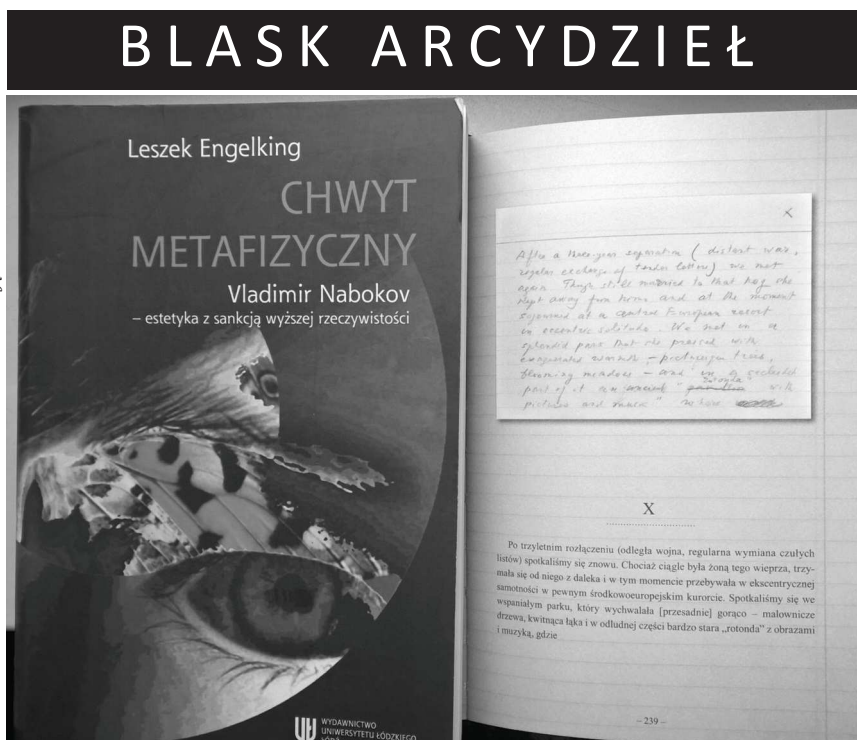
20007-2008



Rys. Maria Korusiewicz

BLASK ARCYDZIEŁ

Zajęcia: Jaromir Paszek



Blask Bładego płomienia

JERZY PASZEK

Siedem lat po opublikowaniu sławnej i osławionej *Lolity* ukazała się następna arcydzielna powieść Vladimira Nabokova pod dzwicznym tytułem *Pale Fire* (1962; tu cytuję 17. wydanie, New York 1985, z serii „A Berkeley Book”). Tytuł ten sprawia czytelnikowi, komentatorom i tłumaczom sporo kłopotu, gdyż jest cytatem z dzieła Szekspira, wskazywanym wielokrotnie w tekście utworu, ale z różnymi adresami czy destynacjami (by użyć modnego słówka; Nabokov lubuje się w wyzyskiwaniu bardzo rzadkich wyrazów, o czym czytelnik szybko i boleśnie może się przekonać!). Po polsku rozkoszujemy się tą intrygującą narracją w dwu tłumaczeniach: Roberta Stillera (*Blady ogień*, Warszawa 1994) oraz Macieja Kłobukowskiego (*Blady płomień*, Warszawa 1998). Pierwszy przekład zawiera przypisy tłumacza (s. 347-394), natomiast w drugim mamy znakomite przetransponowanie 1000-wersowego poematu fikcyjnego poety Johna Francisca Shade’a (nazwisko znaczące, bo to m.in. ‘cień’, ‘ustronie’, ‘abażur’, ‘roleta, stora’, ‘piwnica na wino’; wszystkie te niuanse semantyczne będą uruchamiane w fabule powieści!) przez Stanisława Barańczaka: rymowany *Blady ogień* mieści się tu na stronicach 27-62, a reszta, prawie 300 stronic, należy do autora przedmowy, komentarza i indeksu, czyli Charlesa Kinbote’a. Dr Kinbote był są-

siadem Shade’a i po śmierci poety został nieoczekiwanie dla innych filologów właścicielem rękopisu, składającego się z 92 fiszek, na których autor w sposób systematyczny i ściśle symetryczny utrwalił 4 pieśni (część pierwsza i ostatnia liczą po 166 wersów na 13 fiszkach, części środkowe mają po 334 wersy na 27 fiszkach; razem: 80 fiszek); pozostałe 12 fiszek – to warianty i bruliony, zapewne wymyślone przez niezrównoważonego psychicznie Kinbote’a; wygląd takich kart można podziwiać w pośmiertnej książce Nabokova *Oryginał Laury. (Umieranie to świetna zabawa)*, przełożonej przez Leszka Engelkinga (Warszawa 2010).

Chory komentator uważa, że jest w istocie Karolem Xawerem Wseslawem, ostatnim królem Zembli, rządzącym w latach 1936-1958 państwem, które sąsiaduje z komunistyczną Rosją. Po ucieczce z kraju (ściga go organizacja rewolucjonistów pod nazwą Cienie) mieszka w USA i pracuje na uniwersytecie. Komentarze pisze w ustronnym miejscu, które nazywa jaskinią Tymona (aluzja do dramatu Szekspira *Tymon Ateńczyk*). Czytelnikowi poematu radzi sprawdzić, czy w *Burzy* stratfordczyka nie ukrywa się fraza „blady ogień” (sugestia pojawia się dopiero w indeksie!). Ale w tekście dziwnego komentarza jest podpowiedź: oto w swej jaskini (w rzeczy-

wistości jest to nowoczesny domek wczasowy w Cedarn, Utana) ma Charles zembłańską wersję dramatu o Tymonie, z której cytuje w swoim tłumaczeniu na angielski fragment o świetle słonecznym i poświęcie księżycowej: „Księżyc to złodziej: rabuje / Słońcu swą srebrną poświatę” (*Blady płomień*, s. 70; w oryginale: „silvery light”). Otóż w *Tymonie Ateńczyku* w wersji napisanej przez Szekspira tekst brzmi nieco inaczej: „the moon’s an arrant thief, / And her pale fire she snatches from the sun” (cyt. za: L. Engelking: *Chwył metafizyczny. Vladimir Nabokov – estetyka z sankcją wyższej rzeczywistości*. Łódź 2011, s. 336, podkr. J.P.).

Zależnie od polskiego tłumacza dzieł Szekspira, cytowany wyimek może przybierać różne kształty. Pięć lat przed publikacją *Bładego ognia* Engelking w libelli *Vladimir Nabokov* (Warszawa 1989, s. 77) powołał się na translację Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, w której interesujące nas wersy oddano tak: „bezczelnym złodziejem jest księżyc, / Który swój **blady blask** wydzieira słońcu” (podkr. L.E.). Stąd wedle Engelkinga tytuł powieści Nabokova powinien po polsku brzmieć *Blady blask*. Stiller – nie biorący pod uwagę sugestii Kinbote’a – uważa, iż Nabokov i Shade nie cytują *Tymona Ateńczyka*, lecz *Hamleta*. Chodzi mu o I akt, 5. scenę, 90. wers („And ‘gins to pale his uneffectual fire” – świetlik ‘zaczyna przyćmiewać swój nieskuteczny ogień”; podkr. J.P.). Kończy swoje wywody zdaniem: „Tak więc próby tłumaczenia *Blady blask* albo *Blady płomień* dowodzą tylko, że piszący tak nie czytali uważnie książki” (*Blady ogień*, s. 347). Ironia losu tkwi w tym, iż to Stiller nie ma racji, gdyż głównym tematem powieści Nabokova jest kwestia własności dzieła literackiego, roli redaktorów, doradców i cenzorów, sprawa plagiatów i naśladownictw, w skrócie: złodziejstwo wytworów pracy umysłowej. Kinbote wprost sugeruje (w indeksie!), że bał się wyjazdu Shade’a, „zanim ukończy ich **wspólny** utwór” (*Blady płomień*, s. 314, podkr. J.P.). We wstępnych uwagach pisał zaś wprost, że poprawki, jakie proponował autorowi, były lepsze niż wersy, wychodzące spod pióra poety: „Wiele z nich ma w pewnym sensie o wiele większą wartość artystyczną i historyczną aniżeli niektóre z najlepszych fragmentów wersji końcowej” (*Blady płomień*, s. 11). Zalecał nawet czytelnikom, by najpierw zapoznali się z jego przypisami, a potem dopiero zabierali się do lektury poematu!

Cztery pieśni Shade’a dotyczą tragedii, jaka dotyka rodzinę autora: niezbyt urodziwa córka Jamesa i Sybil, Hazel, popelnia samobójstwo, topiąc się pod lodem jeziora Omega. To sprawia, że chorowity poeta (kłopoty z sercem) zaczyna się intensywnie zajmować kwestiami eschatologii oraz życiem pośmiertnym. Hazel w dzieciństwie miała okres, gdy w jej otoczeniu dochodziło do różnorodnych zdarzeń parapsychicznych (poltergeist). Później w podmiejskiej stodołę badała tajemnicze szумы, skrobanie i fruwanie światła, by na kursie psychologii napisać pracę pod kierunkiem profesora, „gromadzącego materiały do dzieła pod tytułem *Autoneurynologiczne wzorce wśród studentów amerykańskich uniwersytetów*” (*Blady płomień*, s. 182; tytuł jest kalamburem!). Biegające świetliste kółeczko zatrzy-

mywało się niekiedy, gdy Hazel recytowała alfabet. Stąd powstał parapsychologiczny komunikat: „pada ata lane pad not ogo old wart alan ther tale feur far rant lant tal told” (*Pale Fire*, s. 125). Dla Kinbote’a szczyf ten nie ma żadnego znaczenia: „z niewyczerpaną cierpliwością komentatora i z niesmakiem głowiłem się nad kalekami sylabami z raportu Hazel, szukając w nich cienia aluzji do losu nieszczęsnej dziewczyny” (*Blady płomień*, s. 185). A powinien zauważyć trzykrotny zarys słowa „atalanta”, oznaczającego motyla rusalkę admirała: „pada ATA LANE pad noT ogo old wArT ALAN Ther tAle feur fAr rAnT LANT TAL told”; całość w ten sposób zaszyfrowanej informacji dotyczy poety i można ją zrekonstruować następująco: „ojciec (*pa, da, padre*) nie powinien przechodzić przez uliczkę do starego Goldswortha (*old wart*), kiedy motyl *atalanta* tańczy obok, po tym jak ukończy *Blady ogień* (*tale feur*) na zaproszenie kogoś z obcego kraju, kto mu opowiedział, a nawet z patosem wygłosił (*rant*) swą niesłychaną (*tal – tall*) historię” (*Chwył metafizyczny*, s. 343-344).

Zobaczmy, co się dzieje w chwili śmierci poety, idącego z Kinbote’em do domu sędziego Goldswortha, gdzie mieszka teraz Charles: „Minutę przed tym, nim zginął, kiedy idąc z jego posiadłości do mojej zaczęliśmy piąć się ścieżką między jałowcami i krzewami ozdobnymi, motyl z gatunku czerwonych admiracji (zob. przypis do wersetu 269 [gdzie cytat z wiersza Swifta: „Gdy spojrz! – *Vanessa*, kwiat rozkwitły, / Sunie jak gwiazda *Atalanty*”]) nadleciał zataczając się i jął wirować wokół nas niby barwny płomień” (*Blady płomień*, s. 288-289, 167). Nabokov obdarza swoich bohaterów własną pasją lepidopterologiczną, więc i czytelnik musi pamiętać, że rusalka admirał to po łacinie *Vanessa atalanta*, a nawet wiedzieć z mitologii greckiej, iż *Atalanta* była córką króla Arkadii (co łatwo sprawdzić w *Słowniku mitologicznym* Alojzego Osieńskiego lub w *Małej encyklopedii kultury antycznej*), bo właśnie Arkadią była nazywana dzielnica, gdzie mieszkali Kinbote i Shade! Charles meandruje o tunelu, który wyprowadził go z „zakłętą zamku i dalej, prosto z Zembla aż do **tutejszej** [podkr. V.N.] Arkadii” (*Blady płomień*, s. 294). A jeśli podjęto już motyw arkadyjski, to trzeba od razu myśleć o haśle *Et in Arcadia ego*, czyli o śmierci (zob. s. 169; toż s. 234).

Poeta, pracując w Instytucie Pośmiertnej Harmonii, po jednym z odczytów (temat: *Rola poezji w dobie upadku wartości*) ma zawał serca: „Serce stanęło we mnie i po jakimś czasie / Dopiero – dobre kilka chwil musiało minąć – / Ruszyło ciężko dalej swoją koleiną / Ku bardziej ostatecznej mecie [...] Żadnym żalem czy protestem / Nie tętniła aorta [...] I – groźnie wyraźna na tle / Mroku – tryskała smukła biel fontanny” (ibidem, s. 51-52). Po pewnym czasie Shade przeczytał relację pani Z., która przeżywszy własną śmierć, tak oto opisywała swoje wrażenia: „A dalej, przez coś jakby dym, zamajaczyła / Biel wysokiej fontanny. Wtedy się zbudziłam” (ibidem, s. 53). Ojciec Hazel pojechał do dziennikarza Coatesa, który cytował słowa uratowanej: „wyjął ze stalowej szafki swój artykuł: / ‘Cy-



tuję wiernie, tak jak stało w notatniku; / W druku trafił się tylko ten błąd: **fountain** zamiast / **Mountain**. Też wzniośle, chociaż rzecz nie taka sama”. // Więc nie fontanna – góra! Żywoć Wiekuisty – / I byk drukarski!” (ibidem, s. 55, podkr. V.N.).

Literówka (*fountain – mountain*) podcina wiarę poety w szczęśliwe życie pośmiertne, gdy będzie można porozmawiać i z Arystotelesem, i Zolą (by pozostać przy ulubionych grach alfabetycznych Nabokova; przykładowo, sędzia Goldsworth miał córki o imionach: Alpha – lat 9, Betty – 10, Candida – 12 i Dee – 14). Pozostawiony mu czas postanawia poświęcić badaniom estetycznym („Od tej chwili chcę śledzić piękno, jak nikt jeszcze / Nie śledził”, ibidem, s. 57; a w tym ujawnić magiczną więź dźwięku i wdzięku leksyki!) i studiom przyrody, dzięki czemu rozpozna bezbłędnie motyla, pojawiającego się – tuż przed jego śmiercią – przed domem: „Ciemna *Vanessa* z pręgą szkarłatu w poblasku / Słońca kołuje chwilę, osiada na piasku: / Atramentowe czubki jej skrzydeł biel skrapia” (ibidem, s. 62).

Sam tytuł powieści, zaczerpnięty od Szekspira (*Tymon Ateńczyk*), potwierdzony jest przez Shade’a w jego poemacie („Pomóż, W. Sh.! *Blady ogień*” – wers 962.), i wyzyskany w tym razem rozsądnej samoocenie Kinbote’a („Ponownie przeczytałem, nie bez przyjemności, swoje glossy do utworu Shade’a i w wielu miejscach złapałem się na tym, że pożyczam od **ognistej planety** mego wieszczą coś w rodzaju **opalizującej światłości** i nieświadomie małpuję prozę jego własnych tekstów krytycznych”, ibidem, s. 72, podkr. J.P.). Zresztą ta metafora nadaje się do charakterystyki scen erotycznych (w Zembla „Książę [czytaj: Kinbote!] igrał z błahymi mrzonkami, takimi jak ta, żeby wstać i polawszy odrobiną zimnej wody z karafki ramię Fleur [elegancka dama dworu] zgasić lśniący na nim **blady blask księżycy**”, ibidem, s. 104-105, podkr. J.P.), ale i do dyskursu religijnego, w którym Kinbote chce przekonać Shade’a do nieodrzućcia wiary: „O ilek bardziej inteligentnie – nawet z punktu widzenia dumnego niedowiarka! – postępuje ten, kto akceptuje Bożą Obecność, zrazu zaledwie słabą **fosforescencją, blade światło** w półmroku cielesnego życia, za to potem – **ośniewającą światłość!**” (ibidem, s. 224, podkr. J.P.). Komentator potrafi przy pomocy na-

wiązania do tytułu poematu jeszcze raz wyznać, iż wywarł jednak – bodaj najmniejszy – wpływ na dzieło sąsiada: „Mój komentarz do poematu [...] stanowi próbę wyłowienia tych ech i drobniutkich fal **ognia, bladych fosforyzujących** aluzji i wszelkich innych długów podświadomie u mnie zaciągniętych” (ibidem, s. 297, podkr. J.P.).

Uważam, że miarą sukcesu *Pale Fire* są ukryte cytowania tej powieści we współczesnej literaturze krytycznej bądź satyrycznej. Dysponuję dwoma takimi świadectwami. Gerard Genette w znakomitej książce *Palimpsesty* VII rozdział zamyka antycypacją treści następujących części tej monografii: „na końcu (rozdziały XL-LXXX) zajmujemy się praktyką transpozycji, implikującą o wiele bogatszy zestaw operacji technicznych oraz wyposażenia literackiego; wtedy nadejdzie czas na sformułowanie konkluzji i odłożenie narzędzi, **gdyż o tej porze nocie bywają chłodne**” (G. Genette: *Palimpsesty. Literatura drugiego stopnia*, przeł. T. Strzyński i A. Milecki, Gdańsk 2014, s. 37, podkr. J.P.). Podkreślona fraza jest dowodem dystansu Francuza do siebie, bo przecież jawnie nawiązuje do stylu Kinbote’a, opierającego się na zabawnych wtrętach, a to o migrenie, a to o karuzeli, kręcącej się „równocześnie w mojej głowie i na zewnątrz, o całe mile od New Wye” (*Blady płomień*, s. 24). Drugim przykładem jest wstęp poety Bronisława Maja do zabawnych wierszyków i próz Wisławy Szymborskiej, zatytułowanych *Błysk rewolwru* (z takim błędem, z którym konkurować może przywoływany przez Kinbote’a tom Jamesa Joyce’a *Finnigan’s Wake – Blady ogień*, s. 102; Kłobukowski dał tu *Finnegans Wake*, nie rozumiejąc strategii Nabokova, nakazującej mu eksponować niewiedzę króla Karola o tym, skąd się wzięła popularność imienia Lolity!). Maj sugeruje, iż Szymborska ogłosiła liryki pod tytułem *Grający sad, Polny duszek czy Chuchanie na różę*, a potem, aludując do Kinbote’a, dodaje: „czasami pisywała [...] jakieś, zdaje się, wiersze, **i niech ta cholerna orkiestra się uciszy!**” (B. Maj: *Kilka słów...* w tomie: W. Szymborska: *Błysk rewolwru*, Warszawa 2011, s. 6 i 8, podkr. J. P.). Ani subtelnej gry Genette’a, ani filuternego dowcipu Maja nie zauważono, bo mało kto czyta – niestety – *Pale Fire!*

Straszny dwór w przekroju

Nawiązując do zapoczątkowanej jeszcze za życia Moniuszki tradycji, instytucja „Silesia” umieściła w swoim świąteczno-noworocznym programie przekrój jednej z oper polskiego kompozytora. Wybór padł na *Straszny dwór*, operę najbardziej sugestywnie przywołującą rodzime klimaty i w warstwie słownej, i w muzyce, przesyconej narodowym melosem i rytmami polskich tańców. Do wykonania kluczowych arii i ansambli z kolejnych trzech aktów zaproszono grono młodych wykonawców z całego kraju. W roli Hanny wystąpiła Kamila Nowak, w jej siostrę Jadwigę wcieliła się Roksana Wardenga, Cześnikową była Katarzyna Ćwiek, Zbigniewem – Dawid Biwo, Skołubą – Wojciech Rasiak, Miecznikiem – Damian Wilma, Maciejem – Patryk Wyborski. Stefanów było dwóch: Sławomir Naborczyk i Chaoran Zuo (doktorant na Wydziale Wokalnym Akademii Muzycznej w Poznaniu). Kwestię nadmiaru obsadowego rozwiązano w ten sposób, że Stefan I zaśpiewał na początku popisową arię *Cisza dokoła...*, ustępując następnie miejsca chińskiemu koledze. Mieliśmy więc przy okazji namiastkę „turnieju tenorów”. Rywalizacja wypadła zdecydowanie na korzyść Chińczyka. Arię *Cisza dokoła...* wykonał z ipsis sarmackim zacięciem, tworząc postać pełną wyrazu i, jak na operę, dość wiarygodną. Dobrze poradził sobie z wymową polskich wyrazów, zaprezentował głos wyrównany, nieźle brzmiący w wysokim rejestrze. Wśród pozostałych wykonawców górowały panie: „rasowa” Cześnikowa i obie siostrzyczki, w interpretacji zaproszonych pań sprawiające wrażenie doświadczonych, zdecydowanych, dojrzałych. Zdaje się, że nie było to intencją Moniuszki, ale zabrzmiało nowoczesnie – odrobinę niepokornie, nawet wyzywająco. Czarna robota, czyli fortepianowy akompaniament przypadł naszemu weteranowi tej trudnej sztuki Grzegorzowi Biegasowi. Zadanie było wyjątkowo niewdzięczne, gdyż w wyciągu fortepianowym partia towarzysząca *Straszego dworu*, już w oryginale dość wątła, staje się miejscami wprost trywialna. Towarzyszące śpiewowi „um, pa, pa” w wykonaniu smyczków brzmi neutralnie, gdyż stapia się z partią wokalną; wystukiwane w wersji fortepianowej nabiera męczących cech perkusyjnych. Ogromną wadą prezentacji przekrojów z oper ograniczo-

Między nutami



MAGDALENA DZIADEK

nych do numerów solowych i kameralnych jest brak chóru, zwłaszcza tam, gdzie kontrapunktuje on partie solistów. Gdyby się dało sformować choćby 16-osobowy studencki zespół wokalny do tego typu prezentacji, przekroje operowe nabrałyby żywszych barw. Reasumując: opera bez chóru i bez orkiestry to uboga namiastka całości. Publiczność Silesii nie przyszła jednak na operę, lecz po to, by posłuchać swoich ulubionych śpiewaków. Pojawili się w operowych kostiumach (pianista został przyodziały w coś w rodzaju szkarłatnego katowskiego płaszcza), a swoje występy wzbogacili o elementy gry aktorskiej. Atmosferę teatralnego przedstawienia współtworzył prowadzący koncert ksiądz Paweł Sobierajski, wprowadzając słuchaczy w treść libretta.

Dlaczego wydajemy na nowo Moniuszkę?

Rok przed rozpoczęciem jubileuszowego Roku Moniuszkowskiego (w grudniu 2018 roku przypada 200. rocznica urodzin kompozytora) Polskie Wydawnictwo Muzyczne podjęło inicjatywę rewizji dotychczasowych tomów zbiorowego wydania dzieł kompozytora oraz dokończenia tej edycji. Tak się bowiem nieszczęśliwie złożyło, że po śmierci czołowych polskich moniuszkologów: Erwina Nowaczyka, Krzysztofa Mazura i Witolda Rudzińskiego (tj. od końca lat 70. XX wieku) prace edytorskie nad pełnym wydaniem utworów ojca naszej opery nie były kontynuowane. Zadaniem nowo powołanego komitetu naukowego do spraw owej edycji, któremu przewodni prof. Remigiusz Pośpiech

z Uniwersytetu Wrocławskiego (znany doskonale wszystkim, którzy interesują się muzykami jasnogórskimi) jest powtórna edycja już funkcjonujących na rynku lub nowo opracowanych tomów, uwzględniająca dzisiejsze standardy tzw. wydań krytyczno-źródłowych. W praktyce oznacza to ogromny trud porównania obecnie użytkowanych zapisów pieśni, oper, utworów religijnych i instrumentalnych z oryginalnymi rękopisami lub pierwodrukami. Trudność zasadnicza leży w braku dostępu do źródeł. W zbiorach polskich brak kompletów partytur, z których dyrygował Moniuszko i jego współcześni. Nie znaleziono ich także, jak dotąd we Lwowie; podstawą facsimilowego wydania *Halki*, jakie opracował niedawno pracownik Instytutu Sztuki PAN w Warszawie Grzegorz Zieziula, był egzemplarz partytury odnaleziony w Pradze. Poza tym, w ogóle trudno zdecydować arbitralnie, która wersja partytury jest oryginalna. Zapisy dawnych dzieł operowych mają bowiem to do siebie, że często zmieniają się, niekiedy ze spektaklu na spektakl. Kompozytorzy usuwają bądź dopisują fragmenty, zmieniają tonacje, dostosowując je do możliwości śpiewaków, modyfikują skład orkiestry stosownie do tego, który aktualnie mają do dyspozycji itp. Nad partyturami oper Moniuszki pracownicy pochylały się także pokolenia dyrygentów, z których każdy odcisnął na partyturach swoje emploty, dopisując w partiach orkiestrowych pojedyncze nuty bądź całe głosy (zwłaszcza instrumentów dętych – dla ucha XX-wiecznego wersje Moniuszkowskie brzmiały bowiem zbyt wątło). To samo dotyczy dzieł orkiestrowych, a także pieśni Moniuszki, w których starano się m. in. z wydania na wydanie niwelować odstępstwa od standardowej prozodii języka polskiego. Zadaniem autorów nowej edycji zbiorowej jest wyeliminowanie tych naleciałości, ale również zrewidowanie samego zapisu nutowego pod kątem praktyki wykonawczej (dlatego do wspomnianego komitetu naukowego doproszono wybitnych i kompetentnych wykonawców: śpiewaczkę Urszulę Kryger i dyrygenta Łukasza Borowicza). Tak więc, za kilka (kilkanaście?) lat będziemy mieć możliwość poznania wszystkich dzieł Moniuszki, jeśli nie w oryginale, to w wersji naukowo uwiarygodnionej. Chyba, że w międzyczasie zmienią się kryteria.

Kolejną premierą sezonu 2017/2018 w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie była *Stopklatka* Maliny Prześlugi w reżyserii Agnieszki Baranowskiej (spektakl jest jej dyplomem na Wydziale Reżyserii w Akademii Teatralnej w Warszawie) ze scenografią Kamili Grzybowskiej-Sosnowskiej. Zrealizowana w Sali kameralnej im. Iwo Galla sztuka koncentruje się na emocjach postaci. Taka przestrzeń to teatralna forma stopklatki. Skrócony dystans między aktorami a widownią pomaga skupić uwagę na tym, co normalnie zbyt łatwo może nam umknąć.

Głównym bohaterem jest Wojtek (Adam Machalica, od tego sezonu w zespole naszego teatru), chłopak ze złamanym kręgosłupem. Wystarczył jeden feralny skok do wody. Mimo to chce żyć jak rówieśnicy, choć na jego dni składają się niemal wyłącznie gry i filmy.

Nie poznajemy okoliczności skoku. Zresztą to nieważne, czy była to brawura czy nieszczęśliwy wypadek i czy miało to związek z Magdą, wulgarną dziewczyną, która prześladowała go w czasie wakacji. Skupiamy się na jego stanie obecnym.

Spektakl to prawie monodram, a forma ta jest bliska Baranowskiej. Dzięki temu poznajemy możliwości Machalicy, który wykorzystuje różne techniki, by utrzymać skupienie widza: prezentuje postacie popkultury – krok księżycowy Michaela Jacksona, ruchy Arnolda Schwarzeneggera z *Terminatora*, taniec Johna Travolta z *Pulp Fiction*, naśladuje głosy swoich bliskich, gra na harmonijce ustnej. Każdy ze wspomnianych filmów zabawnie komentuje. Wspomina też rozczulającą scenę z *Króla Lwa*, gdy Simba płakał przy ciele Mufasy, mimo że tak nie zachowują się prawdziwe chłopaki.

Machalicy towarzyszy Marta Honzatko, odgrywając kolejne postacie kobiece, prawdziwie obecne w życiu chłopaka albo wymyślone przez niego. Czasami staje się także żywym tłem, uzupełniając gestem jego opowieść. W każdym z epizodów Honzatko jest inna i równie doskonała. Jest nieznaną z przystanku, Majką – dziewczyną Wojtka, jego zmęczoną matką, panią psycholog. Dla nich wszystkich kalectwo czyni chłopaka niemal przezroczystym. Widzą w nim kalekę, a nie mężczyznę czy syna. Widzą w nim tego, który domaga się opieki, budzi litość i poczucie winy. Majka nie wytrzymuje presji, jest zbyt młoda. Zmęczona i nieco zgorzkniała matka nie daje rady z opieką nad dojrzewającym synem – zmienia mu pieluchy, karmi, dba o pościel i porządek w pokoju. Może wbrew woli nieco wyniszcza go psychicznie.

To opowieść interwencyjna przeznaczona dla młodych widzów, także o agresji rodzącej się jako konsekwencja niemocy i sytuacji ponad siły. Przedstawienie powinno ostrzec przed zachowaniami ryzykownymi, bo przecież nie tylko o skoki do wo-



Fot. Piotr Dłubak

Zatrzymane ciało, poruszone myśli

TEATR

dy chodzi, ale o wszystkie zdarzenia, które mogą zniszczyć dotychczasową biografię i marzenia. Powinno także zwrócić uwagę na sytuację niepełnosprawnych. Jak ich traktować? Czy otaczać taśmą bezpieczeństwa?

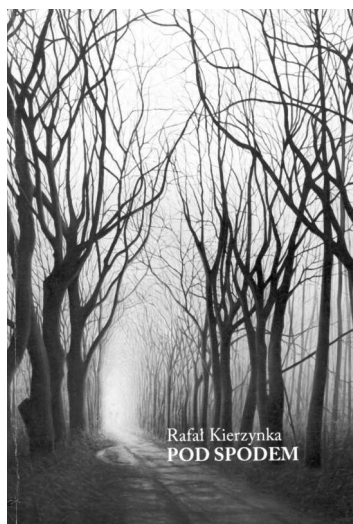
Baranowska unika moralizowania. Prowadząc warsztaty teatralne dla młodzieży, wie, jak wymagający i nieufny to odbiorca. Chce im powiedzieć, że nie trzeba walczyć o akceptację, dostosowując się do istniejącego modelu, że każdy zasługuje na uwagę bez względu na swój stan. Być może i z tego powodu pojawia się *Buszujący w zbożu* Jerome'a Davida Salingera nawiązujący do wiersza Roberta Burnsa *Kiedy kto napotka kogoś*. Niektórzy twierdzą, że ów upadek z klifu to metafora wejścia w dorosłość. Tu skok stał się niemal dosłownością. Ta jedna z najbardziej wpływowych książek, przełamująca w połowie XX wieku obowiązujący model mówienia o nastolatkach, określa także relacje bohatera z otoczeniem. W sztuce Prześlugi społeczeństwo nie jest ani dość wrażliwe, ani empatyczne.

Równoległe z historią chłopaka prowadzona jest opowieść o możliwościach i zadaniach teatru oraz aktora. Machalica nie udaje Wojtka, ale staje się jego teatralnym odpowiednikiem. Istnieje na trzech poziomach: w świecie przedstawionym jest postacią, ale wychodzi poza fikcję, by zwrócić się do widza, przypominając, że jest tylko aktorem. Poziomy te nakładają się na siebie, domagając się rozmaitych środków i aktywności. Tylko chwilami Machalica nieruchomieje jak Wojtek. Aktor zdaje się raczej przedłużeniem jego ciała, protezą posłuszną jego myślom, a przy tym realizacją marzeń, choćby tego o szkole aktorskiej. Chłopak żartuje przecież, że na egzaminie mógłby doskonale odegrać jasko sadzone. Być może dlatego, niemal zupełnie nie wchodzi w interakcje z występującymi postaciami. Zwraca się przede wszystkim do widowni. To na niej mu zależy. Nie jest przecież Wojtkiem, ale tym, kto o nim opowiada. Dlatego aktor-postać

niebezpieczne, czyli strefę Wojtka. Jest jeszcze taczka, z którą wjeżdża matka. To odmiana wózka, którym można przewieźć to, co potrzebne do opieki nad synem, ale także kojarzącego się z jego kalectwem. W scenie z wymyśloną dziewczyną pojawia się też ławeczka pod drzewem. Mobilna, jak cały ten świat. Ważne jest także oświetlenie; w momentach największych emocji w kolorze czerwonym.

Tytułowa stopklatka odnosi się do techniki filmowej, to efekt, dzięki któremu możemy zobaczyć to, co umyka zmysłowi wzroku w normalnym odbiorze. Zatrzymujemy akcję, by skupić się na szczegółach. Życie Wojtka też zostało zatrzymane, teraz z wózka obserwuje siebie i innych, diagnozuje, marzy. Widzi więcej i odczuwa więcej. Spektakl pokazuje go przecież jako niezwykle zabawnego i wrażliwego chłopaka, choć nieradzącego sobie z samotnością. Nie dziwi więc, że w ostatniej fazie próbuje rozładować narastającą frustrację i agresję. Gdy bije kukłę, uosabiającą znienawidzone unieruchomione ciało, śmiech zamiera, a na widowni zapada cisza. Zupełna.

Sięgając po ten tytuł, twórcy podjęli odważną decyzję. *Stopklatka* grana jest wciąż w Teatrze Powszechnym w Łodzi od 2015 roku (w reżyserii Jakuba Zubrzyckiego, z Jakubem Firewiczem w roli głównej). Ale Baranowska nie epatuje kalectwem, ważniejsza jest dla niej umowność teatru. W częstochowskim przedstawieniu o zmianie w życiu chłopaka przypomina niemal wyłącznie zódek inwalidzki. Spektakl pokazuje, że życie Wojtka, choć metaforycznie zatrzymane, wciąż trwa. Ważne, by ci, którzy przyszli do teatru, zmienili swoje nastawienie. Przestali być tymi, którzy unikają spojrzeń i spotkania z prawdziwym Wojtkiem, zatrzymując się na uchwytach jego wózka. Miarą sukcesu będzie choć jeden nawrócony. Nawrócony na miłość bliźniego.



„Demon opowieści”

KSIĄŻKI

EWA BARTOS

Pod spodem Rafała Kierzyńska to zbiór pięciu opowiadań o enigmatycznych tytułach: *Pantera*, *Nautilus*, *Zaginoł*, *Ulica Generalska*, *Strzala*. Zbiór zamyka krótkie, trafnie charakteryzujące prozę autora posłowie Mariana Kisielea o wymownym tytule: *Proza pełna poezji*. Zapisane w tomie historii raczej więcej różni niż łączy. Zdawałoby się, że autor nie przywiązuje uwagi do formy swojej wypowiedzi, stale zmieniając perspektywę, z jakiej poznajemy bohaterów opowieści. Jest to jednak wrażenie mylne. Kierzyńska zaprasza do intelektualnej gry, w której czytelnik ma niepowtarzalną szansę, by sprawdzić, co czai się *Pod spodem*. Tytuł zbioru dookreśla jego treść. Autora interesuje to, co zwykle jest ukryte. Podskórnie skrywane marzenia i pragnienia, zamknięte w najgłębszych szczelinach ludzkiej psychiki, zostają ujawnione w kolejnych opowiadaniach.

Narrator nie zatrzymuje się dłużej przy żadnym z bohaterów. Pozornie wysuwając się na pierwszy plan postacią jest Adam Gradowski, *alter ego* pisarza, mecenas przyjeżdżający w sprawach służbowych do Szczecina. Prawdziwym bohaterem opowiadań jest jednak miasto. Przestrzeń widziana oczyma wszechwiedzącego narratora, przemierzającego ją niczym *flâneur*, zdaje się być żywym organizmem, składającym się nie tylko z budynków, ale przede wszystkim z zasiedlających go ludzi. Ich losy spletają się ze sobą, a przypadkowe spotkania stają się w opowiadaniach metaforą absurdalnej egzystencji.

Bohaterowie Rafała Kierzyńska wchodzą z sobą w interakcje, pozwalają ukazać nedoręczność i groteskowość ich własnych wyobrażeń o świecie. Dla przykładu warto przywołać scenę *Nautilusa*, w której jedną z bohaterek jest schorowana, religijna starsza kobieta. Jej największym marzeniem jest pielgrzymka do Palestyny. Podczas wizyty w kościele Gabriela nagle odczuwa wielki dyskomfort. „I kiedy mia-

ła zacząć się modlić, poczuła smród. Śmierdział mężczyzna, który usiadł koło niej [...] Na ulicy pewnie nie zwróciłaby na niego uwagi. Tu jednak, w kościele, pijany człowiek był aż nadto widoczny”.

Przypadkowe spotkanie z brudnym mężczyzną, wywołuje w kobiecie wstręt i wstyd, że odczuwa go w kościele. Kobieta decyduje się odmówić różaniec w intencji pijaka. Ważne, że bohaterowie nie rozmawiają, co więcej – nigdy ponownie się z sobą nie spotkają i nie dowiedzą niczego o sobie. Pisarz przekazuje tę wiedzę jedynie czytelnikowi. To on wie, kim jest śmierdzący mężczyzna, potrafi wczuć się w jego sytuację. Wie także, jak samotną osobą jest Gabriela. Bohaterowie nie wiedzą, iż to przypadkowe spotkanie może wpłynąć na ich los. Czytelnik natomiast zostaje postawiony w sytuacji, w której zaczyna rozważać jej potencjalność. Kierzyńska pokazuje trywialność ludzkiego życia. To, że często przypadek decyduje o tym, z kim ludzie się wiążą czy dokonują zbrodni.

Autor nie stosuje ciągłej narracji. Historie przedstawione w opowiadaniach rozbłyśkają w nagłych, fotograficznych ujęciach. Pisarz porzuca bohaterów, by nagle do nich powrócić; opisując ich losy, niczego definitywnie nie domyka. Z prędkości czyni zasadę spajającą wszystkie utwory. Przejawia się ona w kłamrowej budowie zbioru, który otwiera cytat z Księgi Mądrości: „Jak gdy się strzałę wypuści do celu: rozprute powietrze zaraz się zasklepi, tak, że nie poznasz jej przejšcia – tak i my: znikniemy, ledwie zrodzeni...”, a zamyka jednozdaniowa *Strzala*: „Za strzałą zasklepią się powietrze, ginie ślad po okręciu, brak dowodu na przelot ptaka”.

Ulotność istnienia nierozzerwalnie łączy się w zbiorze z różnymi sposobami rozumienia przez autora historii, która nieraz zostaje zapomniana, wymazana zarówno z jednostkowej, jak i zbiorowej pamięci. Niepamięć, a także szukanie śladów obec-

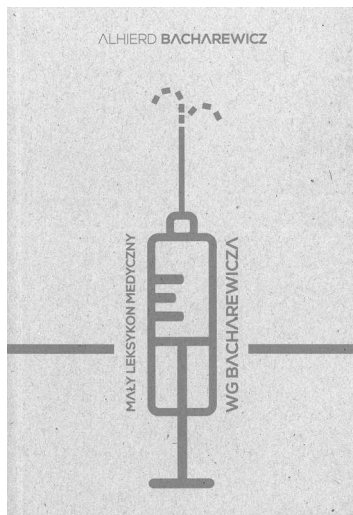
ności minionej historii, jest głównym tematem *Ulicy Generalskiej*. Autor pisze: „Taka ulica jest w każdym mieście, na ogół w samym jego środku, choć środek to zwodne pojęcie: miasta żyją, rosną, zmieniają skórę i granice, i to, co kiedyś było centralną arterią, dziś może się okazać zapomnianą uliczką na przedmieściach”. I choć, jak od razu dodaje, „z Generalską los się obszedł łaskawiej”, to jednak śledzi i opisuje jej zapomnianą historię. Uniwersalizuje w ten sposób wymowę opowiadania, a także całego zbioru, pokazując, że w każdym miejscu na ziemi człowiek zmaga się z przemijalnością istnienia.

Problematykę tę trafnie scharakteryzował w posłowie do zbioru Marian Kisiel, stwierdzając, że tom „jest misternie prowadzoną opowieścią o pojawieniu się i znikaniu, poszukiwaniu, traceniu i pragnieniu odzyskania”. Zdaniem krytyka, „żadna z narracji nie jest realistyczna, ponieważ – jak w poezji – dzieje się w domysłach i przypuszczeniach. I jest realistyczna, albowiem odwołuje się nie tylko do doświadczenia autora spoza pisarstwa (motyw prawniczy), ale również do świadomości autora jako pisarza”. Balansowanie na granicy realnego i wyobraźniowego dokonuje się w tej prozie najczęściej za pośrednictwem metatekstowych, autorskich zwrotów do czytelnika. To w nich autor ujawnia, iż świat z jego opowiadań ma narracyjny charakter. I choć maniera bezpośredniego zwrotu autora do czytelnika może drażnić swoją teatralnością, to jednak pisarz wprowadza go z namysłem. Co rusz przypomina czytelnikowi, że świat zbudowany jest po części z materii rzeczywistej, jak i wyobraźniowej, reprezentowanej przez siłę drzemącą w narracji (opowieści). Obie składowe świata autor uznaje za jego istotne składniki.

Rafał Kierzyńska nie popada w patos. Dzięki ironii umiejętnie ucieka przed niebezpieczeństwem popadnięcia w sztuczność i nadmierny sentymentalizm. Wywyższa i gloryfikuje opowieść, czyniąc z niej podstawowy budulec świata i jednocześnie pokazuje jej niewystarczalność. Jeden z bohaterów tej prozy wyznaje: „jestem tylko skromnym sługą demona opowieści, [...] i muszę mu być posłuszny. Służąc opowieści sam się nią staję. Jestem tylko skorupą, której zewnętrzny kształt doskonale odpowiada wewnętrznej próżni”. Inny dopowiada: „piękna sztuka pisania [...] tworzy świat ze strzępów, ochłapów, resztek. [...] kłamstwo [...] jest podstawowym budulcem każdej szanującej się opowieści”.

Rafał Kierzyńska na równi korzysta z siły „demonu opowieści”, pozwalając mu wypełnić pustkę czającą się w ludzkiej egzystencji za pośrednictwem słowa, jak i buduje „piękne kłamstwo”. Odrealniając – urealniamy świat, urealniamy go – odrealniamy. Kusi i zaprasza czytelnika do zaznajomienia się z „demonem opowieści”.

Rafał Kierzyńska: *Pod spodem*. Wydawnictwo Duet, Zawiercie-Kielce 2017, s. 160.



Pisanie jako choroba złośliwa

KSIĄŻKI

RYSZARD JASNORZEWSKI

Nie potrzeba ani mozołu uprawiania literatury, ani wysiłku jej odbioru, by zarazić się światem jak chorobą. Istota rzeczy jednak nie tyle w samej dostępności zarazy, ile w jej skutkach. Przeżywanie choroby – podobnie jak doświadczanie świata – wymaga bowiem procedur osobistych i osobnych. Z tej perspektywy kultura jest wynalazkiem hipochondryków, których inne ssaki mogą co najwyżej naśladować. Zazwyczaj jednak tego nie czynią. Niewątpliwie za przyczyną problemów nie na ludzką miarę, choć niewątpliwie także kosmicznych. Solidarność z cierpieniem zwierząt budzi się dopiero wtedy, gdy nas nieludzko boli. Nieludzko, czyli bardzo zwyczajnie.

Zgodnie z rekomendacją fikcyjnego (choć niewątpliwie spokrewnionego z Łukaszenką) Aleksandra Łukaszuca, medycyna jest dla białoruskiego pisarza Alhierda Bacharewicza: „uczuciem, chorobą – zderzeniem organizmu z ciałem, ciałem – historią tekstu”. Dodajmy, historią skomplikowaną i paradoksalną, gdyż wszelkie dolegliwości, dyskomforty ciała nie są tym, czym nam się wydają – lub na pewno nie są takie, jak chcielibyśmy (a częściej nie chcielibyśmy), aby były. Jak wiadomo, są trzy możliwe postaci naprzemiennych wyobrażeń człowieka o sobie – w zdrowiu, chorobie lub umieraniu. Dlatego też (poniekąd z powodu „zderzenia organizmu z ciałem”) podróżujemy przez życie bez komfortu i zazwyczaj na zderzakach.

Samo już pisanie o tym jest z natury niezdrowe i jakby sobie samemu na złość. Bacharewicz dostrzega w literaturze szczególną boleść i wyjątkowe ubolewanie, gdyż to „jeden rodzaj aktywności ludzkiej, gdzie obecność chorób zawodowych jest jednocześnie warunkiem koniecznym

do pracy”. Wypisywanie się o egzystencji człowieczej – a w praktyce o samolubstwie, odpowiednio ukształtowanym i należycie wykształconym – staje się niejednokrotnie popisem, proklamacją (na rynku wydawniczym albo innym forum) manii wielkości i szeregu innych manii, fobii, zaburzeń, a niejednokrotnie za daleko idących zbroceń. To zbliża literata do pijaka, który „ma inny poziom możliwości, inny próg odczuwania bólu, inne wyobrażenie tabu, osłabiony instykt przetrwania...”. Jak doskonale wiadomo, piszący nigdy nie zrozumie niepiszącego. Ale też, zauważa autor *Małego leksykonu...*, człek oddany manii trunków „trzeźwemu nie jest towarzyszem – chyba że obaj są komunistami”.

Bacharewicz – rocznik 1975 – przyszedł na świat w szpitalu wariatów i ośrodka zamkniętym. Jeszcze dzisiaj, jak to na Białorusi w zwyczaju, nie wszędzie wstawiono klamki. Pisarz od lat mieszka i tworzy w Niemczech, lecz z jego głowy nie chce się wymeldować ktoś, kim już niby nie jest i być nie musi. W rozprawce o hormonach zauważył: „Nie jest prawdą, że hormony są nieuchwytnie, że, jak pieniądze, nie śmierdzą. Oksytocyna pachnie mlekiem. A czym pachnie hormon strachu?”. W refleksji o bezdechu niezbędne są uwagi o przypadłościach organizmów zbiorowych: „Spać mogą całe narody, a jeśli rozum któregoś narodu zasypia, wokół niego, jak wiadomo, zaczynają roić się potwory”. Kiedy przychodzi zastanowić się nad kompleksem niższości, da się dostrzec kompleks bardziej złożony: „Zgryzotę można również złagodzić, wyobrażając sobie siebie jako ofiarę – to również jest pewna rekompensata”. Nie ma niczego złego w umiłowaniu nikotyny: „Palenie jest poza moralnością. Hitler nie palił, a Churchill palił. Stalin palił, a Lenin – nie. Łukaszenka nie

pali”. To oczywiście: „Tylko wolny człowiek odwiedzi sex-shop bez poczucia winy, starannie zaszczeplonego mu przez urzędników, milicję i ojców Agamemnonów”.

Mały leksykon..., którego polską edycję zawdzięczamy Warsztatom Kultury w Lublinie, nie jest jednak w najmniejszym stopniu spętany żadną tendencją czy pretensją politycznej urody. Skądinąd fachowcy od promocji zdrowia, pobierający pensje w euro, nie różnią się aż tak bardzo od funkcjonariuszy wydziałów propagandy, którzy za swój trud otrzymywali gaże w rublach. Książka Bacharewicza to nie tyle zbiór przyczynków o chorobach, ile esej o życiu, które zostało skazane na ograniczenie wolności, które od urodzenia do śmierci mieszka w celi ciała. Pisanie o chorobach to równocześnie intelektualna zabawa, rywalizacja z kalkami, ironiczne naśladowanie apokryfów o człowieku, który choruje i boi się chorować, którego boli i który lęka się bólu, który pragnie do raju, ale niespieszno mu umrzeć.

Polubiłem Bacharewicza za wspominki z dzieciństwa. Zrazu za portret dentystki – wypisz, wymaluj, z mej szkoły elementarnej. Nie było mowy, aby zapomnieć o oprawczyni małoletnich zębów – „z jej wszystkimi manierami, kwadratową potylicą, owłosionymi rękami i ciężkimi butami przypominała esesmana, który przyjechał do obozu koncentracyjnego w celu eksperymentowania na ludziach”.

Jeszcze bliżej mojej nostalgii do nadziei, że chorowanie uchroni przed szkołą... Masz dziesięć lub dwanaście lat. Złe się czujesz, bo zawsze głupio, nieodpowiednio, niewygodnie, jeszcze nie do życia bądź już dawno poza nim. Boli cię wszystko, umrzesz w szkole i będą śmiać się z nieboszczyka, pastwić nad nim, zamkną wieko dziennika i pochowają żywcem. Budzisz się z przerażeniem, że to już, że zaraz wyprowadzą na egzekucję – jeszcze nie ta pora, przewracasz się na bok, zwijasz w kłębek, nakrywasz szczelnie kołdrą. Kiedy przychodzi do ciebie mama, mówisz, że boli cię gardło i na żadne ucho nie słyszysz. Mierzysz temperaturę, słupek osiąga granicę, poza którą oczekuje ratunek. W przychodni przyjmują cię dobra wróżka, osłuchuje, wysłuchuje, przenosi twoją chorobę na papier, dzieli na pół, wręcza mamie recepty. Będziesz zażywał lekarstwa, bezkarność i wagary. Ale kiedyś skończy się słodkie lenistwo. Wydorosłesz. Zobaczysz ludzi wchodzących do wielkiego sklepu: „jak do świątyni, ale wielu – jak do świątyni zbudowanej na ich cześć”.

Pamięć ciała jest nadpobudliwa i często odchodzi od zmysłów. Ciągłe ją kawałkują, obcinają jej ręce, nogi i głowę, kawałkują, a potem pod gorącą lampą na nowo zszywają. Kto odziedziczy twoje choroby, bliźnę na przegubie dłoni, zmarszczki w kąciaku oczu, ich barwę i zmęczenie, i wadę wzroku, i wadę życia?

Alhierd Bacharewicz: *Mały leksykon medyczny według Bacharewicza*. Tłum. Mira Łusza. Warsztaty Kultury w Lublinie, Lublin 2017, s. 168.



Eklektyczna spójność

KSIĄŻKI

KSENIA OLKUSZ

Rozwój, ewoluowanie, przenikanie się i zróżnicowanie zjawisk powstających w obrębie kultury i literatury jest niezwykle wielopoziomowym problemem, co sprawia, że nie tylko potrzeba właściwych narzędzi do analitycznego ich opisu, lecz także świadomości, że każde zjawisko kultury – także tej uważanej za „pozamainstreamową” i niesłusznie stygmatyzowanej w opozycji do „kultury wysokiej” – jest naukowo uzasadnione i potrzebne. W powszechnej świadomości, także tej akademickiej, kultura popularna postrzegana jest w uogólnionych kategoriach estetycznej ułomności i jako taka nie doczeka się należytej jej uwagi. Dlatego za wydarzenie należy uznać publikację książki Krzysztofa Uniłowskiego *Historia, fantastyka, nowoczesność*. Jest to zbiór esejów krytyczno-interpretacyjnych, rozpiętych pomiędzy różnymi konwencjami i dyskursami, w którym autor przywołuje zróżnicowane teksty, w równie nieszablony sposób osadzając je w literackich i pozaliterackich kontekstach. Właśnie eklektyczność, wykładająca się jako swoboda w doborze przedmiotów analiz, decyduje o poznawczej atrakcyjności tomu, który jawi się jako rzecz szeroko zakrojona tematycznie i koncepcyjnie bogata. Uniłowski wykazuje się nie tylko charakterystyczną dla niego erudycją i swadą w rozprawianiu o literaturze, lecz również wielopoziomą, interdyscyplinarną wiedzą. Taką, która wyróżnia się na tle wąsko wyspecjalizowanych rozważań filologów, tych zwłaszcza, co poza własnym polem badawczym niewiele dostrzec potrafią. Owa multidyscyplinarność współgra tutaj dodatkowo z ogromem wiedzy z wielu różnych zakresów, znajomością kulturowych niuansów i teoretycznych kontekstów.

Rozmaitość tematyczna nie rozбивa spójności zbioru, w którym autor płynnie przechodzi od historii do fantastyki, od literatury popularnej (np. *Całego zdania nieboszczyka* Joanny Chmielewskiej)

do mainstreamowej (np. poezji Tadeusza Różewicza i prozy Sylwii Chutnik). Obie traktuje podobnie, co dowodzi słuszności tezy, że literaturę poddać można drobiazgowej analizie, nie ograniczając się tylko do tej, która z nadania większości na naukową eksplorację „zasługuje”. Wnikliwemu oglądowi poddany więc zostaje nie tylko poemat *Recycling* Różewicza, umieszczony w szerszym kontekście i podsumowany lapidarnie w finalnym akapicie – że poezja istnieje i istnieć powinna bez względu na to, czy zostaje wyparta, czy wyśmiana, czy ogłasza się jej wyczerpanie – ale także powieść Chmielewskiej, analizowana drobiazgowo jako forma świadomego pastiszu, świadczącego o metafikcyjności utworów popularnej pisarki. Tożsamość zaangażowania badawczego, ujawniająca się choćby w tych dwóch przywołanych analizach, oznacza, że autor uznaje każdy artefakt literacki za godzien opisu i badawczego namysłu bez względu na to, czy tekstem tym jest poezja, czy cykl *fantasy*. Tym samym wykonany zostaje istotny – w uwagi na wspomniany już dyskryminacyjny trend ujmowania popkultury własności wartych analizy naukowej – gest akceptacyjny wobec wszystkich bez wyjątku artefaktów kultury jako obiektów badawczych dociekań, bez względu na ich proveniencję. Jest to lekcja, której udzielić może Uniłowski wszystkim, dla których analiza utworów popularnych pozostawać powinna na marginesie naukowej aktywności. Lekcja tym cenniejsza, że poparta dowodami na powodzenie takiego zamysłu, czego ilustrację stanowić może chociażby omówienie *Pieśni Lodu i Ognia* George’a R. R. Martina w kluczu ekonomicznym – brawurowe i wnikliwe studium, w którym znajdują się m.in. odwołania do mitopoejki czy historii jako obszaru *profanum*. Tekst ten jest o tyle istotny, że autor dokonuje w nim bardzo konkretnego osadzenia terminologicznego *fantasy* w kon-

tekście badawczym i bogatej kwerendzie zarazem.

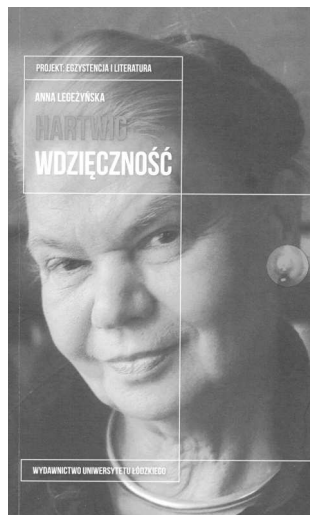
Otwierający zbiór szkic *Hattin 1197 według Zofii Kossak*, rozpoczynający się zresztą niczym relacją kronikarską, rozwija się we wnikliwą konfrontację prawdy historycznej z literacką jej interpretacją w powieści *Król trędowaty*. Na uwagę zasługuje zwłaszcza *passus* genderowy, odnoszący się do konstrukcji postaci kobiecych w powieści i historyczno-kulturowych kontekstów. Swoistym odcieżeniem dla bardzo gęstego teoretycznie omówienia pt. „*Słowo i ciało*” *Teodora Parnickiego jako romans szpiegowski*, staje się esej *Rzymianie do domu! O książkach popularnonaukowych Krzysztofa Kęćka*, w którym Uniłowski z humorem punktuje autorowi niezamierzone efekty komiczne jako rezultat przyjęcia przezeń fraz beletryzujących w przekazie historycznym. Wychodząc od sprecyzowania terminologicznego narratystycznych książek historycznych, Uniłowski wskazuje na rozprężenie między rzetelnością oraz logiką wywodu, a dążeniem do przyciągnięcia czytelniczej uwagi, czy to za pomocą „chwytliwych” tytułów, czy to zmian idiomu.

Jednym z ważniejszych rozdziałów jest *Fantastyka i realizm*, w którym autor prezentuje historię pojęcia *science fiction*, jego przeobrażeń i realizacji. Studium zawiera kluczowe dla nowoczesnej definicji informacje, będąc równocześnie teoretycznym otwarciem części poświęconej szeroko rozumianej fantastyce. Choć z pozoru tekst ten zawiera elementaria, w rzeczywistości jest skondensowanym kompendium wiedzy, oferującym pozytywną kwerendę, z której skorzystać powinni badacze poszukujący stosownej definicji tego terminu.

Wśród trzynastu omówień wyróżnia się także – nie tylko tematycznie – to zatytułowane *Anton Kandydov – świetlisty bramkarz. O powieści Lva Kassila*. Jest to błyskotliwa i dynamicznie poprowadzona analiza zapomnianej powieści Kassila, którą Uniłowski wpisuje w niebanalne konteksty – od historycznego, poprzez medioznawczy aż do wykładni uwikłanej w kulturowe przemiany. Zresztą owo wpisanie w rozmaite konteksty stanowi aspekt charakterystyczny dla wszystkich – także nieprzywołanych tutaj z tytułu – esejów w zbiorze.

Posłużenie się poszerzoną perspektywą jest strategią ze wszech miar słuszną, umożliwiającą osiągnięcie efektu zespolenia poszczególnych omówień utworów, niezależnie od ich proveniencji czy przynależności. Wkładając swój wywód w dyskursy uznawane za prestiżowe, takie, jak: filozofia, historiozofia, ekonomia, polityka etc., Uniłowski dowodzi, że można wnikliwie pisać o każdym typie literatury bez uciekania się do – budujących poznawcze mury – kwalifikacji wartościujących. Bardzo brakowało takiej i mamy szczęście, że *Historia, fantastyka, nowoczesność* właśnie tę lukę wypełniła.

Krzysztof Uniłowski: *Historia, fantastyka, nowoczesność. Szkice. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych, Katowice 2016, s. 270.*



„Bądź wdzięczna Byłaś hojnie obdarzona”

KSIĄŻKI

ELŻBIETA DUTKA

Przywołany powyżej wers pochodzi z wiersza Julii Hartwig pod tytułem *Koda*, który można czytać jako autocharakterystykę i podsumowanie drogi twórczej i życiowej. Anna Legeżyńska przypomina te słowa w książce o zmarłej w ubiegłym roku poetce. W pracy badaczka wielokrotnie „oddaje głos” bohaterce, na przykład, gdy „zamiast zakończenia” przytacza obszerne fragmenty wykładu, wygłoszonego przez nią podczas uroczystości nadania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, będącego również życiową i artystyczną kodą. Podobną, sumującą intencję można dostrzec w monografii Anny Legeżyńskiej, autorki cenionych prac, m.in.: *Dom i poetycka bezdomność w liryce współczesnej; Gest pożegnania. Szkice o poetyckiej świadomości elegijno-ironicznej; Krytyk jako domokrąca. Lekcje literatury z lat 90.; Od kochanki do psalmistki... Sylwetki, tematy i konwencje liryki kobiecej*.

Książka jest „opowieścią o bogatym życiu i ogromnym dorobku”, której ramy wyznaczają daty życia artystki (1921–2017). To swego rodzaju portret Julii Hartwig pisany z wrażliwością i empatią. Wbrew dominującym we współczesnej kulturze tendencjom, Anna Legeżyńska nie narusza granic intymności, nie szuka sensacji, nie dąży do odbiorzowania obrazu poetki, nie pisze „przeciw niej”, ale „wraz z nią”, gruntownie analizując fakty i utwory. Technika „portretowa”, polegająca na dokumentarno-fikcyjnej rekonstrukcji kluczowych doświadczeń egzystencjalnych, prowadzi do „spotkania w lekturze”.

Anna Legeżyńska, która już wcześniej pisała o twórczości Hartwig, wygłosiła również laudację, gdy nadawano autorce *Błysków* tytuł doktora *honoris causa*, w nowej pracy spojrzęła na biografię i twórczość artystki jako na komplementarną całość.

Z jednej strony wynika to z założeń serii wydawniczej, w której książka się ukazała. „Projekt: Egzystencja i Literatura” to seria „poświęcona wybitnym polskim pisarzom – ich twórczości ujmowanej przez nich samych i interpretowanej przez krytyków jako **projekt egzystencjalny**, jako próba ustanowienia i zapisania siebie i swojego sposobu odczytywania sensów rzeczywistości, indywidualnego oglądu różnych jej sfer – społecznej, politycznej, etycznej, kulturowej, metafizycznej”. Stąd szczególnie nacisk na takie kategorie wyjaśniające pisarskie dzieło, jak biografia, tożsamość i szeroko rozumiane doświadczenie. W serii ukazały się już portrety Witkacego, Jarosława Marka Rymkiewicza i Stanisława Brzozowskiego. Z drugiej strony, reprezentowane w pracy poznańskiej literaturoznawczyńi podejście dobrze oddaje cechy artystki „piszącej sobą” (choć bez nadmiernego epatowania słowem „ja”, w sposób dyskretny i powściągliwy), nazywanej „uosobioną poezją”. Pobrzmięwa w takim ujęciu także od lat zgłaszana w literaturoznawstwie potrzeba, by – jak pisał Ryszard Nycz – w utworze literackim widzieć tropy prowadzące do rzeczywistości i ślady odciśnięte przez osobę.

Literaturoznawczyńi snuje swoją opowieść o poetce i jej twórczości w naturalnym porządku biograficznym: od dzieciństwa, przez młodość, po dojrzałość i starość. W kolejnych rozdziałach zostały przedstawione cztery szkice do portretu Julii Hartwig, pochodzące z różnych etapów życia. Poetka została ukazana najpierw jako „Hartwizanka”, następnie jako „stypendystka”, „towarzyszka życia” i „mistrzynie”. Kolejne życiowe „role” analizowane są na tle wspólnoty rodzinno-środowiskowej, w kontekście historyczno-społecznym, z uwzględnieniem życia literackiego drugiej połowy wieku XX i początku kolejnego stulecia. Od-

powiadają temu różne czasoprzestrzenie: Lublin, Kraków, Łódź, Paryż, amerykańskie miasta i miasteczka, Warszawa. Na takim tle, poprzez różnorodne doświadczenia, ukazana została historia życiowej i artystycznej emancypacji, kształtowanie się tożsamości poetki w relacjach i spotkaniach z innymi (bardzo interesujące partie rozprawy zostały poświęcone związkom: z Ksawerym Pruszyńskim i z Arturem Międzyrzeczkim, a także licznym przyjaźniom: między innymi z Czesławem Miłoszem, Zbigniewem Herbertem, Anną Kamińską i Jerzym Turowiczem).

Przeanalizowane w ten sposób zostały kluczowe dla pisarstwa Hartwig tematy, motywy, artystyczne idee, przekonania na temat istoty sztuki i roli artysty. Najistotniejszą cechą opisywanej przez Annę Legeżyńską osobowości artystycznej okazuje się rozmaitość rozumiana „dwoistość”. To jedno z wielu „zapomnianych”, „niedzisiejszych” słów, obok na przykład „czułości” i „obcowania”, które poetka przypomina w tytułach swoich utworów (tom *Dwoistość* ukazał się w 1971 roku). Długo można by wliczać, co – w kontekście biografii i twórczości Hartwig – dwoistość oznacza: dążenie do ocalenia twórczej samotności i zarazem stałe nakierowanie uwagi na Innych, mówienie światu „tak” i afirmację istnienia mimo rozległej wiedzy o niedolach człowieczej egzystencji, oniryczne obrazy i dążenie do prostoty poetyckiego przekazu, fascynację sztuką i głębokie zanurzenie w rzeczywistości, połączenie emocjonalnej powściągliwości (widocznej w formach językowej ekspresji) z intensywną fantazmatycznością obecną w kreacjach świata poetyckiego, wyobrażnię oscylującą między jawą a snem, afirmatywno-melancholijny diapazon emocji, kontrolowany przez *ratio* itd.

Motywy kluczowym, powracającym w kolejnych odsłonach portretu poetki jest tytułowa „wdzięczność”, wywołana zaraz na początku pracy Anny Legeżyńskiej za sprawą cytatu z felietonu, w którym obok osobistego podziękowania poetki za „dary sztuki”, bliskim za ich obecność, innym ludziom i losowi za wolność, każdej chwili istnienia „mimo i na przekór bólowi i cierpieniu”, znalazła się także swego rodzaju definicja wdzięczności: „[...] to uczucie wszechogarniające, stanowiące jakby zakład naszego człowieczeństwa”. Docenianie rzeczy wielkich i małych darów codzienności, umiejętność przyjmowania świata jako daru jest głównym rysem projektu artystycznego i egzystencjalnego, uwidaczniającego się w biografii i pisarstwie Julii Hartwig. Ale można także powiedzieć, że praca Anny Legeżyńskiej wyrasta z wdzięczności – jest podziękowaniem za spotkanie z osobą poetki i z jej twórczością, za artystyczną propozycję oglądu świata, siebie i innych.

Książka badaczki z Poznania to fascynująca opowieść biograficzna, która jest zarazem studium literaturoznawczym, analizą poetyckiego idiomu, ale przede wszystkim (podobnie jak dwie książki biograficzne o poetach francuskich napisane przez samą Julię Hartwig) jest zapisem „spotkania w lekturze” i „przez lekturę” – spotkania w najgłębszym, bliskim filozofii sensie tego słowa.

Anna Legeżyńska: Julia Hartwig. Wdzięczność. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2017, s. 279.

Z drzewa przed telewizor

RYSZARD JASNORZEWSKI

Odnajdujemy się w świecie na własny sposób – lub po swojemu w świecie gubimy. Zawsze rażniej, gdy można wysłać list albo pocztówkę. Zatrzymujemy się na ulicy, przed katedrą bądź u wejścia na molo, bądź na szczycie góry, na przełęczy, w dolinie, zatrzymujemy się i nas się powstrzymuje – przed życiem lub niczym więcej. Można też usiąść na ławce w parku zdrojowym, stanąć w oknie hotelu, można podnieść się z krzesła w swoim pokoju, odpocząć w ciemności. Na biurku – albo gdzieś dalej – pozostanie wysłana do siebie pocztówka.

Sport jest okolicznościowym datownikiem – a czasem znacznikiem pocztowym, blednącym na poźółkłej kopercie. Tadeusz Różewicz, w dedykowanym Kazimierzowi Wyce opowiadaniu *Kibicce* – ogłoszonym w 1957 roku – wykrzystuje precyzyjny okolicznik czasu (tego czasu okoliczności): „Pewnego słonecznego dnia roku 1932, owego pamiętnego roku olimpijskiego, w którym Janusz Kusociński po dramatycznym biegu na 10 tysięcy metrów zdobył złoty medal, siedziałem na gałęzi a raczej na konarze lipy (...)”. W czasie osobistym dokonało się coś, dzięki czemu narratorowi, jego pamięci, jest ciągle słonecznie i bardzo bezpiecznie. W Los Angeles, na olimpijskiej bieżni, Kusociński dobiegł pierwszy do mety, a więc już dawno nie biegnie, a przecież nadal przewodzi innym, którzy wciąż za czymś albo do czegoś biegną, którym myślą się tory na bieżni, nie potrafią o odpowiedniej porze przeciąć taśmy albo taśma pęta im dłonie i nogi. Ale uparcie pokonują już nie dziesięć, a wiele tysięcy kilometrów – na ziemi, w powietrzu i w niebie.

Narrator widzi siebie jak na fotografii, która nie musi jeszcze zbyt wiele rozumieć. Usadowiony na konarze drzewa obserwował grę w piłkę. O „towarzyski” honor walczyły drużyny „Korony” i „Victorii”. Piłkarska „Korona” jest gospodarzem, bo mecz toczy się w Radomsku, a „Victoria” przy-

była z innego, niedalekiego, „sąsiedniego” miasta. Wszystkie kibicowskie gałęzie na zadrzewionej trybunie zasiedlono, obowiązywała hierarchia, sztabakowi przypadło miejsce nie najwyższe i raczej podłe, więc czasem w dół go spychano. Wszyscy w tym stadzie ludzkim, a trochę małpim: „Wrzeszczeli jak opętani, wydawali z siebie jęki pełne bólesci, machali rękami, palili papierosy, podrywali się ze swoich gałęzi”.

Narratorowi *Kibiców* nie dane było zobaczyć meczu do końca. Odwołał go z drzewa, zdjął jak zdejmując się z boiska, dyrektor gimnazjum. „Homo ludens” stał się znowu „homo sapiens”, człkiem spieszonym, wolno wracającym do domu, być może wracającym do odrabiania lekcji, do wkuwania w szkole życia niepotrzebnych formułek. Ale pamięć nie z tego się wierzga, a z fascynacji piłką i (w finale) z korsarskiej wyprawy na mecz życia, gdy „Korona” gościła wielką „Cracovię”, mistrza Polski i świata. Udało się wspiąć na wieżę ćwiczeń straży pożarnej – i pewno narrator wraz z bratem jeszcze do dzisiaj tam by zostali, nie płacąc nadal za bilet, gdyby nie stary Górka, dozorujący włości, który przegonił z niedokończoną przygodą.

Młodość, która w szczególnych, kibicowskich przypadkach, przygląda się grze piłkarzy z perspektywy gałęzi drzewa lub wieży strażaków, jest oderwana od ziemi, a więc z natury górna, śledzi ruch żywiołowo – tkwi w chmurach, buja w obłokach – i nie zejdzie w dół, do codzienności, bez nakazu, bez woli bardzo dorosłej. Ale jeszcze długo nie policzy kroków do przejścia. I wybierze (być może wspomni dzieciństwo) naśladowanie biegu albo galopu: „chłopcy drżą / rozpuszczają grzywy na wiatr / biją kopytem / w niecierpliwą ziemię” (*Zabawa w konie*).

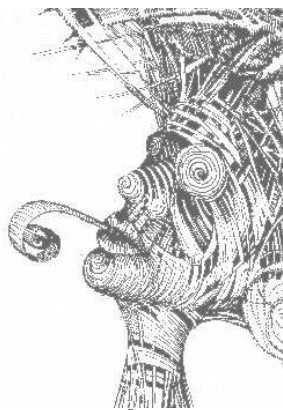
Ironia dojrzałego podmiotu lirycznego – a może podmiotu szyderstwa – siedzi wygodnie w fotelu, przed telewizorem, ekranem, światem w okienku, w sportowym lufciku. Ta ironia jest pojedyncza, ale miesza ze zbiorowym

amokiem, bo w medialnym cyrku zapowiedziano bieg panczenistów, bo trwa ją igrzyska, bo na tafli lodowej – przez pięć tysięcy metrów, do samej mety – ma zdobywać medal Polak Jaromir Radke. *Ballada o naszych sprawozdawcach sportowych* zdaje się być przydługa, ale jest tak tylko nadmier-na jak gadanie, które przywoła, zacytuje, ośmieszy. Sprawozdawcy są „nasi” i dla nas przedwcześnie dzielą tytuły („będzie złoto”). *Ballada Różewicza* jest liryką niefikcyjną, swobodnie sobie poczynającą z kalką relacji sportowej z igrzysk olimpijskich w Lillehammer w 1994 roku. Łyżwiarz miał zabłysnąć dla narodowej dumy w rywalizacji na pięć kilometrów, jeszcze nie było wiadomo, że zgaśnie na długo przed metą. Na linii startu, u progu ballady, to Jarrek, który później przeistacza się w Jaromira, a swój olimpijski występ kończy jako „Jaromir R.”, a więc ten, kto zawiñił, zawiódł rodaków. Liryka prześmiewcza jest w sumie oczywista – „nie jest dobrze nie jest dobrze / (no właśnie, przypisek mój)” – i wiernie odtwarza kliszę: „zbyt wielkie były nasze / oczekiwania”. Propaganda sportowa żyje krótko, a jej język byle jak z mowy korzysta: „będzie bronz / nie jest dobrze”; „a Polak ostatnie metryyy”; „siódmy! oj! siódmy...”; „chyba to napięcie nerwowe / dało znać o sobie”; „oj niedobrze. Nic nie bendzie”. Już każdy odbiorca relacji, już każdy Polak wie, że Norwegowie zdobędą więcej medali, ale my też mieliśmy orła, „więc mimo wszystko Wojciech Fortuna”.

Świat igrzysk i światek relacji wypada przeżywać roztropnie: „trener Kmieć mówił / to wielkie napięcie psychiczne / oczekiwaniem milionów rodaków / (ja nie oczekiwałem, / przypisek mój)”. Trener nosił tak naprawdę nazwisko Kmieć i pewno nigdy by nie trafił do wiersza, lecz jego zawodnika doprowadzono do domu podmiotu lirycznego, włączono w telewizorze, a potem – jak wielu innych bohaterów dnia, miesiąca, a nawet roku – wyłączono, w myśl reguły czasu antenowego.

Czas poety jest inny, bo jest bezwzględny. Poeta wie, że zamontowano mu talerz anteny satelitarnej na balkonie jaskini. Nie jest to co prawda jaskinia filozofa, ale przystań człowieka zdolnego myśleć równie okrutnie i podobnie logicznie, oglądać świat i napisać wiersz.

Dotarłem do końca własnego pisania, wykonałem przepisową liczbę znaków. Godzinę wcześniej głosem radiowym poinformowano, że najważniejszy dzisiaj sportowiec zimowy, mistrz igrzysk minionych i nadzieja kolejnych, które będą już wkrótce oglądał, odmawia rozmów z dziennikarzami, bo mu się wiedzie w skakanii na czterech skoczniach, a nie chce rozpalać ognisk emocji. Chwała mu za to. Nic z tego nie ma. Może lubi mijać się z wierszem. Zawsze to dla sportowca los jakoś lepszy, kameralny i na swój sposób liryczny.



ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

Farfocle

Kiedy w jednym z internetowych komentarzy związanych z ostatnim meczem w reprezentacji Polski naszego znakomitego bramkarza Artura Boruca przeczytałem, że czasem „zdarzało mu się puścić farfocla”, nie mogłem natychmiast nie uświadomić sobie, że ja – stary piłkarz i kibic – od dzieciństwa używam słowa *farfocele*, *farfocle* w zupełnie innym znaczeniu.

Ponieważ od zawsze nie lubiłem zup z pływającymi w nich w nadmiarze jarzynami (do dziś nie jadam dlatego barszczu ukraińskiego!), krzywiąc się, nazywałem te warzywne dodatki albo *paparuchami*, albo właśnie *farfoclami*.

Tych pierwszych nie ma w tradycyjnych, papierowych (jak się potocznie mówi) słownikach, leksykony elektroniczne natomiast przypisują *paparuchowi* znaczenia: „osoba niestarannie wykonująca swoje obowiązki; partacz, niezguła”, pejoratywnie „paparazzo” (na pewno przez skojarzenia brzmieniowe; *paparazzo*, w l. mn. *paparazzi* – przypomnijmy – to popularna nazwa fotoreporterów działających zwykle na własną rękę, specjalizujących się w wykonywaniu zdjęć znanych osób; słowo wywodzi się z filmu Federico Felliniego z roku 1960 *Słodkie życie*, w którym jedną z postaci jest natarczywy fotograf o imieniu Paparazzo, grany przez Waltera Santesso).

Słownik slangu definiuje *paparucha* jako „darmozjada” i jako „Cygana”, w „Słowniku gwary uczniowskiej” zaś pod red. prof. Haliny Zgółkowej z roku 2004 jest on okre-

śleniem „człowieka niezdarnego, ślamazary” oraz – ogólnie – „nauczyciela”.

Jak widać, *paparuch* w moim języku osobniczym i moich najbliższych z domu rodzinnego funkcjonował w zupełnie innym, co najważniejsze – nieosobowym, znaczeniu!

Na pewno bliższe znaczeniom słownikowym są używane przeze mnie *farfocle*. I tak w „Małym słowniku języka Górnego Śląska” z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec na str. 60 można przeczytać, że *farfocle* to „strzępy, kawałeczki; śmieci”: *Jakieś farfocle sie za tobóm ciógnóm. W tyj kawie pływajóm jakieś farfocle. Z kolei jako „zawiesinę” definiuje farfocle „Słownik gwary śląskiej” z roku 1996 Ilony i Andrzeja Czajkowskich oraz Doroty i Andrzeja Klukowskich.*

W słownikach ogólnych, np. w „Uniwersalnym słowniku języka polskiego” z roku 2003 pod red. prof. Stanisława Dubisza, *farfocele* – z niemieckiego *Vorfotzel* – ma znaczenie „kawałek, strzępek czegoś: *Wiszą ci przy spódnicy jakieś farfocle. W herbacie pływają farfocle.* W „Słowniku wyrazów obcych” z roku 1995 identyczna definicja *farfocla* – „kawałek, strzępek czegoś” – uzupełniona jest wyrażeniem: „zwykle oddarty, wiszący”.

Ale jak się te znaczenia mają do *farfocla* z internetowego wpisu o Borucu? – mogą zapytać Państwo w tym momencie. – Z odsieczą znów przychodzi leksykony internetowe. W słowniku slangu *farfocele* definio-

wany jest nie tylko jako „strzępek, zmechacony kawałek (ubrania, czapki wełnianej w uchu, skarpetki między palcami itp.), ale także jako „coś brzydkiego, defekt, nieokreślonego kształtu skaza” (np. o malowaniu bramy: „Aleście napaćkali – same lzy i farfocle”), jako „ktoś dwulicowy i wredny” („Nie obgaduj mnie, farfoclu!”), a co dla tego wywodu najważniejsze – w slangu piłkarskim – jako „liche lub niedokładne uderzenie piłki” („Aleś farfocla posłał!”).

Skoro zatem w slangu piłkarskim *farfocele* to „liche lub niedokładne uderzenie piłki”, nietrudno o poszerzenie zakresu używalności tego wyrazu, jak w cytacie otwierającym dzisiejszy odcinek: „Borucowi zdarzało się puścić farfocla”, czyli „czasem puścił strzał mamy, lichey, ławty do obrony”.

Wskazaliśmy wyżej pochodzenie formy *farfocele*: od niemieckiego rzeczownika *Vorfotzel*.

Współczesne słowniki polsko-niemieckie przy haśle *farwocele* podają odpowiednik *Fetzen*.

W części niemiecko-polskiej z kolei przy haśle *Fetzen* mamy znaczenie „gałganek, łachman”. Przytaczam te pary wyrazowe, byśmy sobie na koniec uświadomili częściowe pokrewieństwo *farfocli* z potocznie używanym słowem *huncwot* – „nicpoń, łobuz, szelma”. To ostatnie też pochodzi z języka niemieckiego – od złożonego słowa *Hundsfoth*, dosłownie znaczącego tyle, co „psi tyłek”, a dosadniej „organ płciowy suki”.

Bolesław Lubosz

– przypisy do biografii

KRYSTIAN KRZEMIŃSKI

Bolesław Lubosz był tytanem pracy, jednym z najwybitniejszych poetów i prozaików z rodowodem śląskim, ale także dociekliwym, mającym ogromną wiedzę publicystą, eseistą, krytykiem, tłumaczem, wydawcą, znawcą literatury i teatru. Ukochał rodzinne Tarnowskie Góry, całą śląską krainę, jakkolwiek o sobie i o ludziach tej ziemi pisał oszczędnie, mądrze, bez zbędnego patosu i sentymentu. Był jednym ze współzałożycieli Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Tarnogórskiej. Pozostawił po sobie wspomnienie dobrego człowieka i artysty słowa, jego spuścizna obejmuje bardzo wiele książek i niezliczoną liczbę publikacji prasowych.

Bolesław Lubosz urodził się w mieście – jak często podkreślał – pracowitych gwarków 11 stycznia 1928 roku w domu przy ul. Sienkiewicza 10. „Ileż to lat musi minąć zanim człowiek powołany zostanie do odkrycia świętości swego miasta” – napisał w jednym ze swoich wierszy, pomieszczonych w ostatnim zbiorze zatytułowanym *Późny horyzont*.

Ojciec Bolesława Lubosza, Franciszek, pochodził z Rybnej pod Tarnowskimi Górami. Był uczestnikiem trzech powstań śląskich. Po ich zakończeniu osiadł z żoną, Augustyną z Mrozków, w Tarnowskich Górach i pracował na kolei jako ślusarz maszynowy, ukończył też techniczną szkołę zawodową. Matka pisarza wywodziła się z Żernik pod Gliwicami. Jego dziadkowie zaś, zarówno ze strony ojca (Franciszek), jak i matki (Kacper), byli górnikami.

Przyszły pisarz przykładał się do nauki, najpierw w tarnogórskiej Szkole Podstawowej im. Króla Jana III Sobieskiego, później, już po wojnie, w Gimnazjum i Liceum im. Księcia Jana Opolskiego. Rozczytywał się w książkach zgromadzonych w bibliotece ojca. Dzięki temu poznał m.in. twórczość Mickiewicza, Sienkiewicza, Reymonta, Orzeszkowej, Konopnickiej, ale także klasyków niemieckich: Goethego, Schillera, Heinego. W czasie

spotkań autorskich lubił opowiadać o swoich gimnazjalnych profesorach, którzy wywarli duży wpływ na jego rozwój intelektualny oraz wybór kierunku studiów. Wspominał nauczycielkę matematyki Jadwigę Warzewską, polonistę Stanisława Hużę, nauczyciela języka francuskiego Władysława Semkowicza, historyka Władysława Piaseckiego, fizyka Tadeusza Grondalczyka. W okresie nauki szkolnej powstały pierwsze jego wiersze. Wtedy też poznał poezję Miłosa, Zagórskiego, Peipera, Lechonia, Iwaszkiewicza, jak również zgłębiał prozę Pruszyńskiego, Borowskiego, Żukrowskiego, Dygata.

Po maturze rozpoczął studia polonistyczne i slawistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W gronie profesorów Bolesława Lubosza znaleźli się m.in. Julian Kleiner, Stanisław Pigoń, Kazimierz Wyka, Zenon Klemensiewicz, Roman Ingarden, Jan Safarewicz, Tadeusz Grabowski.

Debiutował wierszami na łamach „Dziennika Literackiego” – dodatku tygodniowego do „Dziennika Polskiego” w roku 1950. W następnym roku, będąc na ostatnim roku studiów, rozpoczął pracę w „Dzienniku Zachodnim”. Wtedy został też sekretarzem Komitetu Organizacyjnego, tworzącego się z inicjatywy sztygara Alfonsa Kopii, późniejszego Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Tarnogórskiej.

W 1951 roku, za namową Wilhelma Szewczyka, został członkiem kandydatem Związku Literatów Polskich w Katowicach. Spotkał w nim wielu znanych twórców, m.in.: Gustawa Morcinka, Stanisława Ligonias, Zdzisława Hierowskiego, Aleksandra Baumgardena, Jana Brzozę.

Po ukończeniu studiów Bolesław Lubosz wrócił do Śląsk. W 1958 roku wyjechał z Tarnowskich Gór, podejmując w Bielsku-Białej pracę kierownika literackiego w tamtejszym teatrze. Pracę tę wykonywał przez 9 lat. Od końca lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku mieszkał z żoną Walerią i synem Wacławem w Katowicach. Później w sumie przez

20 lat pracował na stanowisku kierownika literackiego w teatrach Cieszyna, Sosnowca, Częstochowy, Katowic i Opola.

Pierwszy zbiór wierszy *Czas ballady* wydał w Katowicach w 1959 roku, jakkolwiek uważał, że ważniejszą od debiutu była jego druga książka poetycka: *Milczenie węgla* z 1962 roku, dedykowana matce Augustynie i żonie Walerii. Powiedział w rozmowie z Edwardem Szopą: „Znalazłem w niej swoją formułę twórczą. I swój temat. Był to trop, który prowadził do skomplikowanej natury człowieka tej ziemi”.

W następnych latach wydał następne zbiory wierszy, m.in.: *Odkrywanie Kolumba*, *Spojrzenie za siebie*, *Rzecz osobistą*, *Gniazdo*. Od 1969 roku pracował w dwutygodniku „Poglądy”, któremu pozostał wierny aż do rozwiązania pisma w stanie wojennym.

Przez kilka lat, od roku 1975, był zastępcą redaktora naczelnego Wydawnictwa „Śląsk” w Katowicach; kierował redakcją literatury pięknej.

W Uniwersytecie Śląskim w Katowicach prowadził przez pewien czas zajęcia z literatury na IV roku, a na V roku – wykłady monograficzne. W roku 1969 Bolesław Lubosz wydał gawędę literacką zatytułowaną *Kraina gwarków i lasów*. To niezwykle barwna i mądra opowieść o ludziach tej ziemi, od gwarków do górników, o lasach, o dobowanych skarbach z czeluści podziemi, całej ożywionej i nieożywionej przyrodzie, znamienitych i sławnych gościach, którzy odwiedzali ówczesny region bytomsko-tarnogórsko-lubliniecki.

Drukował artykuły publicystyczne, eseje, opowiadania i felietony na łamach m.in. „Życia Literackiego”, „Literatury”, „Dziennika Zachodniego”, „Opola”, „Kwartalnika Opolskiego”, „Sobótki”, „Odry”, „Przemian”, „Zarania Śląskiego”, „Poglądów”, „Poezji”, i „Panoramy”, w której również pracował. Ważną dziedziną jego aktywności twórczej pozostawała praca nad tłumaczeniami z języka łużyckiego. Bolesław Lubosz przełożył na język polski m.in. powieść łużyckiego pisarza Jurija Kocha *Drzewo wiśni*, opowieść Marcina Nowaka-Niejchorńskiego *Krabat* i inne utwory. Tłumaczył też literaturę niemiecką, czeską i rosyjską. Z kolei książki Bolesława Lubosza były tłumaczone na języki: niemiecki, czeski, łużycki, ukraiński. Ogromna jest także liczba rozmaitych utworów Bolesława Lubosza w wydawnictwach zbiorowych w kraju i za granicą; recenzji i omówień jego książek, przyznanych nagród, spotkań autorskich, wypowiedzi i rozmów w środkach przekazu.

W połowie lat siedemdziesiątych Pan Bolesław rozstał się na długi czas z pisaniami wierszy. Ukazały się bowiem jego książki prozatorskie: zbiór opowiadań zatytułowanych *Opowiedzieć zapomnienie* dotyczących okresu powstań śląskich oraz lat okupacji; eseje *Filomaci i entuzjaści* m.in. o godzinach śląskich Adama Mickiewicza, o Józefie Lompie, Pawle Stalmachu, cieszyńskich filaretach, o twórczości Emanuela Imieli; powieść

psychologiczną *Wyjście z ognia*, która posiada strukturę sensacyjnej noweli; zbiór szkiców historyczno-literackich *Bohaterowie i statysci* o dawnych sprawach Śląska, m.in. o bitwie pod Byczyną w 1588 roku, o wkładzie do kultury śląskich arian, o potomkach Jana III Sobieskiego związanych ze Śląskiem, o kontaktach śląskich filomatów. W 1987 roku ukazały się *Opowieści o sławnych kochankach*.

W 1990 roku, czyli po 9 latach od wydania *Rzeczy osobistej*, Bolesław Lubosz powrócił do poezji publikując poemat *Cztery pory odkupienia*. Toczy się w nim dialog małego człowieka, który jest mierzwą historii, ze starym człowiekiem Einsteinem. Poeta odśpiewuje w nim ziemie Piastów, Polaków z Podola, Wołynia, Litwy i Białorusi; ziemie Mickiewiczów i Słowackich, Zalewskich, Sobieskich; ziemie Lompy, Miarki, Bonczyka, Korfantego. Jawią się również małe ojczyzny: Opole, Wrocław, Zielona Góra, Tarnowskie Góry, Strzybnica, Repty, Bobrowniki, Sowice, Czarna Huta, Pniowiec. Wyrastają znowu symbole: Góra Świętej Anny, powstania śląskie, Wieża Spadochronowa. Pobrzmiewa także, narastając i opadając, muzyka Henryka Mikołaja Góreckiego.

Przez wiele lat autor *Czterech pór odkupienia* zasiadał w jury Tarnogórskiego Konkursu Poetyckiego imienia ks. Jana Twardowskiego, którego twórczynią i sekretarzem jest Stanisława Szymczyk. Zasiadał też w jury konkursu gwarowego *Po naszymu, czyli po śląsku* razem z prof. Dorotą Simonides, prof. Janem Miodkiem i Kazimierzem Kutzem. Do udziału w pracach jury zaprosiła Pana Bolesława twórczyni tego konkursu – senator Maria Pańczyk-Pozdziej. Kiedy pojawili się uczestnicy z okolic jego rodzinnego miasta, Pan Bolesław promieniował, gdyż miał rozległą wiedzę historyczną, geograficzną i taką wiedzę czysto ludzką.

W 1990 roku wydał też kolejny zbiór wierszy *Wawel*, w następnych latach – *Wiersze lużyckie*, antologię powojennej poezji serbo-lużyckiej *Z biegiem Strugi, z biegiem lat*, zbiór felietonów *Alfabet śląski*, w których nie zabrakło tarnogórczan: dra Bronisława Hagera, sztęgara Alfonsa Kopii, ks. infułata Michała Lewka, prawnika Józefa Niedzieli, redaktora Marii Pańczyk-Pozdziej, Józefa Piernikarczyka i jego syna Czesława Piernikarczyka.

W 1996 roku Bolesław Lubosz wydał powieść *Twoja zagłada w Rzymie* – pierwszą część dyptyku o zdarzeniach w Italii na tle sytuacji polityczno-kulturowej w XIV wieku, a po niej, w następnym roku – opowiadania *Śląski hetman* oraz drugą część dyptyku zatytułowaną *Cola di Rienzo*. Książka ta opowiada o karierze



i o dziejach upadku XIV-wiecznego rzymskiego trybuna Cola di Rienzo, zwolennika powrotu republiki i zjednoczenia pod rzymską supremacją państw-miast Półwyspu Apenińskiego.

W 1998 roku Bolesław Lubosz obchodził siedemdziesiąt rocznicę urodzin. Z tej okazji jego przyjaciele skierowali pod adresem Jubilatę wspomnienia, anegdoty, wiersze, refleksje, rysunki. Z tekstów tych i rysunków powstała niezwykła i wyjątkowa książka zatytułowana *Tropiciel słów*, która bardzo ucieszyła i wzruszyła Pana Bolesława. Jubileuszowe spotkanie z Bolesławem Luboszem odbyło się w tarnogórskim Muzeum w ramach 51. „Wieczoru pod renesansowym stropem” w dniu 6 marca 1999 roku. Do Muzeum przybyli niektórzy współautorzy *Tropiciela słów*. Redaktor Maria Pańczyk-Pozdziej na antenie Polskiego Radia Katowice nadała godzinną relację z tego jubileuszowego „Wieczoru”.

We wrześniu 1999 roku Bolesławowi Luboszowi przyznano tytuł Honorowego Obywatela Tarnowskich Gór za jego twórczość literacką i publicystyczną.

Kobieto, boski diable to kolejna książka Bolesława Lubosza, wydana w 2000 roku. Tym razem twórcą napisał opowieść o miłości Adama Mickiewicza, wielkiego twórcy, o poecie dojrzewającym do ekspansji twórczej, a zarazem o wrażliwym młodym człowieku, który poszukuje miłości, przyjaciół i piękna.

Pod koniec 2000 roku w kanadyjskim wydawnictwie „Silican House” w Mississauga ukazał się wybór wierszy Bolesława Lubosza *Niedoskonałość*. Autorem wyboru jest Florian Śmieja – hispanista, poeta, tłumacz, naukowiec i edytor. Twórców tych łączyły więzy przyjaźni, znaczo-

ne tarnogórskimi wspomnieniami, wymianą listów i książek.

Obszerny zbiór wierszy *Późny horyzont* to ostatnia książka Bolesława Lubosza, która ukazała się na krótko przed jego śmiercią. Pomieszczone w tym tomie wiersze powstawały w okresie ciężkiej choroby, kiedy Pan Bolesław świadomy był swego stanu. W posłowniu profesor Marek Piechota napisał m.in.: „Gdybym miał szukać dominant tego tomu, musiałbym z pewnością wskazać na nieustanne zdziwienie, zdziwienie: sobą i światem, sobą w świecie i sobą dla świata, sobą i innymi, światem w sobie; to poezja bardzo osobista, a jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że kryjąca za sobą jeszcze jakąś tajemnicę. Jeśli moja intuicja mnie nie zawodzi, Pan Bolesław nie odśpiewa w pełni, niekiedy nie dopowiada myśli, nie formułuje ostatecznych sądów, nie zmienia wypowiedzi w granitowy pomnik skończonego olśnienia”.

W przywołanej książce *Tropiciel słów* Edward Szopa zadał Bolesławowi Luboszowi pytanie, ostatnie, jakie padło w ich roz-

mowie, pytanie o spełnienia i niespełnienia. Pisarz, poeta, artysta słowa, odpowiedział: „Uważam, że życie kończy się niespełnieniem. Pociąga za sobą wszystkie wielkie zamierzenia z okresu młodości, czyli burzy i naporu. Moja twórczość, jak życie, kończy się w podobny sposób...”

W tomie *Późny horyzont* znajdujemy wiersz *Tarnowskie Góry* z dedykacją: Marysi Pańczyk-Pozdziej. Wiersz-wyznanie, wiersz przejmujący. Posłuchajmy:

O tej odnalezionej porze,
kiedy schodzą się podmuchy
wszystkich pokoleń – w tym miejscu,
gdzie pulsuje środek mojego świata,
codziennie od nowa wprowadzam się
do miasta moich wielkich obowiązków.
Wiem, że tylko tu mogę odnaleźć
niebo i ziemię i ową rozkwitającą
w mrokach roboczych myśli człowieczą.
.... Tak będzie po wsze czasy!

Bolesław Lubosz zmarł 7 września 2001 roku w Katowicach. Urnę z Jego prochami złożono do grobu teściów Emmy i Franciszka Kidałów na starym cmentarzu przy kościele św. Anny w Tarnowskich Górach w dniu 14 września. Cały czas podczas pogrzebu padał drobny deszcz.

Laudacja na uroczystość nadania imienia Bolesława Lubosza Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tarnowskich Górach przy ul. Zamkowej 5 w dniu 8 maja 2009 roku. Esei w wersji rozszerzonej ukaże się w tomie „Światy poetyckie Bolesława Lubosza” pod red. Mariana Kisiela i Katarzyny Niesporek.

Trzej Królowie w Katowicach

TOMASZ BIENEK

6 stycznia Orszak Trzech Króli już po raz kolejny wyruszył w drogę spod katowickiej katedry Chrystusa Króla. W podobnie jak w poprzednich latach impreza zgromadziła wielu mieszkańców, nowością była jednak zmiana trasy pochodu.

Orszak Trzech Króli to największe jasełka na świecie. W Polsce jest stosunkowo nową tradycją. Barwne widowisko, organizowane w dniu Objawienia Pańskiego, w trakcie którego mieszkańcy wcielają się w postaci z czasów narodzin Jezusa, pochodzi z Hiszpanii, bardzo popularne jest także w Meksyku. W kulturze hiszpańskiej orszak odbywa się 5 stycznia, a w wielu miastach Trzej Królowie rozdają dzieciom oglądającym widowisko cukierki i słodycze. W tamtejszej tradycji to właśnie Trzej Królowie, a nie św. Mikołaj przynoszą dzieciom prezenty; istnieje więc wiele powodów, dla których dzień ten uwielbiany jest przez najmłodszych.

W Polsce pierwsze orszaki pojawiły się dziewięć lat temu na ulicach Torunia i Warszawy, a wkrótce barwny zwyczaj przyjął się w innych miastach, jednak prawdziwy rozkwit tej imprezy nastąpił po 2011 roku, gdy dzień 6 stycznia jako Święto Trzech Króli stał się wolny od pracy.

Jednym z pierwszych miast, które podjęły zwyczaj królewskiego pochodu były Katowice. Jak co roku, pochód rozpoczął się pod katowicką katedrą.

– Zapraszając diecezjan do udziału w Orszaku metropolita katowicki arcybiskup Wiktor Skworec zauważył, że jest on organizowany z entuzjazmem przez tych, którzy wzorem ewangelicznych Mędrców ze Wschodu zmierzają do Betlejem – poinformowało biuro prasowe archidiecezji katowickiej. – Jak napisał abp Skworec, „przechodzą ulicami naszych miast, aby dzielić się radością prawdą o narodzeniu Zbawiciela świata i prowadzić wszystkich do duchowego spotkania z Nim. Serdecznie zapraszam – zwłaszcza Rodziny – do udziału w Orszaku Trzech Króli w Waszych parafiach i miejscowościach. Zapraszam do wyjścia na drogi archidiecezji katowickiej, aby śpiewać kolędy i manifestować radość z bliskości Boga, który

stał się Człowiekiem dla naszego zbawienia i został objawiony narodowi. Niech ta procesja, symboliczne włączenie się w Orszak Trzech Króli, umocni wierzących, zbliży do Kościoła tych, którzy się od niego oddalili, pomoże znaleźć Boga tym, którzy Go szukają. Niech udział w marszu będzie złączony z uczestnictwem w Eucharystii w kościele parafialnym lub w katowickiej katedrze Chrystusa Króla”.

Tradycyjnie orszak poprzedziła msza św. w katedrze o godz. 12. Wiosenna aura pozytywnie zaskoczyła zarówno organizatorów, jak i uczestników procesji. Przed godz. 14 orszak wyruszył w drogę. W przeciwieństwie do lat wcześniejszych nie kierował się jednak w stronę Rynku i Ronda, lecz na osiedle Paderewskiego. Barwny korowód przeszedł ulicą Powstańców na ulicę Wita Stwosza, a następnie na plac Miarki. Stąd udał się w stronę placu Sejmu Śląskiego, ponownie wszedł na ulicę Powstańców i dalej na plac Rady Europy. Finał orszaku odbył się na placu Żołnierza Polskiego na osiedlu Paderewskiego. W trakcie pochodu miało miejsce sześć przystanków, w trakcie których twórcy przedstawiali inscenizację scen biblijnych. Pierwsza jasełkowa scena; „Objawienie”, odegrana została przy katedrze, następnie uczestnicy pochodu mogli obejrzeć „Pierwszy grzech”, zainscenizowany u wylotu ulicy Wita Stwosza do placu Miarki. Kolejnymi przystankami na królewskiej drodze były: „Dwór Heroda” (na schodach Urzędu Wojewódzkiego), „Gospoda” (na ul. Powstańców) i „Walka dobra ze złem” (na placu Rady Europy). Sceną finałową był „Pokłon w stajence” na placu Żołnierza Polskiego. Także tu odbył się zamykający imprezę koncert zespołu „Tysiactłaki” oraz wspólne kolędowanie.

– Orszak Trzech Króli to oddolna inicjatywa, która łączy i spaja lokalne społeczności. To niezwykle wydarzenie tworzą rodziny, szkoły, nauczyciele, sąsiedzi, lokalne władze, księża i ludzie dobrej woli – różnych poglądów i wyznań – którzy poświęcają swoje zdolności, umiejętności, czas i środki – wyjaśniają organizatorzy pochodu. – Tegoroczny orszak odbył się pod hasłem „Bóg jest dla

wszystkich”. Motywem przewodnim było przypomnienie uczestnikom orszaku, że Bóg przyszedł, aby odkupić każdego człowieka i czeka na wszystkich.

Przemarsz biblijnych postaci przez Katowice zgromadził kilka tysięcy mieszkańców. Uwagę zwracały bogate kostiumy aktorów odgrywających role w orszaku. W związku z uroczystością Objawienia Pańskiego orszaki Trzech Króli zorganizowano też w pozostałych miejscowościach regionu. Orszaki pojawiły się m.in. na ulicach Mysłowic, Chorzowa, Gliwic, Świętochłowic, Łędzin, Jastrzębia Zdroju, Rudy Śląskiej, Piekar Śląskich, Rybnika, Dąbrowy Górniczej, Lublińca, Tarnowskich Gór, Zabrze.

W Częstochowie orszak rozpoczął się mszą świętą o godz. 12 w Bazylice Archikatedralnej pw. Świętej Rodziny. Nabożeństwo odprowadził biskup Andrzej Przybylski. Po mszy kolorowy orszak wyruszył na Jasną Górę

Równie uroczysto obchodzono Święto Trzech Króli na Podbeskidziu. W Bielsku-Białej w główne role inscenizacji, czyli w tytułowych króli wcielili się m.in. znani aktorzy: Jacek Borusiński z kabaretu Mumio oraz Tomasz Lorek z Teatru Polskiego w Bielsku-Białej. Tutejszy orszak rozpoczął się mszą o 10.30 w kościele św. Maksymiliana Kolbego w Bielsku-Białej Aleksandrowicach. Po nabożeństwie korowód przeszedł ulicami Wrzosową, Cieszyńską, rondem Hulanka i znów Cieszyńską na Stary Rynek, gdzie obchody zakończyło kolędowanie z zespołem „Dzień Dobry”.

Orszak Trzech Króli pojawił się też na ulicach Żywca i Cieszyna. W Cieszynie obchody rozpoczęto na Rynku o godz. 13 i trwały one aż do godzin wieczornych. W programie był Pokłon Trzech Króli, wspólne kolędowanie, konkurs dla dzieci na najpiękniejszy strój orszakowy oraz koncert kolęd w wykonaniu Estrady Ludowej Czantoria w kościele św. Magdaleny. Ponadto odbyła się degustacja specjalów z kuchni parafialnej ochmistrzyni oraz kiermasz handlowy. O godz. 20 w Browarze Zamkowym w ramach „Nocy Trzech Króli” rozpoczęły się imprezy muzyczne.

Obchody Święta Trzech Króli miały też miejsce w licznych miejscowościach na terenie Zagłębia Dąbrowskiego. W Sosnowcu aż cztery orszaki wyruszyły z kościoła pw. Św. Floriana w Zagórz, kościoła pw. św. Jacka w Dańdówce, oraz klimontowskich kościołów pw. Matki Bożej Różańcowej i pw. Chrystusa Króla. Korowody spotkały się na Placu Papieskim, gdzie nastąpił finał uroczystości. W Będzinie uroczystości rozpoczęły się mszą w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa przy alei Kółłatają, a zakończyły się przy kościele Świętej Trójcy na wzgórzu zamkowym.



W Centrum Kulturalno-Edukacyjnym w Czerwionce-Leszczynach 9 listopada 2017 roku odbyła się uroczystość 50-lecia Biblioteki Publicznej. W części oficjalnej wydarzenia wystąpili władze gminy i miasta: Wiesław Janiszewski – burmistrz Czerwionki-Leszczyn, Bernard Strzoda – przewodniczący Rady Miejskiej oraz Marek Profaska – wicestarosta powiatu rybnickiego. Głos zabrały również dr Edyta Antoniuk-Kiedos – w zastępstwie dyrektora Biblioteki Śląskiej i Stanisława Adamek – dyrektor Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rybniku. Uroczystość uświetnił pokaz filmu promującego 50-letnią działalność biblioteki oraz koncert zespołu Universe.

Jubileusz 50-lecia Biblioteki Publicznej w Czerwionce-Leszczynach łączył podsumowanie minionych lat działalności biblioteki z dyskusją nad wyzwaniem teraźniejszości. Wyróżnione zostały instytucje i osoby wspierające książnicę. Aleksandra Pietruszewska, dyrektor Biblioteki Publicznej, podziękowała także emerytowanym pracownikom książnicy za wieloletnią pracę i zaangażowanie.

Niewątpliwie największą wartością biblioteki są czytelnicy, to oni wraz z bibliotekarzami stanowią duszę instytucji i mają wpływ na kierunek jej rozwoju. Z zasobów bibliotecznych w 2016 roku korzystało ponad 9000 użytkowników. Mieszkańcy Czerwionki-Leszczyn uczestniczyli też w przeszło 400 spotkaniach autorskich, lekcjach bibliotecznych i warsztatach edukacyjnych organizowanych przez Bibliotekę Centralną wraz z podlegającymi jej filiami. Obecnie Biblioteka Centralna posiada 2320 aktywnych czytelników, wśród nich są osoby, które pamiętają zbiory z 1967 roku. Podczas jubileuszowej uroczystości wyróżnieni zostali czytelnicy, którzy z biblioteką związani są najdłużej oraz ci, którzy przez ostatnie kilkanaście lat przeczytali najwięcej książek.

Podczas 50 lat istnienia nasza biblioteka rozwijała się i zmieniała. W 2010 roku przeprowadzono generalny remont jej siedziby w ramach projektu „Biblioteka bez barier – przebudowa i wyposażenie Biblioteki Publicznej w Czerwionce-Leszczynach”. W wyniku modernizacji została zwiększona powierzchnia placówki, a obiekt przystosowano do potrzeb osób niepełnosprawnych.

Dane dokumentujące działalność biblioteki, a także spostrzeżenia i uwagi czytelników składają się na obraz instytucji, która nieustannie się rozwija, starając się łączyć tradycję z nowoczesnością. Biblioteka tętni życiem, intryguje i przyciąga. To już nie tylko wypożyczalnia książek, lecz także miejsce, w którym organizowane są spotkania z pisarzami, ilustratorami i ludźmi kultury.



Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA BIBLIOTEK



Biblioteka Publiczna w Czerwionce-Leszczynach

Nieszablono na Pięćdziesięciolecie

Dla wielu mieszkańców to okno na świat, źródło informacji, inspiracji, a także ośrodek upowszechniania wiedzy. Niezmiennie najważniejszą i wyjątkową rolę naszej biblioteki jest kreowanie mody na czytanie, dlatego co roku placówka podejmuje wiele działań pro-

mocyjnych, włączając się m.in. w obchody Międzynarodowego Dnia Książki Dziecięcej czy Dnia Osób Niepełnosprawnych. Biblioteka uczestniczy także w kampanii społecznej „Cała Polska czyta dzieciom” oraz w Narodowym Czytaniu.



Pamiątkowe statuetki z rąk Aleksandry Pietruszewskiej, dyrektor Biblioteki Publicznej w Czerwionce-Leszczynach, odebrały osoby wspierające książnicę



Podczas jubileuszowego spotkania wyróżniono najbardziej aktywnych czytelników biblioteki

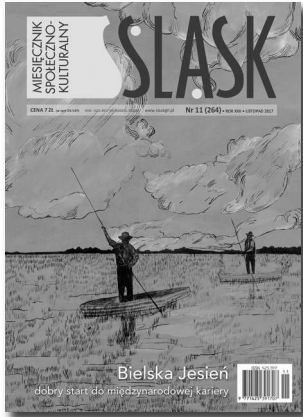
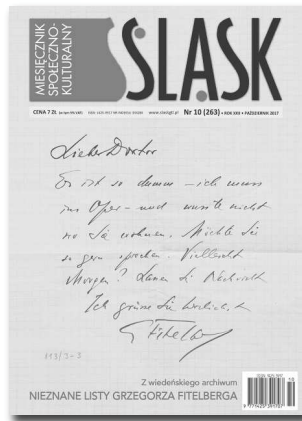
Biblioteka Publiczna w Czerwionce-Leszczynach, przygotowując ofertę kulturalną i edukacyjną, uwzględnia oczekiwania lokalnej społeczności. W 2015 roku dzięki projektowi „Kraszewski. Komputery dla bibliotek” wzbogaciła się o dziewięć nowych komputerów, które trafiły do czytelników multimedialnej i wypożyczalni. Książnica w 2016 roku wzięła udział w projekcie *Przyrodniczy diament regionu*, którego celem była promocja gminnych miejsc atrakcyjnych przyrodniczo i troska o środowisko naturalne. W ramach przedsięwzięcia prowadzono lekcje biblioteczne dla przedszkolaków i uczniów szkół podstawowych na temat recyklingu i ochrony środowiska. Biblioteka – dzięki pozyskanemu gran-

towi – zakupiła atrakcyjne materiały dydaktyczne, pobudzające kreatywność i rozwijające umiejętności manualne. Gry edukacyjne i zestawy plastyczne oczarowały najmłodszych, a nauka stała się prawdziwą przyjemnością. Ponadto Biblioteka Publiczna w Czerwionce-Leszczynach w ramach współpracy ze Stowarzyszeniem „Najważniejsza Jest Tradycja” zorganizowała cykl zajęć kulturalno-edukacyjnych *Kopalnia Tradycji*. Pracownicy Biblioteki Centralnej i filii bibliotecznych przybliżali zagadnienie tożsamości regionalnej, ukazując Śląsk na tle innych części Polski. Celem zajęć było upowszechnianie kultury śląskiej, kształtowanie poczucia więzi z regionem oraz rodzinną miejscowością.

W 2017 roku w ramach programu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Promocja czytelnictwa” biblioteka we współpracy z Fundacją Szafa Gra z Ornontowic zrealizowała projekt *Pre tekst: od książki do sztuki*, dzięki któremu mieszkańcy Czerwionki-Leszczyn mogli uczestniczyć w wielu spotkaniach autorskich oraz w warsztatach edukacyjnych i artystycznych. Do biblioteki przyjechali m.in.: Janusz L. Wiśniewski, Michał Rusinek, Andrzej Pilipiuk, Grażyna i Wojciech Jagielscy, Aleksandra Cieślak, Miłosz Markiewicz, Andrzej Kapłanek, Thomas Arnold oraz najbardziej oczekiwany gość – Magdalena Zawadzka, aktorka filmowa i teatralna, autorka książki *Moje szczęśliwe wyspy*. Projekt przyczynił się do zainteresowania mieszkańców literaturą i przyciągnął do biblioteki nowych czytelników, stał się pretekstem do aktywizacji mieszkańców przez zapromowanie udziału w ciekawych spotkaniach autorskich i towarzyszących im działaniach artystycznych.

Jubileusz biblioteki to doskonała okazja nie tylko do spojrzenia wstecz, ale też do promocji aktualnych działań. Aby przyciągnąć nowych czytelników, nieustannie staramy się przygotowywać nietypowe, intrygujące propozycje, które sprawią, że mieszkańcy będą postrzegać bibliotekę jako nowoczesną instytucję proponującą – oprócz wartościowej literatury – bogatą i atrakcyjną ofertę kulturalną.

ALEKSANDRA PIETRUSZEWSKA



Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2018 rok!
Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

**Prenumerata roczna – 84 złote
 Prenumerata półroczna – 42 złote
 Prenumerata kwartalna – 21 złotych**

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIÓŁOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
nazwa odbiorcy cd.	UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE
l.k.	08203000451110000004079490
nr rachunku odbiorcy	
kwota	WP PLN
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem	PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
tytułem cd.	„ŚLĄSK”

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
nazwa odbiorcy cd.	UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE
l.k.	08203000451110000004079490
nr rachunku odbiorcy	
kwota	WP PLN
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem	PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
tytułem cd.	„ŚLĄSK”

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

K S A L S MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Jan Picheta
Joanna Kotkowska
Janusz Ireneusz Wójcik

Ostatni dzień człowieka – wystawa Szymona Szewczyka w Małej Przestrzeni

KATOWICE. Szymon Szewczyk (ur. 1989), artysta audiowizualny, absolwent Malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Tworzy obrazy, instalacje, wideo, scenografie, kolażowe obiekty z wykorzystaniem materiałów budowlanych i ich tanich imitacji, artysta wyobraża sobie ostatni dzień człowieka: duszny, wilgotny, z falującym od upału powietrzem. Ostatni żywy człowiek i zarazem ostatni zwiedzający, błąka się po opustoszałej okolicy podziwiając piękno zagłady i potęgę przyrody. Próbuje złapać ostrość w środowisku pełnym błotnych wyziewów, brodzi w gruzowiskach przedmiotów i kości.

25. Biennale Plakatu Polskiego

KATOWICE. *Wernisaż wystawy pokonkursowej 25 Biennale Plakatu Polskiego, połączony z ogłoszeniem wyników głosowania Jury i wręczeniem nagród laureatom. Biennale Plakatu Polskiego w Katowicach jest związane z katowicką uczelnią poprzez osoby pomysłodawców tego wyjątkowego przedsięwzięcia, w tym przede wszystkim prof. Tadeusza Grabowskiego, który biennale wymyślił i do dziś, do jubileuszowej edycji jest w gronie organizatorów i zagorzałych propagatorów plakatu. Wbrew wielu opiniom i podejrzeniom plakat ciągle pojawia się w realizacjach, jest i pozostanie jednym z ważnych elementów współczesnej sztuki projektowania.*

Laureaci 25 Biennale Plakatu Polskiego:

Nagrody regulaminowe

Grand Prix – Tadeusz Gustaw Wiktor *Epitafium dla Kazimierza Malewicza*;

Złoty Medal – Władysław Pluta *VII Międzynarodowy Konkurs Fletowy*;

Srebrny Medal – Michał Kliś *Ogaki* Brązowy Medal – Mirosław Adamczyk *Kamień*.

Nagrody fundowane:

Akademia Sztuk Pięknych we Wrocławiu – Paweł Ryżko *Wujek '81*;

Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach – Łukasz Rayski *Konstytucja*;

Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku – Michał Kacperczyk *KONTRA Michał Kacperczyk + Studenci*;

Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie – Joanna Górską/Jeżry Skakun *Kroki*;

Wyższa Szkoła Techniczna w Katowicach – Joanna Frydrychowicz-Janiak *Kryzys twórczy*;

ZPAP O/Katowice – Jacek Staniszewski *Mała Apokalipsa*.

Wyróżnienia Honorowe:

Jan Bajtlik *Celebrate The City*, Monika Sojka *Dydo Poster Collection*, Patrycja Longawa *Thum*, Marcin Dzbanuszek *Elektrownia Garbary. Dokument potencjalny*.

Wystawa Elżbiety Kuraj: *Powyżej koloru*

KATOWICE. Galeria Ateneum – obrazy olejne oraz wykonane w technice emalii na blasze. *Elżbieta Kuraj*, absolwentka katowickiego Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, dyplom zrealizowała w 1982 w Pracowni Projektowania Książki prof. Stanisława Kluski i w Pracowni Malarstwa prof. Jerzego Dudy-Gracza, a od 1999 jest pedagogiem na Uniwersytecie Śląskim w Instytucie Sztuki Wydziału Artystycznego w Cieszynie – obecnie na stanowisku profesora w Zakładzie Malarstwa. Od ośmiu lat współpracuje z Fundacją Email Art Association – Frydlant nad Ostrawicą w Czechach, organizując sympozja i wystawy polsko-czeskie reaktywujące technikę emalii w Polsce. Ma za sobą blisko 60 wystaw indywidualnych, jest laureatką ponad 20 nagród i wyróżnień w konkursach malarskich. O swojej twórczości Elżbieta Kuraj pisze: (...) Malarstwo jest ekspresją ukazywania rzeczywistości całym sobą, własną osobowością, charakterem, intelektem, a obraz – synchronizacją zespolonych ze sobą wartości – nośników znaczeń tworzących wspólnie desygnat treści. Wszystkie wątki: kolor, materia, faktura, forma, przestrzeń, światło tworzą szczelny system połączonych naczyń, są sobie niezbędne, ale też mogą pełnić role wymienne. Kolor bywa formą, przestrzenią, faktura – rysunkiem, materia – światłem... Tworzą zamkniętą, żywą całość z perspektywą otwartego, wielowątkowego przekazu, a ich związek i oryginalny autorski porządek decydują o jakości przesłania. (...)

Obchody 36. rocznicy pacyfikacji kopalni „Wujek”

KATOWICE. Obchody rozpoczęto *V edycją Biegu Dziewięciu Górników*, w których wzięło udział prawie 500 uczniów z 47 szkół z terenu województwa śląskiego.

W kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Katowicach odbyła się *msza święta*. Po nabożeństwie zgromadzeni przemarszerowali pod *pomnik-krzyż przy bramie kopalni Wujek*. W uroczystości udział wzięły rodziny zamordowanych i poszkodowanych górników, mieszkańcy Katowic, przedstawiciele władz krajowych, regionalnych, lokalnych oraz Solidarności. Stronę rządową reprezentował wiceminister energii Grzegorz Tobiszowski, minister sportu Witold Bańka oraz wicepremier Beata Szydło. Kancelarię prezydenta RP reprezentował minister Andrzej Dera, który odczytał list Prezydenta RP dr Andrzeja Dudy.

Pod Pomnikiem-Krzyżem Poległych Górników przemawiał także Robert Ciupa, dyrektor Śląskiego Centrum Wolności i Solidarności. Uroczystości zakończył apel poległych i złożenie wieńców oraz kwiatów pod pomnikiem-krzyżem. Wicepremier Beata Szydło wzięła udział w *spotkaniu opłatkowym* z rodzinami poszkodowanych w czasie pacyfikacji

Manewry sportowe

KATOWICE. Galeria ASP w Katowicach Rondo Sztuki. Wystawa zbiorowa do udziału w wystawie zostali zaproszeni: Jakub Adamek, Bartek Buczek, Hubert Czerepok, Wojciech Cwiertniewicz, Norbert Delman, Edward Dwurnik, Grzegorz Hańderek, Piotr Kossakowski, Zbigniew Libera, Janusz Łukowicz, Marcin Maciejowski, Michał Minor, Dominik Ritszel, Grzegorz Szwertnia, Ireneusz Walczak, Wojtek Wilczyk. Na wystawie prezentowane są prace będące ekspresją artystyczną, która w świadomy sposób podejmuje temat sportu. Istnieje on w sztuce już od starożytności, ale często jest pomijany we współczesnym dyskursie. Artyści pokazujący swoje prace na wystawie często sięgają po ironię czy czarny humor, zadają publicystyczne pytania widzowi i sobie.

Czarne skrzydła

KATOWICE. Pałac Schoena – Muzeum w Sosnowcu. *Wystawa zbiorowa w ramach obchodów 115-lecia miasta Sosnowca, w której udział wzięli:* Ryszard Grzyb, Bogdan Konopka, Piotr Kossakowski Andrzej S. Kowalski, Ignacy Krieger, Piotr Lutyński,

Wojciech Prazmowski, Jacek Rykała, Miłosz Wnukowski, João Urban. Ekspozycja prezentuje prace artystów, którzy mierzą się z zagadnieniem tożsamości, recepcji historii i pamięci oraz filmy: *The Art of Spiegelman*, reż. Clara Kuperberg, Joëlle Oosterlinck, ARTE France & Wichita Films 2009, film dedykowany autorowi kultowego komiksu *Maus*.

Wierszyna, reż. Henryk Urbanek, Telewizja Polska S.A. 1998, opowiadający o Zagłębiakach osiadłych w odległej syberyjskiej wiosce na początku XX wieku.

Wystawa „Zwrotnica. Początki neoawangardy na Górnym Śląsku”

KATOWICE. Muzeum przy katowickim rynku. Wystawa „*Zwrotnica. Początki neoawangardy na Górnym Śląsku*” prezentuje śląskie środowisko artystyczne odczytane przez pryzmat idei wielkiej awangardy XX wieku.

Górny Śląsk na przełomie lat 40. i 50. był żywym ośrodkiem kultury i sztuki. Postawa debiutujących tutaj artystów kształtowała się w opozycji do powstającego ustroju. Rozdźwięk pomiędzy forsowanym przez władzę modelem sztuki, propagandowym wizerunkiem regionu a kierunkiem artystycznych poszukiwań neoawangardy jest potwierdzeniem, iż opór debiutujących na Śląsku młodych twórców wzmagał się proporcjonalnie do partyjnego nacisku. Na wystawie zaprezentowane zostanie Gliwickie Towarzystwo Fotograficzne, które zmieniło myślenie o roli medium fotograficznego, poprzez prace m.in. Tadeusza Maciejki, Adama Scheybala, Piotra Janika, Jerzego Lewczyńskiego i Zofii Rydet, które prezentują m.in. fascynację włoskim realizmem, fotografią społeczną, subiektywną, inicjatywną ukierunkowanymi na prekursorskie działania konceptualne.

Ważną część narracji stanowią dzieła malarzy z ST-53 w Katowicach, którzy zasłynęli z samodzielnej interpretacji „Teorii widzenia” Władysława Strzebińskiego. Grupa już swoją nazwą akcentowała tragiczną sytuację miasta wpisanego w plan partyjnych działań, a z drugiej sprzeciwiała się reżimowi, wskazując na inspirację zdegradowanym przez władze Władysławem Strzebińskim.

Ekspozycja prezentuje również twórczość Urszuli Broll, Klaudiusza Jędrusika, Zdzisława Stanka, Tadeusza Ślimakowskiego, Hilarego Krzysztofiaka, Stefana Gaidy, Ireny Bąk, Marii Obremby, a także Konrada Swinarskiego. Konsekwencją artystycznych dokonań tych twórców były m.in. takie zjawiska jak Antyfotografia i ONEIRON w latach 70 – które także prezentowane są na wystawie.

Proszę się rozejść! Tu nie ma na co patrzeć

KATOWICE. Galeria Pojedyncza. Wystawa zbiorowa pt. „*Proszę się rozejść! Tu nie ma na co patrzeć.*” ma stanowić rozwinięcie tezy Jacques’a a Rancière’a o funkcjonowaniu w przestrzeni widzialności tzw. „policijnej wersji historii”.

Projekt ma stanowić rodzaj opowieści o obrazach widzialnych i niewidzialnych, wypartych i pożądanym, modnych i odrzuconych. Założeniem kuratorskim przyświecającym wystawie było pozostawienie całkowitej swobody wypowiedzi artystom, którzy otrzymali za zadanie przygotowanie i realizację dzieła stanowiącego swobodną interpretację idei wystawy, przy czym jedynym parametrem wspólnym są gabaryty pracy, które nie mogą przekroczyć standardowego wymiaru A4.

Kiedy Katowice były Stalinogrodem. 1953 – 1956

KATOWICE. Galeria Miasta Ogrodów. Wystawa „*Kiedy Katowice były Stalinogrodem... 1953-1956*” powstała jako rezultat realizowanego w 2017 r. międzynarodowego projektu „*Byłem mieszkańcem miasta Stalina*”. W przedsięwzięciu wzięło udział pięć miast z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, które w czasach komunistycznych nosiły nazwę na cześć Józefa Stalina. W Polsce ten przemianowano Katowice na Stalinogród w okresie od marca 1953 r. do października 1956 r., miasto Bra-



„Misterium światła”

szów w Rumunii (Oraşul Stalin, 1951-1961), Kuçova w Albanii (Qyteti Stalin, 1950-1990), Warna w Bułgarii (Stalin, 1949-1956) i Dunaújváros na Węgrzech (Sztálinváros, 1951-1961). W każdej z tych miejscowości projekt realizowały naukowe ośrodki badawcze oraz instytucje kultury. Koordynatorami prac w Katowicach było Oddziałowe Biuro Edukacji Narodowej Instytutu Pamięci Narodowej oraz Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek.

Misterium światła

SOSNOWIEC. W Sosnowieckim Centrum Sztuki – Zamek Sielecki można oglądać wystawę fotografii autorstwa Macieja Stobierskiego pt. „Tchnienia. Oblicza kościoła św. Jana Chrzciciela w Siewierzu”. O swojej najnowszej wystawie tak mówi jej autor – znakomity asysta fotograf: – Wszystko, co poprzez fotografię próbuję odkryć, zarejestrować i pokazać, spotkało się w tym miejscu. Wiele tygodni obserwacji, czekania na odpowiednie światło, rozmów z historykami, przeglądania archiwów i książek, poznawania miejsc związanych historycznie z kościołem zaowocowało prezentowanym cyklem. A zaczęło się skromnym stwierdzeniem proboszcza tego niezwykłego kościółka, tak charakterystycznego dla wzgórza nad Czarną Przemszą koło Siewierza: „Nasz kościółek to tylko proste kamienne mury, nic w nim nie ma, może tylko duchy z cementarza” – oznajmił ksiądz proboszcz, wręczając mi klucze do tej romańskiej świątyni”. To było jak zaproszenie, początek fascynującej przygody. Misterium światła, trwanie kamienia, zanikające polichromie, surowa architektura, krajobraz, msze i wierni. Poszukiwanie kontekstu z otoczeniem i historią, styk przeszłości z teraźniejszością. To wszystko jest jak **TCHNIENIE** – boska energia, ożywiający powiew. Zakłęte w kamieniu, pochwycone w świetle, kielkujące w krajobrazie. Wystawa potrwa do 18 lutego 2018 r. (wk)

Dąbrowianin Roku 2017

DĄBROWA GÓRNICZA. „Jestem dumny, że jestem Zagłębiakiem, mogę promować i pokazywać tożsamość regionu na szerokim forum. Zresztą jak wszyscy nasi działacze. Cieszę się, że będę mógł jako „Dąbrowianin Roku 2017” przygotowywać obchody 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Będzie to z pewnością okazją do ciekawych i ważnych badań historii naszego regionu” – powiedział Arkadiusz Rybak po otrzymaniu od Kapituły Towarzystwa Przyjaciół Dąbrowy Górniczej statuetki i tytułu „Dąbrowianina Roku 2017”. Arkadiusz Rybak jest regionalistą, autorem kilkudziesięciu publikacji z zakresu historii i tradycji Zagłębia (m.in. serii „Dąbrowskiego Magazynu Historycznego”). Od 2007 roku pełni funkcję dyrektora Muzeum Miejskiego „Sztymbark”. W tym czasie m.in. otworzył dla zwiedzających ko-



Arkadiusz Rybak
„Dąbrowianin Roku 2017”

Fot. mat. prasowe

palnię ćwiczebną, stworzył Park Militarno-Historyczny „Reduta”, zainicjował doroczne festyny muzealne, czy współorganizował obchody 100-lecia uzyskania praw miejskich przez Dąbrowę. Uzyskał m.in. Wyróżnienie Ministra Kultury i Sztuki „Sybilla”, Nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie turystyki oraz wyróżnienie pod nazwą „Perła w koronie Województwa Śląskiego”. Jako prezes TPDG (pełni tę funkcję od 2011 r.) Arkadiusz Rybak m. in. zadbał o odbudowę Pomnika Żołnierza Zwycięzcy w Gołonogu, odtworzenie „Krzyża Powstańczego” w Dąbrowie Górniczej-Mariankach, czy upamiętnienie 11. Pułku Piechoty Zagłębiaków w centrum miasta. Zabiegał także o uhonorowanie postaci ważnych dla historii miasta. Tytuł „Dąbrowianina Roku” jest przyznawany od 1997 r. W zacnym gronie „Dąbrowian” znaleźli się już m.in. Jan Kmiotek, pasjonat historii, poetka Barbara Sokołowska; Stanisław Góra, bohater, który uratował życie mężczyźnie zaatakowanemu przez nożownika; nieżyjący już społecznicy Włodzimierz Goleniowski i Włodzimierz Starościk.

W uroczystości nadania tytułu i statuetki, która miała miejsce 18 listopada ub.r. w dąbrowskim klubie „Helikon” wzięli udział obok działaczy i przyjaciół TPDG (należą do nich stowarzyszenia i organizacje społeczne z całego Zagłębia Dąbrowskiego), także parlamentarzyści i przedstawiciele władz Dąbrowy Górniczej. Nie zabrakło reprezentantów policji i straży pożarnej. W gronie gości znaleźli się m.in. wicemarszałek Sejmu Barbara Dolniak, posłowie Barbara Chrobak i Robert Warwas oraz Zbigniew Podraza, prezydent Dąbrowy Górniczej, także laureat tytułu „Dąbrowianin Roku”. Na zakończenie uroczystości Marta Gabryś i Rafał Kozieł, na co dzień również związani z TPDG wykonali wiązankę pieśni operowych i operetkowych.

Agnieszka Zielińska

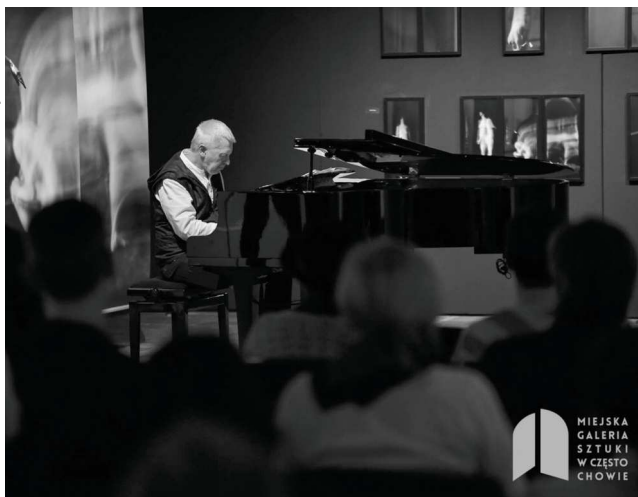
Okolice w obiektywie

CZĘSTOCHOWA. Od 17 listopada w Sali Reprezentacyjnej Muzeum Częstochowskiego można oglądać prace nagrodzone w XII Konkursie Fotograficznym *Klimaty Częstochowy*. Podobnie jak w poprzednich latach zdjęcia miały utrwalać mieszkańców, wydarzenia oraz walory dawnego województwa częstochowskiego.

Prace w trzech kategoriach: fotografia klimatyczna, fotografia reporterska oraz fotoreportaż, oceniało jury w składzie: Bartek Barczyk, Andrzej Grygiel, Chris Niedenthal, Wojciech Prażmowski oraz Juliusz Sętowski. Każdy uczestnik mógł przesłać maksymalnie 17 zdjęć (pięć pojedynczych oraz jeden fotoreportaż) wykonanych w 2017 roku. Precyzyjnie określono też listę dopuszczalnych zabiegów: kadrowanie, rozjaśnianie, kontrastowanie, redukcję koloru, wypalanie.

Spośród 324 prac 80 autorów na wystawę zakwalifikowano 32 prace 21 artystów. W kategorii fotografia klimatyczna zwyciężył Przemysław Skoczylas, w kategorii fotografia reporter-

Fot. Łukasz Kolewiński, ze zbiorów MGS w Częstochowie



Koncert Janusza Frączka w sali OKF Iluzja

ska – Dariusz Gawroński, w kategorii fotoreportaż – Damian Jończyk. Wśród prezentowanych artystów znaleźli się także: Grzegorz Skowronek, Maciek Skowronek, Łukasz Kolewiński, Dariusz Gawroński, Kamil Pawlik, Sebastian Adamus oraz Justyna Janus.

Róża ma kolor czerwony

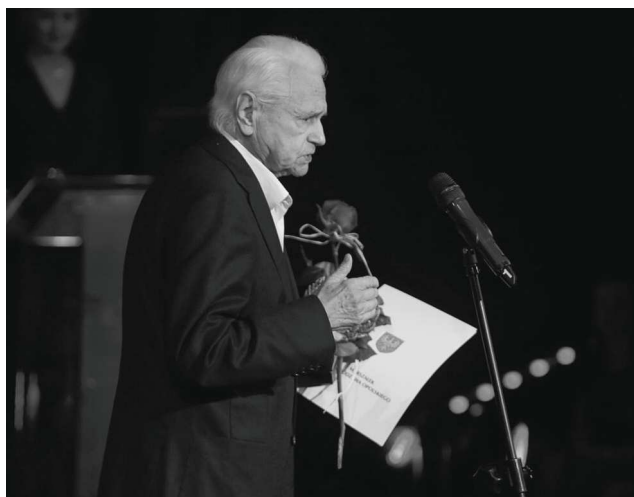
CZĘSTOCHOWA. W Pawilonie Wystawowym w parku im. S. Staszica od 5 października można oglądać wystawę *Róża Konstancina – Monika Żeromska – córka, malarka, podróżniczka*, przygotowaną przez Muzeum Narodowe w Kielcach. Córka Stefana Żeromskiego i Anny Zawadzkiej ukończyła ASP w Warszawie, w czasie powstania warszawskiego była sanitariuszką, a po II wojnie światowej także scenografką.

Na wprost wejścia na salę umieszczono ogromną tubkę z czerwoną farbą z wypływającymi z niej czerwonymi różami. Na ścianach zawieszono prace malarskie Moniki Żeromskiej (autoportrety, portrety, m.in. Stefana Żeromskiego, Aliny Kowalczyk oraz Tadeusza Konrada Przypkowskiego, martwe natury i kwiaty), ilustracje do powieści taty, m.in. *Dziejów grzechu*, *Wiernej rzeki* czy *Szyfówych prac*. Tę formę sztuki uznawała przecież za najdoskonalszy sposób spotkania z odbiorcami, ponieważ nie wymaga pośredników. Ale na ścianach przeczytamy także fragmenty jej utworów literackich – była przecież laureatką Nagrody Literackiej im. Władysław Reymonta.

O życiu Moniki Żeromskiej opowiadały dokumenty – świadectwa szkolne z gimnazjum Anieli Hoene-Przesmyckiej, listy, pocztówki, zaproszenia, zdjęcia willi „Świt” w Konstancinie-Jeziornie, utwory napisane dla niej przez Antoniego Słonimskiego, Tadeusza Różewicza oraz ojca, czy wreszcie portret Jana Marcina Szancera.

Być górale

CZĘSTOCHOWA. Od 24 listopada w Sali Gobelinowej w MGS-ie można było oglądać wystawę fotografii Tomasza Tomaszewskiego *To, co trwałe... Górale, tradycja, wiara*. Autor jest znanym fotografikiem, wykładowcą ASP w Warszawie, współpracownikiem wielu gazet i czasopism, m.in. „Nationale Geographic”, „Paris Match”, „New York Times”, „Time”, „Die Zeit”, „Elle”. 57 fotografii z opisami Grzegorza Kapli to efekt dwuletniej dokumentacji życia mieszkańców Bukowiny Tatrzańskiej. Artysta pokazał domostwa i obejścia, kulturę odświętną – karnawał, kolędowanie, obyczaje ślubne, formy spędzania czasu wolnego, codzienne zajęcia. To konkretne osoby, przedstawione z imienia i nazwiska – malarz, ksiądz kolekcjonujący sztukę nainową, małżeństwo kaletników, stolarze, cieśle, rolnicy, bawowie i juhasi produkujących owcze sery, pracownicy leśni zatrudnieni przy zryw-



Adam Zbiegieni, nestor opolskiego środowiska artystycznego po odebraniu Nagrody Specjalnej Marszałka Województwa Opolskiego

ce drewna. Są także zdjęcia pokazujące piękną, choć czasami groźną naturę.

Czterdzieści lat minęło!

CZĘSTOCHOWA. 29 listopada Miejska Galeria Sztuki świętowała jubileusz. Część oficjalna odbyła się w sali OKF Iluzja. Były gratulacje, nagrody dla pracowników, wspomnienia. Wydarzenie uświetnił koncert Janusza Frączka w salach galerii, a dzień później Artura Andrusa w MDK-u.

Zacząło się w 1977 roku, gdy powołano do życia Biuro Wystaw Artystycznych w budynku zaprojektowanym przez Włodzimierza Ściegiennego, architekta z Częstochowy. Na czele instytucji stanął Stanisław Banek, a po nim: Wojciech Skrodzki, Marian Panek, Czesław Tarczyński i obecnie Anna Paleczek-Szumlas. MGS stała się przestrzenią spotkania częstochowian ze sztuką współczesną. Na wystawach zaprezentowano twórczość, m.in.: Władysława Hasióra, Tadeusza Kantora, Jerzego Nowosielskiego, Franciszka Starowieyskiego, Jana Lebensteina, Szymona Wypycha, Jerzego Dudy-Gracza czy Edwarda Dwurnika. Ale nie tylko. MGS realizuje także Program Promocji Młodych Antresola, a kilku lat temu otworzyła Galerię Zwiastun dla amatorów i początkujących artystów. Jest także organizatorem Ogólnopolskiego Konkursu na Obraz dla Młodych Malarzy im. Mariana Michalika. Od 2006 roku dzięki uprzejmości Anny i Piotra Dmochowskich można zwiedzać wystawę prac Zdzisława Beksińskiego znaną jako *Muzeum Beksińskiego*. Ekspozycję zmieniło w 2016 roku. Tak powstało *Beksiński. Drugie muzeum*.

Świąteczny nastrój

CZĘSTOCHOWA. Najpierw pojawiły się iluminacje. 3 grudnia na placu Biegańskiego w programie *Świąteczna Częstochowa* wystąpili Iga Kozacka, Kamil Dauksz oraz grupa Sound'n'Grace. Miejskie choinki stanęły także na placu Orłąt Lwowskich oraz na Starym Rynku. W dniach 16 – 21 grudnia w III Alei Częstochowska Organizacja Turystyczna już po raz jedenasty zorganizowała „Gwiazdkową Aleję”. Przyjechało ponad 100 wystawców z Polski oraz z zagranicy, Litwy i Białorusi. Dla mieszkańców była to doskonała okazja, by zaopatrzyć się w smakołyki oraz ozdoby świąteczne. Czas umiły występ dzieci, młodzieży oraz Zespołu Folklorystycznego Ziemi Lelowskiej. Poza tym były liczne atrakcje: warsztaty tańca, karaoke, sztuczne ognie oraz puszczanie balonów z listami do św. Mikołaja. Dla nieco starszych zorganizowano pokazy kulinarne Szymona Szlendaka. Odbyła się także aukcja bombek podpisanych przez Raz Dwa Trzy, Artura Andrusa, Grzegorza Turnaua, Wojtkę Mazolewskiego, Piotra Cyrwusa czy Organka. Dochód zasilili fundusz Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt.



Paweł Kozerski odbiera akt nadania tytułu honorowego obywatela Województwa Opolskiego



Jadwiga Smykowska, 1973

Fot. Janina Ciuppek

Animatorzy i twórcy kultury z laurami marszałka

OPOLE. Animatorzy i twórcy kultury zostali uhonorowani przez Marszałka Województwa Opolskiego podczas gali w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Nagrodę specjalną za całokształt twórczości i działalności kulturalnej otrzymał Adam Zbiegieni – urodzony we Lwowie w 1924 r., nestor opolskiego środowiska artystycznego, żołnierz Armii Krajowej, prezes opolskiego okręgu ZPAP Polska Sztuka Użytkowa, organizator wystaw i międzynarodowych plenerów artystycznych. Odbierając nagrodę wspominał. – *Kiedy przyjechałem do Opola, to było artystycznie martwe miasto. Założyłem tutaj pierwszy związek twórczy i zainicjowałem wiele wydarzeń artystycznych, które trwają do dziś.* Przyznano również dziesięć równorzędnych nagród, które otrzymały nauczycielki, animatorki kultury, opiekunki zespołów amatorskiego ruchu artystycznego: Zofia Bachrynowska (Namysłów), Justyna Gireń (Zawadzkie), Lidia Szpak (Branice) i autorka publikacji regionalnych Elżbieta Gosławska (Pokój). Mariusz Jabłoński, dyrektor Domu Kultury w Wilkowie, Agnieszka Okos, twórczyni ludowa z Tarnowa Opolskiego. Opolanie: Krystyna Lenart-Juszczewska, muzealnik, prezes Zachęty Sztuk Pięknych w Opolu, Rafał Mościcki twórca festiwalu filmowego „Opolskie Lamy”, Roman Szczepanek, muzyk i organizator Festiwalu Opolo Songwriters, Szymon Wolf ze Studenckiego Centrum Kultury UO, organizator Zimowej Gieldy Piosenki. Stanisław Rakoczy, wicemarszałek województwa opolskiego odpowiedzialny za kulturę w regionie, podsumowując uroczystość, cieszył się, że jurorzy przyznali nagrody przedstawicielom różnych dziedzin i różnych środowisk regionalnej kultury, preferując i doceniając w tym gronie społeczników, prowadzących długoletnią działalność twórczą i animatorską na rzecz mieszkańców różnych miejscowości województwa opolskiego.

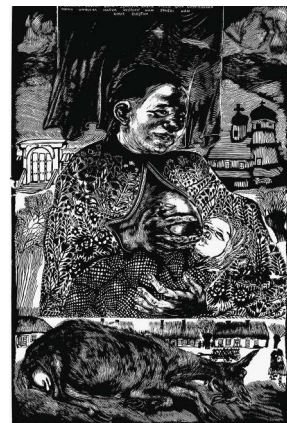
Zmarła mistrzyni drzeworytu

CIESZYN. 16 grudnia 2017 roku w Cieszynie zmarła Jadwiga Smykowska, artystka, której międzynarodową sławę przyniosły mistrzowskie drzeworyty sztorcowe. Urodziła się 1 marca 1945 roku w Czeskim Cieszynie. Studiowała na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dyplom uzyskała w pracowni drzeworytu prof. Franciszka Bunscha i grafiki prof. Witolda Chomicza w 1971 roku. W latach 1972-1975 prowadziła pracownię drzeworytu w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach, a w latach 1974-1980 pracownię druku wypukłego w Instytucie Kształcenia Plastycznego w cieszyńskiej filii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Członkini Związku Polskich Artystów Plastyków (od 1971) i Międzynarodowego Stowarzyszenia Drzeworytników XYLON.

Jadwiga Smykowska była artystką wszechstronną, zajmowała się grafiką, malarstwem, rzeźbą i rysunkiem. Zasłynęła jako twórczyni prac wykonywanych techniką drzeworytu sztorcowego. Brała udział w wielu prestiżowych wystawach i konkursach krajowych oraz zagranicznych, w których otrzymywała Grand Prix i pierwsze nagrody. W 1979 roku została laureatką najwyższej światowej nagrody Międzynarodowego Stowarzyszenia Drzeworytników XYLON w Szwajcarii (Fryburg, 1979) za tryptyk „Pod Twoją obronę”.

Jej prace znajdują się w zbiorach muzeów w Cieszynie, Bielsku-Białej, Katowicach, Bytomiu, Lublinie, Olsztynie, Szczecinie, Zamku Królewskim na Wawelu w Krakowie, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Biblioteki Narodowej w Warszawie, Muzeum Armii Radzieckiej w Moskwie (Rosja), muzeum we Fryburgu (Szwajcaria), Stadtgeschichtliche Museen w Norymberdze (Niemcy), wielu galeriach BWA i w kolekcjach prywatnych w Polsce, Europie i na świecie. W Kolekcji Sztuki Galerii Bielskiej BWA w Bielsku-Białej znajduje się 19 drzeworytów sztorcowych autorstwa Jadwigi Smykowskiej. Galeria Bielska BWA prezentowała prace artystki podczas Bielskiego Festiwalu Sztuk Wizualnych w 2007 i 2011 roku.

W 2010 roku otrzymała nagrodę Zarządu Okręgu ZPAP w Bielsku-Białej za całokształt pracy twórczej z okazji 100-lecia ZPAP i 65-lecia Zarządu Okręgu ZPAP w Bielsku-Białej. Ważną dziedziną twórczości Jadwigi Smykowskiej była płaskorzeźba. Kilka prac tego typu, jej autorstwa, można podziwiać w obiektach na Śląsku Cieszyńskim, m.in. „Chrystus Chrystusa” – płaskorzeźbę drewnianą zamieszczoną w części ołtarzowej kościoła ewangelickiego w Puńcowie koło Cieszyna, czy portret Zofii Kossak-Szczuckiej – płaskorzeźbę w brązie na pomniku w Górkach Wielkich koło Brennej.



Jadwiga Smykowska, Pod Twoją obronę, 1997, drzeworyt sztorcowy. I nagroda za grafikę w Międzynarodowym Triennale Drzeworytu XYLON 8 we Fryburgu, 1979 r.

Sprostowanie

Redakcja informuje, iż do ubiegłorocznego listopadowego numeru miesięcznika „Śląsk” nr 11 (264) wkraśl się błąd na stronie 4. Autorem wywiadu z prezesem zarządu i redaktorem naczelnym Radia Katowice SA Piotrem Ornowskim jest Piotr Karmański, a nie jak błędnie podaliśmy Witold Turant. Za pomyłkę obu panów przepraszamy.

Spis treści

rok 2017

Indeks alfabetyczny autorów i ich publikacji zamieszczonych w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Śląsk” w roku 2017

A.

Achtelik:

Lena Achtelik. Obrazy. W Galerii Teatru „Ateneum” nr 10, s. 34;

Andrzejczak Henryka:

Powrót Madonny nr 2, s. 53-55;

Antoni:

Antoni Halor w Galerii Artystycznej nr 9, s. 69;

Antoniak Kiedos Edyta:

Irena Desselberger w Bibliotece Śląskiej. Z Katowic do Sztokholmu. Z życia bibliotek nr 6, s. 77;

Zapiski pamięci Tadeusza Kijonki nr 7, s. 22-23;

Polsko-Ukraińskie Spotkania Bibliotekarzy. Z życia bibliotek nr 8, s. 85;

Dekada kawiarenki. Z Lucyną Smykowską Karaś rozmawia... nr 11, s. 28-29;

Autorytety:

Autorytety z Laurami nr 2, s. 67.

B.

Baka Robert:

Foto nr 3, s. 70;

Barczyk Bartek:

Foto nr 6, s. 67;

Bartos Ewa:

Wycinki z życia (rec.: W. Dulęba: Alfabet sztuki XX wieku według Witolda Dulęby. 2016) nr 2, s. 63;

Czytając Julię Hartwig (rec.: E. Dutka: Centra, prowincje, zaułki. Twórczość Julii Hartwig... 2016) nr 3, s. 61;

Historia umarłych (rec.: D. Chwoлик: Jarosław Marek Rymkiewicz: Dopowiedzenia. 2016) nr 3, s. 63;

„Księgowa wizja świata” (rec.: J. M. Ruszar: Wytarty profil rzymskich monet 2016) nr 4, s. 69;

Jak „zaorać księżyc sochą” (rec.: A. Szuba: Mileczysz. 2016) nr 6, s. 72;

Minimum w maksimum (rec. A. Szuba: Jest tam kto? 2016) nr 8, s. 76;

Złote myśli błazna (rec.: Ludek fatalista. 2017) nr 8, s. 76;

To, co ustanawiają poeci (rec.: K. Wyszyńska: Sukcesy pana Cogito. 2016) nr 9, s. 74;

Historie rodzinne (rec.: T. Białkowski: Moje historie rodzinne 2017) nr 11, s. 73;

Bednarczyk Ryszard:

Ślązacy pod Grunwaldem nr 2, s. 24-26; Polityka nie jest elementem mojej pracy. Z Leszkiem Jodlińskim rozmawia... nr 3, s. 32-33;

Spod znaku pikelhauby nr 4, s. 32;

Ogień opowieści (rec. Par coeur. Twórczość dla dzieci i młodzieży raz jeszcze 2016) nr 7, s. 72;

Bednarek Marian Lech:

(***) Coraz bliżej do grobu, O śmierci, Powracające, Data (poezja) nr 1, s. 36;

W kształcie barana, Malowane dzieciństwo, (proza) nr 8, s. 49;

Before:

Before WOMEX 2017 nr 8, s. 69;

Beksiński Zdzisław:

Mroki podświadomości: z kolekcji Muzeum Historycznego w Sanoku (obrazy) nr 6, s. 51;

Bieliński Krzysztof:

Foto nr 4, s. 30; nr 6, s. 2 okładki, s. 68;

Bienek Tomasz:

Śląskie przygody kremu NIVEA nr 12, s. 52-59;

Binkiewicz Michał:

Foto nr 6, s. 2 okładki;

Błażyca Krzysztof:

Foto nr 10, s. 57;

Bochenek Mirosław:

Autsajder nr 4, s. 3; Za to, że żyję, Co ty masz do mnie, Prokurator i ja, Tanie wino, Tylko jedno proszę cię, Tacy byliśmy, Moravska (poezja) nr 4, s. 20-22;

Brzeźniak Marek:

Przyjemna przejażdżka do Kołomyi. Ukraińsko śląskie związki muzyczne nr 1, s. 34-35;

Prostytutka i rajfurzy po 90 latach. Trzech Węgrów – Sinobrody, drewniany i cudowny nr 6, s. 66-67;

Bzdok Henryk:

Anegdoty nr 1, s. 66; nr 3, s. 83;

Śląsk nieskończony. Grafika nr 11, s. 51.

C.

Chmielowski Albert (brat Albert):

Ecce Homo (obraz), Cmentarz włoski (obraz) nr 3, s. 49;

Chojkowski Józef:

Foto nr 12, s. 19;

Chojnowski Zbigniew:

W kajaku na jeziorze Białym, Archiwum domowe. Coraz mniej, Mikołów (poezje) nr 7, s. 44-45;

Waśkiewicz nr 12, s. 36-37;

Chudyba Ewa:

Jak pokonać smoka? O świętych i smokach w chrześcijańskiej ikonografii.. a o Paola Uccella „Świętym Jerzym ze smokiem” w szczególności nr 11, s. 60-65;

Cicha Karina:

Rafał Olbiński i rzeźwista wyobraźnia nr 7, s. 50-54;

Cieślak Beata:

Katowickie miesiące Tomasza Beksińskiego nr 5, s. 24-26;

W tarnogórskim ogrodzie niebiańskich rozkoszy nr 6, s. 53-55;

Świat osobny Rudolfa Riedla nr 8, s. 35-38;

Skazany na łęki... O twórczości Zdzisława Beksińskiego Wiesławem Banachem rozmawia... nr 9, s. 20-25;

Tu, gdzie spotykają się rzeki nr 11, s. 6-8;

Cybis Jan:

Malarstwo nr 3, s. 50;

Czajka Mateusz:

Ziemia jest najważniejsza – mam tylko tę w doniczkach; Trening wyobraźni; Psychoterapia; Mam początek i kropkę (poezja) nr 3, s. 46;

Czech Martyna:

Malarstwo nr 9, s. 51;

Czopa Mirosław:

Foto nr 10, s. 70;

Czterdzieste:

43. Biennale Malarstwa. Bielska jesień 2017 nr 11, s. 34;

Czuku Marek:

Igły i szpilki nr 1, s. 3; Nocne taxi, Twoje czerwone paznokcie, Moja wakacyjna Magdalenka, Słowem jesteś (wiersze) nr 1, s. 26-27;

D.

Datka Czesław:

Foto nr 12, 60, 61, 62, 63;

Dębicz Maria:

Poeta odchodzi nr 2, s. 22-23;

Węgierskie wspomnienia. Pamięci Krisztiny Baba nr 4, s. 44-46;

Dni:

Dni Transtromerowskie nr 5, s. 19;

Dobrakowska Bogna:

Przeszłość to teraźniejszość. MBP w Gliwicach. Z życia bibliotek (wraz z I. Kochańczyk) nr 2, s. 66;

Duda Harry:

Mimo wszystko. Smutek ziemski (poezja) nr 12, s. 12;

Dutka Elżbieta:

Dzieciństwo w czasach zagłady (rec.: M. Wójcik Dudek: W (y) czytać Zagładę. Praktyki postpamięci w polskiej literaturze XXI wieku dla dzieci i młodzieży. 2016) nr 2, s. 63;

„miejsce na ziemi”. O poezji Feliksa Netza nr 4, s. 35-37;

Przeszłość zagaduje w śródmieściu (rec. G. B. Szewczyk (red): Katowice oczami Niemców i Polaków 2017) nr 4, s. 70;

Julia Hartwig – pożegnalne spojrzenie nr 8, s. 42-44;

Dylus Daniela:

Źródło u św. Jacka nr 9, s. 6-10;

Dymon Martyna:

Opuszczona przeszłość (O poezji Teresy Ferenc) nr 12, s. 14-16;

Dziadek Magdalena:

Muzyczne żywioły nr 1, s. 55 (Między nutami);

Między nutami nr 2, s. 75;

Prowokacje i wyrafinowane konstrukcje nr 3, s. 69 (Między nutami);

Pięćdziesiąta premiera Verdiewska w Operze Śląskiej (rec. G. Verdi: Moc przeznaczenia. Opera Śląska. 2017) nr 4, s. 31;

Dziekoński Marek. Koncepcja - kreacja - konteksty nr 4, s. 60-62;

VII Festiwal „Polska muzyka najnowsza” (Między nutami) nr 5, s. 65;

U progu karier (Między nutami) nr 6, s. 65;

Organy i smyczki (Między nutami) nr 7, s. 71;

Tadeusz Kijonka a muzyka (Między nutami) nr 8, s. 71;

Nowości fonograficzne z Cieszyna (Między nutami) nr 9, s. 59;

„Metamuzyczna” biografia Ryszarda Gabrysia nr 10, s. 14-16;

„Między nutami” nr 10, s. 71;

„Między nutami” nr 12, s. 13;

Dziwońska-Chudy Ewelina:
Foto nr 11, s. 76;

Dziubala Katarzyna:
„Miejsce wybrane”. O prozie Feliksa Netza. Katowice Feliksa Netza nr 4, s. 38-40;

F.

Firut Maria:
Jest takie liceum na Śląsku... książd profesor Jerzy Szymik wraca do swojej szkoły po 45 latach od matury... nr 12, s. 72-73;

Fitelberg Grzegorz:
List: nr 10, s. 1 okładki;

Fox Marta:

„Srebrzysko” czyli o ludzieńkach bez świata i Boga (rec.: S. Chwin: Srebrzysko. 2016) nr 1, s. 60-61;

Urodzinowy prezent, czyli co można zrobić z krawatem (rec: R. Hawdon: Prezent urodzinowy. Teatr Zagłębia w Sosnowcu. 2017) nr 2, s. 69;

Idol (proza) nr 5, s. 42-45.

G.

Gadomski Stanisław:

Polski strój ludowy (wraz z B. Kubską) nr 5, s. 52;

Gaitoer Anna:

Notatnik kulturalny nr 12, s. 82-85;

Gajda Dominik:

Foto nr 4, s. 29; nr 8, s. 56, 58; nr 10, s. 18, 21, 22;

Gawlak Monika:

Naukowiec z powołaniem. Profesor Bożena Tokarz. Portrety mistrzów nr 2 s. 56-57 (wraz L. Małczakiem);

Gawlik Bartosz:

Foto nr 8, s. 26;

Gąsienica Byrcyn Anna Zofia:

O poezji Marty Fox pędzłem Miro pisanej nr 11, s. 43-47;

Genialny

Genialny outsider. Nikifor w Muzeum Miejskim w Zabrze nr 5, s. 32;

Gierlotka Stefan:

Katowickie Podlesie czyli wiejskie tradycje w wielkim mieście nr 8, s. 30-33;

Gola Arkadiusz:

Foto nr 5, s. 86 i 3 s. okładki; nr 6, s. 34, 36, 37;

Goluch Krzysztof:

Foto nr 9, s. 61, 62;

Góra Sebastian:

Foto nr 8, s. 59;

Górnośląsko:

Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia „w budowie” nr 6, s. 70;

Górska Weronika:

Nastolatki ze Śląska. O powieściach młodzieżowych Marty Fox nr 5, s. 38-41;

Grand Prix:

Grand Prix „Lidera Dostępności” dla miasta Katowice nr 5, s. 69;

Griessgraber Tomasz:

Foto nr 3, s. 67; nr 7, s. 17;

Gruszka-Zych Barbara:

Miał jedną duszę (Brat albert Chmielowski) nr 3, s. 8-11;

Perspektywy (poezja) nr 6, s. 2; (***) kiedy się pisze; (***) jak otwarty fute-

rał...(***) taka ciepła herbata; Wiosną, nad ranem; Przybijanie; (***) rozmawiam z Henią; (***) jadąc słuchaliśmy...(***) czarna Lizbona...; Górnicy z kopalni Wujek; (***) przeleciał ptak; (***) niechaj wróci do zdrowia; (***)

kto mi dzisiaj przypomniał; Dług; (***) kiedy mówisz ze kochasz; (poezja) s. 38-41;

Grzanka Beata:

Nowoczesna stulatka. Biblioteka Publiczna im. dr W. Biegańskiego w Częstochowie. Z życia bibliotek nr 10, s. 78;

Grzywaczewska-Kurpierz Agnieszka:
Młyn (proza) nr 1, s. 32-33;

Gutkowska-Ociepa Katarzyna:

Nowy przekład Lorki (rec.: F. G. Lorca: Piosenka o chłopcu o siedmiu sercach i inne wiersze 2017) nr 9, s. 72;

Gwóźdź Andrzej:

Zbyszek nr 1, s. 12-15.

H.

Hałaś Marcin:

Wiersze, których nie połamali (rec.: S. Matusz: Te kości których nie połamali. 2016) nr 8, s. 74;

Białe kominiarki (poezja) nr 12, s. 3;

In memory; Warszawa zachodnia, Szorstki język, Jechać do Wilna nr 12, s. 16-18;

Hanich Andrzej ks.:

Dobrze zasłużył się Polsce (Józef Pękala) nr 12, s. 8-11;

Hawalej Adam:

Foto nr 2, s. 22;

Heska-Kwaśniewicz Krystyna:

Żeby nie zerwał się ślad... (rec. H. Bolczyk: Krzyż nigdy nie umiera. Siedem stacji krzyża kopalni Wujek. Refleksje duszpasterza. 2016) nr 2 s. 62;

Śląski wodniak (rec.: M. Uherek: Paweł Krawczyk. Legenda śląskich wodniaków. 2016) nr 3, s. 63;

Ludzkie sprawy (rec.: J. Jurgała Jureczka: Siedem spódnic Alicji. 2017) nr 5, s. 74;

Odszedł profesor Tadeusz Wencel nr 9, s. 28-30;

Hiltawsky Adam:

Foto nr 9, s. 60;

Hordejuk Sławomir:

Wielokulturowy Śląsk. MBP w Katowicach. Z życia bibliotek nr 9, s. 64;

Hrapkiewicz-Halorowa Bogumiła:
Halor na „Śląsku”. W 80 rocznicę urodzin Antoniego Halora nr 9, s. 65-68;

Hurnik Elżbieta:
Poeta w świecie kultury. O wierszach Feliksa Netza nr 12, s. 19-21.

J.

Janik Gawel:
Mężczyzna pod Pantoflem (rec.: Pleć pantofla. Odmienne męskości w polskiej prozie XIX i XX wieku 2016) nr 11, s. 75;

Dominujący czy zdominowany? (rec.: Wojciech Śmieja; Hegemonia i trauma. Literatura wobec dominującej fikcji męskości. 2016) nr 12, 75;

Jankowski Zbigniew:
Foto nr 12, s. 14;

Janota Grażyna:
Wydobycie, Bursztynowe krople, owocowe spadanie, Zagubienie, Wempik, Hallo-



ween. Grusza, Wejście nr 6, Wylączenie (poezja) nr 10, s. 29;

Jarczewski Andrzej:

Skarbnik. Odrodzenie mitu nr 12, s. 4-7;

Jasnorzewski Ryszard:

Wieczór Odysa (S. Marai: Dziennik 1943-1948. 2016) nr 5, s. 72;

Skóra banana nr 9, s. 53;

Dzienniki nie płoną (rec.: W. Woroszyński. Dzienniki. T. I. 1953-1982. 2017) nr 9, s. 73;

Jaśnikowski Jarosław:

Rynek po burzy grafika s. 1 okładki nr 6;

Jeżewska Marta:

Usta ubrane w milczeniu, Zmarła? Nic nowego (poezja – debiut) nr 5, s. 36;

Jędrzejowski Michał:

Foto nr 7, s. 67;

jiw:

Henryka Wolna van Das (1937-2016) in memoriam nr 2, s. 68;

Opolska nagroda imienia Jana i Wojciecha Wawrzyniaków nr 4, s. 76;

Edmund Borzowski – Ikar z Korfantowa nr 11, s. 70;

Polonusi w Muzeum Uniwersytetu Opolskiego nr 12, s. 69;

Józwenko Ł.:

Foto nr 11, s. 78;

Jurek Tadeusz:

Niezwykłe sanktuarium św. Jakuba w Małujowicach nr 2, s. 51-52;

Jurgala Jureczka Joanna:

Magiczny realizm w willi Ochorowicza nr 6, s. 28-32.

K.

Kalarus Roman:

Grafika nr 3, s. 1 okładki; Plakaty nr 3, s. 15;

Kania Agnieszka:

Znaki w tle nr 3, s. 51-52;

Każdy może mnie kupić (Bolesław Polnar)? nr 5, s. 54-57;

Karbowski Kajetan:

Przyjaciel smoka (poezja) nr 5, s. 47;

Karch Marek:

Foto nr 10, s. 55;

Karmański Piotr:

Wartości intelektualne to misja radia publicznego. Z Piotrem Ornowskim rozmawia... (błędnie podano W. Turant) nr 11, s. 5; (Polskie Radio Katowice 90 lat);

Karpeta Adrian:

Moje życie z Beatlesami Z Adamem Drewniakiem rozmawia... nr 4, s. 26-29;

Z niego był ten jazz (Czesław Gawlik) nr 8, s. 56-59;

Przemierzył świat z puzonem nr 10, s. 18-22;

Kawczak Kinga:

Pragnę Bystrą sławną zrobić. O Muzeum Juliana Fałata w Bystrej nr 11, s. 66-67;

O artystycznym dziedzictwie Górnego Śląska i ziem przyległych (rec. Oblicza sztuki na obszarze obecnego województwa śląskiego w latach 1945-1975. 2017) nr 11, s. 82;

Kazimierzczak Radosław:

Foto nr 9, s. 71;

Kijonka Tadeusz:

Flotylla (poezja) nr 7, s. 8;

Kisiel Marian:

Przypisy do autobiografii (rec.: A.K. Waśkiewicz: O literaturze lubuskiej 2016) nr 6, s. 75;

Poetka bólu (rec.: W. Kudyba: Próba bólu. O wierszach Joanny Pollakówny. 2017) nr 8, s. 77;

Profesor Anna Węgrzyniak. Portrety mistrzów nr 9, s. 46-48;

Szkoła i uniwersytet (rec. M. Kwiatkowska-Ratajczak Wymiana idei. Szkice dydaktyczne o szkole i uniwersytecie. 2016) nr 9, s. 75;

Profesor Ryszard Koziołek. Portrety mistrzów nr 10, s. 41-43;

Szewczyk-niemcoznawca (rec.: M. Skop: literatura niemiecka w publicystyce Wilhelma Szewczyka 2016) nr 10, s. 72-73;

Profesor Stanisław Gębala. Portrety mistrzów nr 11, s. 24-26;

Notatnik: Dymitr Mereżkowski 1919-1920. przeł. nr 11, s. 38-42;

Trzy opowiadania Z. Krzyżanowski przeł. nr 12, s. 24-27;

Profesor Barbara Gutkowska. Portrety mistrzów nr 12, s. 41-43;

Klejnocki Jarosław:

Pudełko nicości; Apatryda; (***) Jeśli to prawda że nr 5, s. 23;

Klimek Ludwik:

Obraz nr 1, s. 1 okładki, Malarstwo (Reprodukcje z rodzinnego zbioru Julii Raszki) s. 50;

Koczek Małgorzata:

10 x nowe technologie. MBP w Piekarach Śląskich. Z życia bibliotek nr 11, s. 85;

Kochańczyk Izabela:

Przeszłość to terazniejszość. MBP w Gliwicach. Z życia bibliotek (wraz z B. Dobrakowską) nr 2, s. 66;

Kociński Witold:

Wszystkiego najlepszego. 120 urodziny Teatru Zagłębia w Sosnowcu nr 2, s. 70-71;

Foto nr 3, s. 5, 55;

Na śmietniku życia (rec. M. Gorki: Na dzień. Teatr Zagłębia 2017) nr 5, s. 64;

Nie dajmy się zwariować (rec. M. Gavran: Mąż mojej żony. Kandyd 2. 2016) nr 6, s. 61;

Mój wyrok: niewinny (rec.: F. von Schirach: Terror, odtworzenie głośnego procesu sądowego Teatr Śląski 2017) nr 8, s. 64;

Kołodziej Dorota:

Wstęp; Poeci; Recenzja z teatru, Dziennik samobójcy podmiejskiego nr 5, s. 37 (poezja- debiut);

Konopelska Wiesława:

Foto nr 1, s. 6; Katowice – muzyczny gigant nr 1, s. 28-31;

Pozostał nie tylko w ich wspomnieniach (rec.: Józef Świder we wspomnieniach. 2016) nr 1, s. 61; Wybitne osobowości świata kultury i sztuki oraz najlepsi konserwatorzy zabytków nr 1, s. 69;

Zdeformowany świat Karola Wieczorka nr 2, s. 46-48;

Chciałem zostać muzykantem. Z Prof. Henrykiem Kuźniakiem rozmawia... nr 3, s. 18-23;

Świat sportu w obrazach Wojtka Łuki nr 5, s. 35;

Dialog ze starym mistrzem (S. Gadowskim) nr 5, s. 53;

Sto procent wnętrza z Arkadiuszem Gołą rozmawia... nr 6, s. 35;

Cztery pory roku na ziemi pszczyńskiej nr 6, s. 60;

Powrót „Aidy” w wielkim stylu nr 6, s. 68;

Festiwal Ave Maria – niewykorzystana szansa nr 6, s. 71;

Żniwa rozpoczęto znakiem krzyża. Z Agnieszką Szymulą rozmawia... nr 8, s. 14-18;

Często decyduje chwila. Ze Zbigniewem Sawiczem artystą fotografikiem rozmawia... nr 9, s. 31-35;

Rzeczywistość obrazu Zbigniewa Blukacza nr 10, s. 50-53;

Powroty Henryka Bzdoka nr 11, s. 50;

Romeo i Julia na otwarcie sezonu (rec. Ch. Gounod: Romeo i Julia 2017 Opera Śląska w Bytomiu) nr 11, s. 52, 53;

Su-Han Yang ze Złotą Batutą nr 12, s. 32-33;

Notatnik kulturalny nr 1, 69-74; nr 2, s. 76-82; nr 3, s. 76-81; nr 4, s. 78-83; nr 5, s. 78-83; nr 6, s. 78-84; nr 7 s. 80-83; nr 8, s. 80-83; nr 9, s. 80-84; nr 10, s. 80-82; nr 11, s. 76-78;

Korusiewicz Anna:

Malarstwo nr 12, s. 34,35;

Korusiewicz Maria:

Grafika nr 12, s. 1 okładki, s. 2 (błędny zapis Anna Korusiewicz);

Kosterski Wiesław:

Czy stać nas na górnictwo. Z prof. dr hab. Adamem Drobnikiem rozmawia nr 2, s. 5-7;

Magia purpury (Deep purple) nr 4, s. 77;

Po co nam ta metropolia nr 5, s. 4-6;

Konstytucję bez niezależnego sądu będziemy mogli wsadzić do kosza. Z Krystianem Markiewiczem rozmawia... nr 6, s. 4-6;

Kościół:

Kościół św. Jakuba Apostoła w Małujowicach nr 2, s. 50;

Kotkowska Joanna:

Notatnik kulturalny nr 1, s. 69-74; nr 2, s. 76-82, nr 3, s. 76-81; nr 4, s. 78-83; nr 5, s. 78-83; nr 6, s. 78-84; nr 7 s. 80-83; nr 8, s. 80-83; nr 9, s. 80-84; nr 10, s. 80-82; nr 11, s. 76-78; nr 12, s. 82-85;

Kozieł Andrzej:

Malarstwo barokowe na Śląsku na nowo odkryte nr 7, s. 32-36;

Koziołek Ryszard:

Lutry mojego życia nr 10, s. 5-7;

Krasnodębski Jan Paweł:

(***) (***) (***) (***) poezje nr 9, s. 49;

Krause Adam:

Foto nr 9, s. 56;

Kreis Antoni:

Grafika nr 4, s. 3 okładki;

Kronikarz:

Śląski miesiąc. Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru nr 1, s. 75; nr 2, s. 83; nr 3, s. 82; nr 4, s. 84; nr 5, s. 84; nr 6, s. 85; nr 7 s. 84; nr 8, s. 84; nr 9, s. 85; nr 10, s. 85; nr 11, 86; nr 12, s. 86;

Krupa Marcin:

Kondolencje nr 7, s. 9;

Krzemiński Krystian:

Ostatnia noc, Rozmowa mamy z sąsiadką, Sukienka w kwiatkach, Kto uchylił okno, Dziewczynka z czerwoną piłką (poezja) nr 12, s. 28-31;

Krzysztoforska Karolina:

Foto nr 8, s. 12;

Krzyżanowski Zygmunt:

Trzy opowiadania przeł. M. Kisiel (proza) nr 12, s. 24-27;

Kubanowska Aleksandra:

Indeks alfabetyczny autorów i publikacji zamieszczonych w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Śląsk” w roku 2016 nr 1, s. 76-83;

Kubska Barbara

Polski strój ludowy (wraz z S. Gądomskim) nr 5, s. 52;

Kulakowski Bogdan:

Foto nr 4, s. 47; 48;

Kurek Jacek:

Felix culpa albo o odwadze popełniania błędów nr 1, s. 45; (Kamień drogocenny); Pochwała mitu nr 2, s. 27; (Kamień drogocenny);

Ubóstwo i szczęście. Świętego Brata Alberta spotkanie z pięknem... nr 3, s. 12-14;

Piewcy samotności czyli *Truskawkowe Pola na zawsze* nr 3, s. 45 (Kamień drogocenny);

Teologia gliny. Tomka Wenklara myśli muzycznie zwichrzona nr 3, s. 10-13;

Wojna światów (i kilka innych winylowych historii czasów PRL-u) nr 4, s. 23 (Kamień drogocenny);

Beatlesi a sprawa polska (cz. 1) nr 5, s. 49 (Kamień drogocenny);

Beatlesi a sprawa polska (cz. 2) nr 6, s. 27 (Kamień drogocenny);

Kilka słów o pierwszym chorzowskim Vinyl Festivalu nr 6, s. 62-64;

„... wśród wątłych badyłków...” Pamięci Tadeusza Kijonki nr 7, s. 24-25 (Kamień drogocenny);

Przejścia nie ma nr 8, s. 27 (Kamień drogocenny);

Z Berek na Śląsk. Krzysztofowi Czyżewskiemu. nr 9, s. 11 (Kamień drogocenny);

Pamięć i rana czyli o spotkaniach na granicy śląsko-litewskiej (cz. 1) Człowiek nie ma prawa do przemocy. Z Konstytucji Republiki Zarczecz nr 10, s. 17 (Kamień drogocenny);

Pamięć i rana czyli o spotkaniach na granicy śląsko-litewskiej (cz. 1) Człowiek nie

ma prawa do przemocy. Z Konstytucji Republiki Zarczecz nr 11, s. 21 (Kamień drogocenny).

L.**Lamparska Marzena:**

Turystyka wśród górniczych szybów nr 1, s. 7-11;

Lech-Kirstein Danuta:

Henryk Borek syn „tej Ziemi” nr 1, s. 22-23;

Lewicka Milena:

Współczesne malarstwo w Bielsku Białej nr 11, s. 32-35;

Liboska Tomasz:

Foto nr 8, s. 1 okładki; nr 8, s. 4, 13, 28, 29;

Lipok-Bierwiaczonek Maria:

W cieniu kopalnianych szybów. O badaniach etnograficznych na górnośląskiej wsi nr 8, s. 10-13;

Lisak Krzysztof:

Mistrzowie fotografii nr 7, s. 86, Foto nr 7, s. 3 okładki; nr 10, s. 25;

Lysko Alojzy:

Rzecz o chlebie nr 8, s. 5;

Słowem i pieśnią. Gawęda o narodzinach chleba nr 8, s. 6-9;

Co nom to przyszło na tym Gornym Slonsku nr 9, s. 38-43;

Lyszczyna Jacek:

Dziedzictwo wojny (rec.: A. Lysko: W przekleństwie kalectwa) nr 1, s. 62;

Lyszczyna Marek:

Olivier Messiaen-między Paryżem a Śląskiem. Z Jerzym Stankiewiczem rozmawia.. nr 4, s. 47-50;

Reżyser „interdyscyplinarny”. Z Bogdanem Toszą rozmawia ... nr 7, s. 62-65;

Teologia i muzyka doby Reformacji. Z dr hab. Markiem Pilchem rozmawia... nr 10, s. 8-10;

Muzyczne śledztwa. Tropami zapomnianych instrumentów. Z Sławomirem Zubrzyckim rozmawia... Nr 11, s. 54-58.

Ł.**Ławrywaniec Arkadiusz:**

Foto nr 2, s. 4; nr 2, s. 8, 14, 30-31; nr 5, s. 2 okładki; s. 4, 5, 6; nr 6, s. 44, 45, 48; 86, Droga krzyżowa s. 3 okładki; nr 8, s. 10-11; nr 10, s. 50, 80; nr 11, s. 2 okładki;

Łoginow Jakub:

Foto, Rok 2016 w słowackiej polityce nr 1, s. 24-25;

Foto, Do Czech i na Słowację autobusem nie pojedziemy nr 3, s. 38-39;

Czesi walczą z oligarchizacją polityki nr 6, s. 12-13;

Łuka Marta

Grafika nr 5, s. 36, 37;

Łuka Wojciech:

Grafika: nr 1, s. 2, 33, 43; nr 2, s. 2, 18, 41, 45; nr 3, s. 2, 25, 43; nr 4, s. 53; nr 5 s. 2, 13, 16, 44, nr 6, s. 2, 25, 41; nr 7, s. 1 okład-

ki; s. 37, 42-43, 44; nr 8 s. 2; 40, 49; nr 9, s. 2, s. 18-19; 39, 40-41, 49, nr 10, s. 3, 13, 29, 37; nr 11, s. 2, 27, 37, 42; Notatnik sportowy nr 5, s. 34.

M.**m.:**

Salon polsko-węgierski im. Feliksa Netza. Katowice Feliksa Netza nr 4, s. 34;

MacCaig Norman:

Stara kobieta z gór nr 2, s. 3; Pocieszyciel; Pies Angusa; Jak wy, jak wszyscy; Małżonkowie; Do tego doszło; Dość; Kirke; Stary poeta; Penelopa; Z mojego okna; Odpowiedzialność; Myśli serca (przekład A. Szuba, poezja) nr 2, s. 18-21;

Machura Jerzy:

Sprintem ze Lwowa do Bytomia nr 7, s. 60-61;

Foto; Pomnik niczym laur olimpijski nr 9, s. 36-37;

Maciuszkiewicz Roman:

Oczy Kafki (proza) nr 3, s. 42-44;

Majerski Paweł:

Broniewskiego „Suma intelektu” i „Śmietnik umysłowy” (rec.: W. Broniewski: Pamiętnik. 2013);

Trakty Broniewskiego (rec. W. Broniewski: Publicystyka. 2016) nr 5, s. 73;

Czas Miłobędzkiej (rec.: A. Zasepa: Czas (w) poezji Krystyny Miłobędzkiej 2016) nr 6, s. 73;

Małczak Leszek:

Naukowiec z powołaniem. Profesor Bożena Tokarz. Portrety mistrzów nr 2 s. 56-57 (wraz z M. Gawłak);

Małecka E.:

Foto nr 4, s. 45, 46;

Marzec Henryk:

Fechmistrzowie (Trenerzy szermierki) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 1, s. 58-59;

Złota mucha (Henryk Średnicki) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 2, s. 58-59;

Zapomniany mistrz (Zbigniew Kaczmarek) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 3, s. 74-75;

Baron z Dębu (Hubert Gorsz) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 4, s. 54-55;

Nieustrasliwy Jorg (Jerzy Wocka) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 5, s. 66-67;

Był to talent (Wojciech Rydz) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 6, s. 58-59;

Grałem z Gerardem (Gerard Cieśliak) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 7, s. 58-59;

Zbyszek (Zbigniew Pietrzykowski) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 8, s. 66-68;

Z dziką kartą po złoto (Ryszard Wolny) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 9, s. 78-79;

Mistrzyni na płotkach (Lucyna Langer Langer-Kałek) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 10, s. 66-67;

Floreccistki z GKS (Wanda Kaczmarczyk-Fukała, Halina Balon, Danuta Balon, Elż-



bieta Mnich-Pawlas) Sportowe życiorysy Ślązaków nr 12, s. 46-47;

Mateusiak Wojciech:

Foto nr 12, s. 33;

Mereżkowski Dymitr:

Notatnik 1919-1920. Przeł. M. Kisiel nr 11, s. 38-42;

Michalak Kordian:

Właśnie, (***) teraz, Czerwień, Dla Ciebie, popołudnie, Haiku przedwczesne, Po, Urodziny, Tabletki (poezje) nr 11, s. 36-37;

Michalska-Suchanek Mirosława:

Rosyjscy neopoganie (rec.: A. Zaczekowska: Cienie aryjskich przodków. Mitologia polityczna w Rosji. 2016) nr 7, s. 74; Obłężenie Leningradu (rec.: B. Pawletko: Blokada Leningradu i jej reprezentacje w świetle innych doświadczeń granicznych. 2015) nr 10, s. 74;

Mieńczyk Jan:

Foto nr 4, s. 41; nr 7, s. 2 okładki, s. 7;

Miękina-Pindur Jadwiga:

Nadążyć za tempem życia. 50-lecie poradnictwa psychologiczno-pedagogicznego na Śląsku Cieszyńskim nr 11, s. 80-82;

Migdał-Drost Alicja:

Foto nr 11, s. 67;

Miodek Jan:

Sfanzolony wzrok nr 1, s. 47 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Drapko, gipkio, wartko nr 2 s. 35 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Leluja nr 3, s. 64 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Stoć, śmiec się – czytać, pisać nr 4, s. 73 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Opole i Opolszczyzna nr 5, s. 77 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Panewniki nr 6, s. 19 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

W Strzegomiu nr 7, s. 77 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Tyn istny nr 8, s. 79 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Hajmat to świat nr 9, s. 77 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Rozprawiołech czy rozprowiołek? Nr 10, s. 77 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Kożdy majster mo wihajster nr 11, s. 71 (Śląska ojczyzna polszczyzna);

Wleń i cząstka – vel – nr 12, s. 78 (Śląska ojczyzna polszczyzna).

Mirski J.:

Foto nr 9, s. 66;

Misiać Lubomir:

Foto nr 1, s. 34;

Mizerkiewicz Tomasz:

Ekonomie Dygata (rec.: E. Bartos: Figury braku. O prozie Stanisława Dygata 2016) nr 12, s. 74;

Młodzi

Młodzi wirtuozi nr 10, s. 84;

Modernizacja:

Dwie nagrody dla Opery Śląskiej w XXI edycji konkursu „Modernizacja Roku 2016 nr 9, s. 3 okładki.

Mollison James:

„Playground” nr 9, s. 52;

Morcinek Krzysztof:

Foto nr 10, s. 79;

Murray Małgorzata:

Foto nr 8, s. 14,

Musiol Tadeusz:

kRUChA potęga nr 7, s. 55-57;

Muś Anna:

Tożsamości górnośląskie (rec.: Tożsamość współczesnych Górnoślązaków. Studium socjologiczne. 2016) nr 2, s. 64;

Muzeum:

Muzeum Górnośląskie udostępniło przedwojenne zdjęcia śląskich świątyń nr 1, s. 46;

Muzealne Oskary rozdane. Wyróżnienie dla Muzeum Śląskiego w Międzynarodowym Konkursie EMYA nr 5, s. 68;

Muzeum Magicznego Realizmu. Wisła nr 6, s. 33;

Muzeum w Gliwicach: Nieznane arcydzieła, nieznani mistrzowie. Malarstwo barokowe na Śląsku na nowo odkryte (obrazy) nr 7, s. 33-34;

Między Montmartre'em a Montparnasse'em: Muzeum Śląskie. Obrazy nr 7, s. 69;

Od ziarenka do bochenka. Muzeum Chleba, Szkoły im. Ciekawostek w Radzionkowie nr 8, s. 28-29;

Art deco. Projekty Edwarda Brzozowskiego. Muzeum Mazowieckie w Płocku nr 8, s. 51-52;

N.

Neuger Leonard:

„W drodze do Adres” nr 5, s. 11-12;

T. G. Transtromer: Allegro, Łuki romańskie, Złotolitek – Przeł. ... nr 5, s. 13;

Niesłony Maciej

Foto nr 4, s. 4, 5, 6, 7, 8, 9

Niesporek Katarzyna:

W głąb hałdy nr 2, s. 13-16;

O z (a) nikanu (rec. SA. Szuba: 22 strzępy. 2016) nr 2, s. 60;

Poeta dystychu (Marian Kisiel) nr 3, s. 57-59;

Poeta w drodze (rec. A. Adamkiewicz: Wiersze 2017) nr 3, s. 60;

Myśląc o jasności (rec.: K. Siwczyk: Jasnopis. 2016) nr 4, s. 71;

„Czekanie na nokaut” (rec.: F. Śmieja: Na widny brzeg świtu 2017) nr 5, s. 74;

Nadzieja ocalenia (rec.: A. Podleśny: Fragment rozmowy. 2017) nr 6, s. 74;

Śląskie wzgórze. Obraz hałdy w poemacie *Siódma północ* Tadeusza Kijonki nr 7, s. 18-21;

„O tym, czego i my pragniemy” (rec.: Z księżycą nie spuszcza wzroku) nr 8, s. 75;

Po śladach do przeszłości (rec.: S. Wadziński: Ślady, kroki 2016) nr 10, s. 75;

Imię ziemi. O jednym wierszu Tadeusza Kijonki nr 11, s. 14-15;

Świąty poetyckie ks. Jerzego Szymika nr 12, s. 70-71;

„Im bliżej dna, tym mocniejsze wino” (rec. J. Szymik: Dobre wino. Wiersze z lat 2014-2017) nr 12, s. 76

Nikifor:

Malarstwo nr 5, s. 33;

Nowacki Dariusz:

Anegdota i lamenty (rec. W. Paźniewski: Gry losowe 2017) nr 2, s. 61;

Kochanek sławy. Kilka myśli o Januszu Głowackim nr 10, s. 23-26.

O.

Oczko Patryk:

Dziekoński Marek. Koncepcja-kreacja-konteksty nr 4, s. 60-62;

Olbiński Rafał:

Rafał Olbiński. Sosnowieckie Centrum Sztuki-Zamek Sielecki, Galeria „Extravagances” (Obrazy) nr 7, s. 51-52;

Olejarz Ewa:

U rzeźnika kupuje chleb... (Genowefa Fijałkowska Jakubowska) nr 10, s. 49;

Olejniczak Józef:

Leon dwa razy. Profesor Leonard Neuger. Portrety mistrzów, nr 5, s. 14-15;

Olszański Grzegorz

Sceny z życia literackiego (poezja) nr 3, s. 3; Narratofilia. Historia prozy nowoczesnej w czterdziestu siedmiu wersach z epilogiem; 21 gramów (Wypis z ksiąg bezużytecznych), Przekaz dnia, Kuchenne rewolucje, Sceny z życia korektorów, Sceny życia małżeńskiego, Nasze życie jest jeszcze bardziej puste niż wasze nr 3, s. 24-25;

Orzadowski Daniel:

Mielarz (proza) nr 1, s. 42-44.

P.

Paterski Janusz:

Ogień (poezja) nr 8, s. 3; Księga Likierka, Likierka słyszy głosy, Likierka podpatruje życie, Nakastlik, Psalm o powrotach, Byłem, Jeszcze o powrotach, Zimorodek, Almanach Muszyny. Wydanie zimowe (poezja) nr 8, s. 41;

Paszek Jaromir:

Foto: nr 2, s. 72; nr 3, s. 40; nr 4, s. 41; nr 5, s. 28; nr 6, s. 42; nr 7, s. 46; nr 8, s. 46; nr 9, s. 44; nr 10, s. 44; nr 11, s. 30; nr 12, s. 44;

Paszek Jerzy:

Blask *Eneidy*. Blask arcydzieł nr 2, s. 72-74;

Blask *Popiołów*. Blask arcydzieł nr 3, s. 40-41;

Blask *Eugeniusza Oniegina*. Pamięci Feliksa Netza. Blask arcydzieł nr 4, s. 41-43;

Blask *Ulissesa*. Blask arcydzieł nr 5, s. 28-29;

Blask *Pana Tadeusza*. Blask arcydzieł nr 6, s. 42-43;

Blask *Beniowskiego*. Blask arcydzieł nr 7, s. 46-47;

Blask *Lalki*. Blask arcydzieł nr 8, s. 46-47;
Blask *Żywych kamieni*. Blask arcydzieł nr 9, s. 44-45;

Blask *Rękopisu znalezionej w Saragossie*. Blask arcydzieł nr 10, s. 44-45;
Blask *Mistrza i Małgorzaty*. Blask arcydzieł nr 11, s. 30-31;
Blask *Ferdydurke*. Blask arcydzieł nr 12, s. 44-45.

Pawlik Anna:

Projekt graficzny okładki nr 9;

Peszta Maria:

B'ezrat Haszem! (proza) nr 12, s. 38-40;

Picheta Jan:

Notatnik kulturalny nr 1, s. 69-74; nr 2, s. 76-82; nr 3, s. 76-81; nr 4, s. 78-83; nr 5, s. 78-83; nr 6, s. 78-84; nr 7 s. 80-83; nr 8, s. 80-83; nr 9, s. 80-84; nr 10, s. 80-82; nr 11, s. 76-78; nr 12, s. 82-85;

Piechota Marek:

Z nowych limeryków. Jerzemu Paszkowi na 77 urodziny nr 5, s. 27;

Z nowych onomastikonów nr 12, s. 79-80;

Piekarska-Oslizlo Zofia:

Pięknie pisał (Henryk Sakwerda) nr 5, s. 58-61;

Pieniek Jarosław Krzysztof:

Mój polski Oberschlesien (proza) nr 12, s. 22-23;

Piętnasta

15. rocznica śmierci Stanisława Ptaka nr 4, s. 75;

Piotrowska-Grot Magdalena:

Lektura kultury nr 10, s. 46-48;

Nie taki biedny, skoro czyta (rec.: J. Nowak: Biedny polski katolik czyta Życie Keitha Richardsa. 2017) nr 7, s. 75;

Tajemnica, Język, Zbawienie (Z. Mikołajko: Gorzkie żale 2017) nr 11, s. 72;

Pisarczyk Elżbieta:

Jakbyś żywą oglądał. Z o. Janem Rudzińskim kustoszem zbiorów sztuki wotywniej na Jasnej Górze z okazji 300-lecia koronacji obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej. Jubileusz pierwszej koronacji papieskimi diademami – rozmawia... nr 1, s. 16-19;

Żywa korona Maryi nr 1, s. 20;

Odnaleźć wrażliwość w postrzeganiu świata. Z Olkiem Klepaczem rozmawia... nr 1, s. 56-57;

Chłopak z Rakowa. Z Muńkiem Staszczkiem rozmawia... nr 3, s. 70-72;

Muzyczna saga spod Jasnej Góry. Z Marcinem Pospieszalskim rozmawia... nr 9, s. 56-58;

Częstochowa jakiej nie znacie. Z Krzysztofem Kasprzakiem rozmawia... nr 11, s. 48-49;

To jest moje miejsce, tu są moje korzenie. Z Arturem Barcisiem rozmawia... nr 11, s. 59;

Podsiadło Zbigniew:

Foto: Ponidzie nr 2, s. 3 okładki;

Polap Marta:

Kolorem Chorzowa jest blue (s). Rozmowę prowadzi... nr 4, s. 4-9;

Bluesem malowanie. Rozmowę prowadzi... nr 4, s. 14-19;

Prejs Bogdan:

„... jak życie może wyglądać” cz. 1. Przyczynek do biografii z prezydentem w tle nr 2, s. 36-39;

„... jak życie może wyglądać” cz. 2. Przyczynek do biografii z prezydentem w tle nr 3, s. 34-37;

„... jak życie może wyglądać” cz. 2. Przyczynek do biografii z prezydentem w tle nr 4, s. 56-59;

Próchnik Paweł:

Światoodczucia (rec.: K. Niesporek: Boskie, ludzkie. Cztery studia o poetyckim doświadczeniu Boga 2017) nr 11, s. 74;

Przybyła Hanna:

Nie tylko o książkach. GBP w Świerkłańcu Z życia Bibliotek nr 4, s. 74.

R.

Riedel Rudolf:

Rysunki nr 8, s. 36-37;

ro:

2017 – Rokiem Alfonsa Zgrzebnioka w województwie opolskim nr 1, s. 73;

Wiosna Opolsko-Węgierska nr 5, s. 70;

XXVIII Najazd poetów na Zamek Brzeg – Opole – Rogów Opolski – Krapkowie – Głogówek nr 10, s. 70;

Rojkowska Aleksandra:

II Nagroda Międzynarodowego Biennale Malarstwa „Bielska Jesień 2017”: Obraz (Bez tytułu) nr 10, s. 1 okładki;

Rojkowski Jacek:

Foto nr 9, s. 50; nr 10, s. 1 okładki;

roś:

I Polonijny Festiwal Piosenki Polskiej – Opole 2017, nr 9, s. 70;

Rurańska Dobrosława:

Ćma – ilustracja nr 5, s. 1 okładki;

Rys. nr 5, s. 46, 47; Dyrzymałki (ilustracje), s. 51;

Rygielska Małgorzata:

„Jubileuszowe bukiety”. O światach poetyckich ze Śląska nr 12, s. 48-52;

Rykała Jacek:

Manek (grafika) nr 3, s. 1 okładki; Rzeczy nieważne, wydarzenia błahe (proza) nr 3, s. 26-31.

S.

Saenderski:

Marek Saenderski. Fotografia 3D nr 10, s. 69;

Sawicz Zbigniew:

Foto nr 1, s. 4, 84, s. 3 okładki; nr 7, s. 3, 16, 17, 31; nr 9, s. 1 okładki; s. 14, 16, s. 33-34;

Segiet Teodor:

Foto nr 6, s. 55;

Segiet Teodor:

Foto nr 8, s. 35;

Segietowie Anna i Teodor:

Z kolekcji... Obrazy nr 6, s. 52;

Kazimierz Seko:

Foto nr 9, s. 37;

Sekściński Adam ks.:

„Biblicum śląskie” nr 3, s. 53;

Serzysko Bogusława:

Cooltur@ bardzo medialna. Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy w Łazach. Z życia bibliotek nr 3, s. 66;

Sierny Tadeusz:

Metropolia-spełnione marzenie, czy pozorne zwycięstwo? Nr 9, s. 4-5;

Czesław Ślezak – poeta zapomniany? Nr 9, s. 26-27;

Sikora Agnieszka

Foto nr 2, s. 10; nr 6, s. 14, 15, 16, 17, 18; nr 10 s. 2 okładki;

Nostalgiczny spacer nr 7, s. 67-68;

Sitkowski Krzysztof:

Foto nr 3, s. 2 okładki;

Skocza Marek:

Jest z nami. W 85 rocznicę urodzin Wojciecha Kilara (17 VII 1932, Lwów – 29 XII 2013, Katowice) nr 7, s. 31;

Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach po raz dziesiąty nr 10, s. 86;

Skonieczna-Gawlik Dobrawa:

Zagłębiowskie lato. Pomiedzy pracą a świętowaniem nr 8, s. 24-26; Foto nr 8, s. 26;

Skorek-Bilczyńska Patrycja:

Fenomen Dyskusyjnego Klubu Książki MBP w Siemianowicach Śląskich. Z życia bibliotek nr 5, s. 48;

Skworec Wiktor abp:

Szanowna Pani Zofio, Pograżona w smutku Rodzino! nr 7, s. 8;

Słowiński Grzegorz:

Foto nr 10, s. 65;

Snoek Otto:

Foto nr 9, s. 84;

Sokołowska Janina Barbara:

Korytarz którym idę do (poezja) nr 9, s. 3, Wędrowka na piętro, Tato nie zdążył nic powiedzieć, Kokon i kamień, Z listu zimnego miasta, Odgadywanie czarów (Z tego samego listu), Wariatkowo s. 18-19;

Stabik Dorota:

Foto nr 7, s. 48-49;

Stankiewicz Jerzy:

Foto nr 4, s. 49;

Starzyk Jarosław:

Dama ze śledziem i ogórkiem nr 1, s. 84; (Z zapisków emeryta);

Perspektywę mam za sobą nr 2, s. 84; (Z zapisków emeryta);

Popołudnie z nowym człowiekiem nr 3, s. 84 (Z zapisków emeryta);

Matka i złodziej w mercedesie nr 4, s. 86 (Z zapisków emeryta);

Gdyby to był Anglik nr 5, s. 86 (Z zapisków emeryta);

Co mi chodzi po głowie nr 6, s. 86 (Z zapisków emeryta);

Panienska z dobrego domu nr 7, s. 86; (Z zapisków emeryta);

Raz byłem w NRD nr 8, s. 86 (Z zapisków emeryta);



Krótką historią wujka romantyka nr 9, s. 86 (Z zapisków emeryta);
Tajemnica trujących krówek nr 10, s. 86 (Z zapisków emeryta);

Stemplewski Jerzy:

Foto nr 7, s. 16; nr 10, s. 70;

Stobierski Maciej:

Foto nr 2, s. 70, 71; nr 5, s. 2 okładki; nr 8 s. 3 okładki;

Mistrzowie fotografii nr 8, s. 86;

Stobiński Janusz:

Foto nr 5, s. 38; nr 11, s. 43;

Stotko Ryszard:

Foto nr 1, s. 5; nr 11, s. 4;

Suder Paweł:

Foto nr 8, s. 2 okładki;

Suzdalew Zofia:

Komary, Gadulki (poezja) nr 5, s. 46;

Szalsza Piotr:

Harnasie w Pradze nr 3, s. 54-56;
Wrocławskie lata Maxa Kalbecka – krytyka sztuki, przyjaciela Brahmsa nr 5, s. 18-22;

„A któż to taki, Huberman?.. nr 7, s. 26-30;

Nieznane listy Grzegorza Fitelberga w archiwach wiedeńskich nr 10, s. 30-33;

Szaruga Leszek:

Powiadają (poezja) nr 10, s. 3; Świadectwo, Iskrzenie, Gniewosów, W stronę Mirona, Topole (***) moje wiersze znajduję, W rumuńskim więzieniu lata pięćdziesiąte XX wieku, Majdan 2014, Nowe rozdanie nr 10, s. 12-13;

Sześćdziesiąt dziewięć:

69 malarzy w finale Bielskiej jesieni 2017 nr 10, s. 79;

Szczawiński Maciej:

„Siłą naszego radia jest słowo” (Piotr Ornowski) nr 1, s. 5;

Szczepański Henryk:

Arnold z ulicy Warszawskiej nr 1, s. 37-41;
Dolina wschodzącego słońca nr 2, s. 30-34;

Potomkowie Szatana nr 6, s. 44-49;

Art deco znad Brynicy. Na tropie zapoznanego architekta Edmunda Brzozowskiego z katowickiej ulicy Rymera 7 nr 8, s. 50-55;

Książę niezłomny. Stanisław Maria Kobylński nr 9, s. 12-17;

Czempion pod dziewięćdziesiątkę nr 9, s. 71;

Biela był pierwszy i ostatni nr 10, s. 58-63;
Sekret dostojnej Katarzyny nr 11, s. 9-14;

Kukułcze jajo Windsorów. Prawie królewska wizyta nr 12, s. 60-66;

Szczepański Marek S.:

Świętowanie: przeszłość i teraźniejszość nr 1, s. 21 (we współpracy z Anną Śliz) Notatnik spóźnionego przybysza;

O ojcostwie, socjologii i literaturze nr 2, s. 17 (we współpracy z Karoliną Wojtasik) Notatnik spóźnionego przybysza;

Indyferentyzm narodowy: ludzie bez ojczyzny? nr 3, s. 15 (we współpracy z Anną Śliz) Notatnik spóźnionego przybysza;

Galernik pióra (1) nr 4, s. 33 (we współpracy z Karoliną Wojtasik) Notatnik spóźnionego przybysza;

Galernik pióra (2) nr 5, s. 7 (we współpracy z Karoliną Wojtasik) Notatnik spóźnionego przybysza;

Różnorodność kulturowa po polsku nr 6, s. 11 (we współpracy z Anną Śliz) Notatnik spóźnionego przybysza;

Bieda i bogactwo narodów a wędrówki ludów nr 7, s. 66 (we współpracy z Anną Śliz) Notatnik spóźnionego przybysza;

Pan Tadeusz nr 8, s. 45 Notatnik spóźnionego przybysza;

Lęki i fobie Europejczyków nr 10, s. 11 (we współpracy z Anną Śliz) Notatnik spóźnionego przybysza;

Szlachta-Misztal Justyna:

To nie ten sen, ani eksperyment, to rzeczywistość (rec.: Z. Miłoszewski: Jak zawsze. 2017) nr 12, s. 77;

Szmatloch Jan:

Grafika nr 4, s. 16; nr 7, s. 21, 38, 39, 40;

Szoltys Witalis:

Foto nr 2, s. 25; nr 4, s. 2 okładki;

Sztoler Grzegorz:

Chleba naszego wiekuistego nr 8, s. 19-23;
Wejście do innego wymiaru. Największa w Europie wystawa fotograficznej sztuki stereo 3D w Katowicach nr 10, s. 68;

Musiał to być dobry człowiek (w Notatniku kulturalnym) nr 11, s. 76;

Sztuka Maria:

Notatnik kulturalny nr 1, s. 69-74; nr 2, s. 76-82; nr 3, s. 76-81, nr 4, s. 78-83; nr 5, s. 78-83; nr 6, s. 78-84; nr 7, s. 80-83; nr 8, s. 80-83; nr 9, s. 80-84; nr 10, s. 80-82;

Smog – medialny news, czy śmiertelne zagrożenie? Czyste powietrze cenniejsze niż złoto nr 2, s. 8-12;

Trudne początki 25 lat diecezji sosnowieckiej nr 3 s. 4-7;

Foto nr 3, s. 11;

Do świątyni zakolała! kołatek. Ratujmy Pańczeniaki nr 6, s. 14-18;

Nie czytajcie moich obrazów, oglądajcie je. Zdzisław Beksiński w Muzeum Historii Katowic nr 6, s. 50;

Na odległość oddechu. O albumie który budzi refleksje, czyli opowieść Krzysztofa Gołucha o zwyczajnym życiu zwyczajnych ludzi nr 9, s. 60-62;

Szuba Andrzej:

Norman MacCaig: Stara kobieta z gór (przeł...) nr 2, s. 3;

Postscriptum: DCLXXXVI, DCLXXXVII, DCLXXXVIII, DCLXXXIX, DCXC, DCXCI, DCXCII, DCXCIII, DCXCIV, DCXCV, DCXCVI nr 7, s. 37;

Szuwalski Dariusz:
Foto nr 9, s. 20;

Szymala Agnieszka:

Foto nr 2, s. 2 okładki; nr 8, s. 18; nr 10, s. 2 okładki;

Szymik Jerzy ks.:

Viola d'amore (poezja) nr 5, s. 3; Sicut lilium inter spinas; Muzyka jak żelazo; Sło-

wacki i ja piszemy list do matki Salomei; Jak wino; Perizonium. Dla gildii kuszników; Wykonało się w sztuce: nr 5, s. 16-17; Jak iskra po ściernisku. Homilia ks. Jerzego Szymika wygłoszona podczas Mszy św. pogrzebowej w intencji śp. Tadeusza Kijonki nr 7, s. 6-7;

Jak wino. Tadeuszowi Kijonce (poezja) nr 11, s. 3; Viola d'amore (poezja) nr 5, s. 3; Sicut lilium inter spinas; Muzyka jak żelazo; Słowacki i ja piszemy list do matki Salomei; Jak wino; Perizonium. Dla gildii kuszników; Wykonało się w sztuce: nr 11, 22-23;

Szymitowska Antonina:

Wejźdź do gry. Kultura czytania i twórczego działania w bibliotece nr 11, s. 84.

Ś.**Śnioszek Andrzej:**

Krystyna Świder – legenda śląskiej chóralistyki i wokalistyki nr 5, s. 62-63;

Śnioszek Krzysztof:

Epitafium, Ostatnia wieczerza, Brynowski lament (poezja) nr 11, s. 27.

T.**Tereszkiewicz Grażyna:**

Koniec Twoją ma twarz nr 9, s. 50;

Transtromer-Tomas Gosta:

Allegro, Łuki romańskie, Złotolitek (przeł. L. Neuger), nr 5, s. 13;

Tomanek Beata:

Foto, Duchy starej walcowni nr 6, s. 7-10; Kroniki synka z Załęża (Ginter Pierończyk) nr 8, s. 60-63;

Mój szczęśliwy dom w Afryce (Danuta Sedlak) nr 10, s. 54-57;

Tomczyk Sylwia:

Literacko-kulturalne serce miasta. MBP w Tychach. Z życia bibliotek nr 7, s. 78;

Turant Witold:

Nasz Klimek nr 1, s. 51-54;

Magia mikrofonu nr 2, s. 28-29 (Polskie Radio Katowice 90 lat);

Miasto króla Aedina. Opowieści edynburskie (proza) nr 2, s. 40-45;

Głos ze Śląska w eterze (1927-1939) nr 3, s. 16-17 (Polskie Radio Katowice 90 lat);

Językowa wyspa. Opowieści edynburskie (proza) nr 4, s. 51-53;

Głos ze Śląska w eterze – lata powojenne. nr 4, s. 63-65 (Polskie Radio Katowice 90 lat);

Spojrzenie w przyszłość nr 5, s. 30-31 (Polskie Radio Katowice 90 lat);

Radio w regionie nr 6 s. 56-57 (Polskie Radio Katowice 90 lat);

Instytut gawędziarstwa (proza) nr 7, s. 41-43;

Newsroom czyli dziedziniec cudów nr 7, s. 48-49 (Polskie Radio Katowice 90 lat);

Radiowe studio w plenerze nr 8, s. 72-73 (Polskie Radio Katowice 90 lat), Foto s. 72;

Sztuka i radio – nie tylko w eterze nr 9, s. 54-55 (Polskie Radio Katowice 90 lat),

Afrodyta z Rue Mouffetard (proza) nr 10, s. 36-40;
Nagrody i uznanie nr 10, s. 64-65 (Polskie Radio Katowice 90 lat).

U.

Uchwała:

Uchwała Zarządu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach z dnia 29 września 2017 roku w sprawie „dekommunizacji” Wilhelma Szewczyka nr 10, s. 2.

V.

Verdi Giuseppe:

Moc przeznaczenia. Opera Śląska – foto nr 4, s. 30;
„Aida” Opera Śląska w Bytomiu – foto nr 6, s. 69.

W.

Waksmański Jerzy:

Nad poziomy wylatuj (proza) nr 6, s. 20-26;

Warońska Joanna:

Smak przygody (rec.: T. Jansson: Kometą nad doliną Muminków Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie 2017) nr 4, s. 66;
Widzialność wyzwolona spod władzy języka (rec.: M. Sieniewicz: Miasto szklanych słoni Teatr A. Mickiewicza Częstochowa 2017) nr 8, s. 65;

Śmierćka w wesołym miasteczku (rec.: Wesołe miasteczko Agnieszka Osiecka – piosenki ostatecznie Teatr im. A. Mickiewicza Częstochowa 2017) nr 11, s. 79;

Warzecha Bartek:

Foto nr 11, s. 2 okładki;

Wawrzyczek-Klasik Michalina:

Ciche kadry. O grafikach Jana Szmatlocha nr 7, s. 38-40;

Wenklar Tomasz:

Rys. nr 4, s. 2; 11, 12, 13, 20, 21, 22, 24;

Widera Bogdan:

Fragmenty świata i światła nr 1, s. 48;
Poetka cyfrowego druku (Dorota Nowak) nr 3, s. 73;

Kolorowe ogrody Dobrusi (Dobrosława Rurańska) nr 5, s. 50;

Ciekawie o martwej twórczości (rec. K. Kuroczka: Literatura światów planowanych. 2017) nr 5, s. 75;

Wiele Śląsków Marysi (rec.: M. Pańczyk-Poździej: Zapisane w eterze. 2017) nr 5, s. 75;

Dlaczego Mary już tu nie mieszka? nr 10, s. 35;

Krótko o książkach (R. Twardoch: Król. 2016; P. Stanlik: Młyn do mumii, czyli przewrotne odkrycie komisarza Durmana 2016; A. Bienek Zajda, S. Lazar, I. Szaleniec: Kopalnia i osiedle robotnicze. 2016; W cisy płomieni Almanach Lublinieckiego Klubu Literackiego LO-GOS 2016) nr 1, s. 63;

Krótko o książkach (M. Łuszczyna: Polskie obozy koncentracyjne 2017; H. Samsonowicz: Polska otwarta czy zamknięta? 2016; C. Ingelman-Sundberg: Emerycka szajka idzie na całość 2017; P. Soukupova: Pod śniegiem 2016) nr 2, s. 65;

Krótko o książkach (I. Binar: Siedem rozdziałów z życia Vaclava Netusila albo rowerem dookoła świata. 2016; E. Boczek: Dziennik kasztelana. 2017, G. Pierończyk: Kleofas w zyciorys wpisany. 2016, S. Lazar: Architektura Będzina 1918-1939. 2016) nr 3, s. 64;

Krótko o książkach (D. Skoneczna Gawlik, R. Garstka, B. Gawlik: Tropem badaczy Zagłębia Dąbrowskiego 2016; W. Magiera: Historia jednego projektu 2017; S. Faul: Amerykanie 2016; S. Kaji, N. Hama: Japończycy 2016) nr 4, s. 72;

Krótko o książkach (Anioł miłosierdzia... 2017; P. Szabach: Dowód osobisty 2017; E. Lipnicka: Polacy 2016; J. Przewoźnik i in.: Śląskie ciekawostki szachowe 2017) nr 5, s. 76;

Krótko o książkach (Fotografie. Maria Dembicka 2017; The wall; L. James: Austriacy 2016; S. Zeidenitz, B. Barkow: Niemcy 2016) nr 6, s. 76;

Krótko o książkach (M. Matyszczyk: Tajemnicza śmierć Marianny Biel 2017; J. Jonasson: Stulatek, który wyskoczył przez okno i zniknął, 2015, A. Christi: Przeznaczenie 1992; P. Oczko: Marek Dziekoński... 2017) nr 7, s. 76;

Krótko o książkach (Z. Szczerek: Między morze; Tyskie Zeszyty Historyczne, M. Sendecki: W: I. Prohazkova: Mężczyzna na dnie) nr 8, s. 78;

Krótko o książkach (Zaczęło się od ziarna 2017; S. Gierlotka: Podlesie Śląskie. Monografia dzielnic.. 2017; M. Lipok Bierwiaczonek: Pani Kobiernicka 2017, P. Świst: Prokurator 2017) nr 9, s. 76;

Krótko o książkach (M. Matyszczyk: Zbrodnia nad urwiskiem 2017, J. Haszek: Nim Szwejk poszedł na wojnę 2015; G. Pierończyk: Meandry załęskiego sportu 2017, T. Biedzki: Ostatnie srebrniki 2017) nr 10, s. 76;

Wieczorek Karol:

Mucha, fragment ilustracji nr 2, s. 1 okładki; Ilustracje nr 2, s. 49;

wk:

Do Katowic zjadą dyrygenci z całego świata. Wystartował X Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga nr 3, s. 67;

Pocztówkowy alfabet Opola nr 5, s. 71; Poznaliśmy uczestników. X Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach nr 7, s. 70;

Wnęć-Zych Bogusława:

Biblioteki otwarte na zmiany MBP w Bytomiu nr 1, s. 64;

Wolny Józef:

Foto nr 3, na 3 stronie okładki; nr 6, s. 35;

Womex:

17 Womex. The World Music Expo nr 11, s. 68-69;

Wójcik I. Janusz:

Notatnik kulturalny nr 1, s. 69-74; nr 2, s. 76-82; nr 3, s. 76-81; nr 4, s. 78-83; nr 5, s. 78-83; nr 6, s. 78-84; nr 7 s. 80-83; nr 8, s. 80-83; nr 9, s. 80-84; nr 10, s. 80-82; nr 11, s. 76-78; nr 12, s. 82-85.

Uczcie tak naszych studentów, by budowali swoją wiedzę od fundamentów. Benefis prof. Doroty Simonides nr 10, s. 27;

Wójcicka-Rosińska Małgorzata:

Foto nr 10, s. 70;

Wspomnienia:

Wspomnienia serdeczne (E. Bryll, J. Cofalka, H. Duda, M. Fox, Ł. Goik, K. Heska Kwaśniewicz, M. Kisiel, W. Konopelska, A. Lysko, J. Miodek, S. S. Niciejka, S. Pietras, J. Rebeś, T. Serafin, T. Sierny, D. Simonides, F. Śmieja, J. I. Wójcik) nr 7, s. 10-15.

Z.

Zaczekowska Anna:

Realizm magiczny (rec.: J. Rykała: Rzeczy nieważne, wydarzenia błahe. 2016) nr 3, s. 62;

Misterium fascynans (rec.: A. Regiewicz: Kerygmaticzne figury interpretacji. 2016) nr 7, s. 73;

Zając Piotr:

Czytając rock nr 4, s. 24-25;

Zakrzewski Tomasz:

Foto: nr 6, s. 68;

Zawadzka Ewa:

„No comment” Malarstwo i fotografia nr 1, s. 49;

Zawalska-Hawel Aleksandra:

Migruj do biblioteki. MBP w Żorach. Z życia bibliotek nr 12, s. 67-68;

Zawała Maria:

Bóg nie lubi leniwych... Z Marianem Zembalą rozmawia... nr 5, s. 8-9;

Złote

Złote Maski rozdane nr 4, s. 67;

Zmarzły Tomasz ks.:

Adam Chmielowski – artysta wrażliwy nr 3, s. 47-48;

Zych Adam A.:

Pożółkłe listy sprzed 36 lat i nieopublikowana rozmowa z Jerzym Dudą Gracem nr 11, s. 16-20.

Ż.

Żak Tomasz:

Foto nr 1, str. 2 okładki, s. 68; nr 4, str 2 okładki; nr 5, s. 58;

Żywolewski Maciej:

Foto nr 2, s. 47.